

MANULA
KALICKA

szczęście
za
progiem



MANUŁA
KALICKA

szczęście
za
progiem



SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Szara Godzina s.c.

Projekt okładki i stron tytułowych

Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce

© *Edyta Pawłowska/Depositphotos.com*

© *Danussa/Vectorstock.com*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociak

Korekta

Zespół

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Jakiegokolwiek podobieństwo do wydarzeń lub postaci autentycznych jest zupełnie przypadkowe.

Wydanie II, poprawione, Katowice 2014 (na podstawie wydania Prószyński i S-ka SA 2005)

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

biuro@szaragodzina.pl

www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

Tekst © by Manula Kalicka

© Szara Godzina s.c., 2014

ISBN 978-83-64312-36-6

*Rodzina, rodzina nie cieszy gdy jest,
lecz kiedy jej nie ma, samotnyś jak pies.*

Jeremi Przybora

Książkę tę dedykuję całej mojej niezwyklej i trzymającej się razem rodzinie, ach rodzinie, która od lat co roku w maju spotyka się na Górze Zgody niedaleko naszego Jagniątkowa, co zwie się Lubanią. A szczególnie cioci Oli i wujkowi Michałowi z wdzięcznością za przyjaźń i pomoc w opałach, w które nieraz wpadam.

Dobrze, że jesteście.

Prolog

Gosia

Duża czarna mucha rozpaczliwie próbowała wydostać się z kałuży rozlanego piwa. Siedziałam na zapleczu sklepiu Grzebańkiewiczowej. Sączyłam piwo i obserwowałam jej beznadziejne wysiłki.

No cóż, zawsze to jakaś akcja.

Przy sąsiednim stoliku drzemał stary Borowczyk. Poza nim widać było tylko brudnego kundla, który szwendał się po okolicy w nadziei — nieuzasadnionej, że dam mu coś do żarcia.

Piłam piwo powoli, tak by wystarczyło na jak najdłużej. Tu była cisza i spokój. Gdybym nie miała tych dwóch złotych na browar, mogłabym pójść do jednej z moich koleżanek: Jadźki albo Tereski. Tam też piłabym browar albo ciepłą wódeczkę i gadałybyśmy o byle czym. Dwoje albo troje dzieci darłoby się, zakłócając nam konwersację. Jadzia przyłapałaby szmatą, żeby się zamknęły. Tereska próbowałaby je przekrzyczeć. Mąż Tereski, Darek, spałby pijany za przepierzeniem, a mąż Jagi, Olek, oglądałby na wideo film zrobiony w Hongkongu, na którym w zasadzie widać tylko majtające nogi i facetów o martwych twarzach, naparzających innych facetów o martwych twarzach. Wykrzykiwałby przy tym:

— Widzicie?! Ale mu, kurna, dowalił! Ja cię kręcę!!! Widzicie?! Ale daje!!!

Z Tereską obejrzałybyśmy telenowelę pod tytułem „Maria Estrella wychodzi za mąż”.

U Jadźki nie było na to szans.

Zdecydowanie wariant z Tereską był lepszy. No, chyba że Darek by się obudził.

Patrzyłam na muchę i chciało mi się wyć. Było gorąco, było duszno, nic nie miało sensu.

Mucha znowu wpadła do kałuży, a już prawie się wyczołgała. Miałam dosyć. Nie wiem, jak do tej pory to wytrzymałam. Ani minuty dłużej. Koniec. Mam dość. Wymiękam.

Tereska chodziła ze mną do odzieżówki; w ciężę zaszła w trzeciej klasie.

I skończyła na niej edukację. Z małą zresztą szkodą, zarówno dla siebie, jak i przemysłu odzieżowego. Jadźka dostała nawet świadectwo z czerwonym paskiem i co? To samo. Wiecznie naprany mąż i bachory. Ja ocalałam. Nie wpadłam, miałam więcej szczęścia niż rozumu. Kandydaci na chłopaków trafiali mi się raczej tacy niżej podłogi. Nie chciałam ani ich, ani życia, które mi mogli zaoferować. Kiedy patrzyłam na moje dwie kumpele i moją matkę, wiedziałam, że scenariusze lubią się powtarzać.

W domu troje rodzeństwa rozrabiało gorzej niż bachory Jadźki czy Tereski, a pijany ojczym bynajmniej nie spał. Spojrzałam na zegarek. W tej chwili pewnie gra w karty z kolegami. Kończą właśnie szóste wino. A może już siódme. Mniejsza o to. Jak wrócę, jeśli wrócę, pewnie już padnie. A może nie. No, ta niepewność dodaje życiu uroku. Będę spała na przygórku albo w stodole. Zawsze jakieś urozmaicenie.

Takich facetek jak ja było w naszej wsi kilkanaście. Wszystkie po odzieżówce, która wciąż produkuje kolejne roczniki popapranych pańienek.

No bo jedyny zakład odzieżowy splajtował lat temu cztery. Ja się już nie załapałam do roboty. Miałam natomiast rzecz u nas rzadką, a mianowicie maturę. Nie wiem, co mnie podkuśiło. Z mojego rocznika zdawało ją dziesięć najambitniejszych. Wszystkie zdałyśmy i teraz

każda ma sobie czym tylek podtrzeć. Albo powiesić na ścianie. Maturę, nie tylek. Bo roboty nie ma — ani u nas w Jagniątkowie, ani w sąsiednim Pleszewie. Żyjemy tylko siłą rozpędu. To mama wyrwie jakiś zasilek, to dzieciaki sprzedadzą grzyby albo śliwki przy drodze. Czasem ojczym coś da, jeśli załapie się na jakąś robotę. Ogólnie mówiąc, kaszana.

A ja już nie mogę wracać do tego smrodu, brudu i ubóstwa. Ja padam, spadam, ja wymiękam. Mnie tu już nie ma.

Patrzyłam na muchę, która nie ustawała w swoich wysiłkach, i kombinowałam, jak dać nogę i gdzie. Żadnej rodziny, żadnych znajomych, żadnych pieniędzy. Zapłaciłam za piwo i zostało mi pięćdziesiąt groszy. Mała fortuna, jednym słowem. Można z tym ruszać na podbój świata.

To się nazywa, zdaje się, pat. Ani w tę, ani we w tę. Patrzyłam w stolik, patrzyłam na Borowczyka, patrzyłam na muchę. Żadnego pomysłu. Pies się położył i spał w pełnym słońcu.

Może powinnam... co ja powinnam? Co ja mogę, nic nie mogę.

Może dać sobie spokój.

Nie, zdecydowanie nie.

Na rynecek zajechał autobus, słońce grzało, piwo się kończyło. Z autobusu wysiadło kilka znajomych osób i wszystkie się szybko rozpierchły.

Nie przyjedzie raczej tym autobusem rycerz w lśniącej zbroi. To by było najlepsze i najprostsze, ale coś mi mówiło, że nie ma co na to liczyć. Cuda się zdarzają. Może. Ale nie u nas, w Jagniątkowie.

Proszę, zostanę poetką. Wiejską. Spróbujmy. Zaraz...

Szara droga w Jagniątkowie

Ona tobie wszystko powie

Czy Snopczyna już zaczyna

Czy chłopina już rozpina

Szara droga w Jagniątkowie

Ona tobie wszystko powie

Jak kochała Iza mała

Jak dawała i płakała

Szara droga w Jagniątkowie

O sukcesie nie opowie

Poezja pierwszej wody. Ja chyba mam talent. Może dorobię do tego muzykę i będzie przebój disco polo. Kasa murowana. No, to jest myśl. Tak, świetna, tylko że nie mam za grosz słuchu.

Samą poezją człowiek nie wyżyje. Co ja, do cholery, mogę albo powinnam zrobić?

Pieprzy mi się w głowie od tego upału i piwa. Co słyszać u muchy? Znowu na dnie. Świetnie, przynajmniej nie ja jedna.

— Jest nas dwie, słyszysz, mucho?

Żeby stąd zwiać, potrzebna jest choć mała kasa. Skąd ją wziąć? Oto jest pytanie. Jak z Szekspira, nieomal. O ile czegoś nie myślę, to napisał jeszcze, że z niczego może być tylko nic.

No, zostawmy literaturę. Przynębiająca jest. Skąd się bierze szmalec, czyli kesz? Od mamy nie ma co liczyć, kumpele gołe i bose. Który to dziś. Piąty. Czy ja czasem nie mam farta? Dzisiaj babcia bierze emeryturę. Jeśli wujek Tomek nie będzie pierwszy, to może mi coś kapnie. Ruszyłam z kopyta, ale po chwili wróciłam do stolika. Wyciągnęłam muchę. Trzeba dać jej szansę. To myślenie magiczne... Może to pomoże? Ja musze, a Bóg mnie?

To był mój dobry dzień. Tomeczek zapił i nie dotarł. Byłam pierwsza. Babcia dała mi kasę bez słowa, tylko ją poprosiłam. Potem wmusiła we mnie ohydny grochówkę. Na ten upał!

Nie spytała, po co mi taka kasa. Czułam, że powinnam jej powiedzieć, że wyjeżdżam. Myślałam, że się zmartwi, a tu babcia mnie zaskoczyła.

— Dawno powinnaś to zrobić.

Ogłupiałam. Popatrzyłam na jej pochylone plecy, na siwą głowę, na uważne oczy. Moja babcia mi mówi takie rzeczy, nigdy bym się nie spodziewała.

— Tak myślisz, babciu?

— Jakżeby inaczej, dziecko. Przecie tutaj to aby się zmarnujesz. — Pomyślała chwilę. Zniknęła na przygórku i dołożyła mi jeszcze dwie stówki. Hojna ta babcia. Zaczęłam się mizdrzyć, że to za dużo, że babci na życie nie starczy, a babcia na to: — Bierz, kiedy dają, bo do niczego w życiu nie dojdiesz.

Spytałam, czy nie ma jakiejś torby albo walizki, rzeczy w coś muszę spakować.

— A mam — powiedziała babcia i wręczyła mi walizkę. Tekturową.

— To jest tekturowe! Babciu!!!

— A tak. A jaką byś chciała? Twój świętej pamięci ojciec poszedł z nią do wojska. Nie podoba ci się?

— No... jest fajna. Strasznie dziękuję, babciu.

Nie ma to jak tradycje rodzinne.

Wzięłam walizkę i pomaszzerowałam do domu. Na pożegnanie babcia mi przykazała, bym pisała czasem. Powiedziałam:

— Jasne, babciu!

W domu, jak zwykle, zastałam piekło. Ojczym wyzywał Adasia od nierobów. Na mój widok wrzasnął:

— O! Drugi nierób przyszedł.

Zmilkzałam. Odwróciłam wzrok od jego napuchniętej twarzy i gatek trzeciej świeżości. Nie lubiłam na niego patrzeć. Ściskając walizkę, poszłam na przygórek. Zaczęłam się pakować. Mam parę niezłych ciuchów. Sama sobie uszyłam. Przynajmniej taki pożytek był z tej całej krawieckiej szkoły. Jedyny chyba. Nie mam dużo rzeczy, ale nie mogłam się zdecydować, co wziąć. Wszystko, wydawało mi się ważne i potrzebne. Szła jesień, wzięłam więc parę grubszych ciuchów, kilka kosmetyków, które mam. Zabrałam z łazienki szampon, mydło i pastę do zębów. Jeśli chcę do czegoś dojść, muszę nie mieć skrupułów. Powiedzmy sobie to jasno. Nie mogę też być brudna i śmierdzieć, bo kto mi da robotę. Zesłam na dół i wywołałam mamę na podwórko. Uderzając nogą o zardzewiałą bronę, odkąd pamiętam, zalegała pod stodołą, powiedziałam:

— Mamo, wyjeżdżam!

Mama spojrzała na mnie zestrachanym wzrokiem i wytarła nerwowo ręce o kraj sukienki.

— Gdzie wyjeżdżasz, córeczko?

Rany boskie. Gdzie ja wyjeżdżam? Przyładowałam mocniej bronie, i: — Do Warszawy — powiedziałam ambitnie. Bardzo ambitnie, sam bilet autobusowy zeżre mi dużą część gotówki.

— Co ty tam będziesz robiła? Zginiesz bez żadnego oparcia.

— Nic się nie bój, dam sobie świetnie radę! — zakrzyknęłam z wielkim przekonaniem, choć go w ogóle nie miałam.

— Może ci dać jakieś pieniądze? — zapytała trwożliwie mama.

— Nie, dzi... ękuje, babcia mnie wspomogła. — Mama odetchnęła z ulgą.

— Kiedy jedziesz? — spytała.

— Za pół godziny odchodzi autobus do Pleszewa, a stamtąd pojedę do Warszawy.

— Tak szybko? — zatroskała się zupełnie nieoczekiwanie.

— Nie ma na co czekać, dość z tym zwlekałam — powiedziałam energicznie.

W gruncie rzeczy bałam się, że jak zaraz nie pojedę, to w ogóle już nigdy nie pojedę. Stchórzę. Bo się bałam. Bardzo.

— Poczekaj, zapakuję ci coś do jedzenia. — Mama podreptała do kuchni.

A ja poszłam na przygórek, złapałam walizkę, wrzuciłam do niej prawie nowy sweter Jarka. Trudno, będzie musiał się bez niego obejść. Zabrałam też ostatnią powieść Amandy Quick, którą wczoraj wypożyczyłam z biblioteki. Nie mogłam z niej zrezygnować. Może im odeślę. Kiedyś.

Tak ruszyłam z Jagniątkowa w świat.

Marcel

Słońce, piekące słońce prześwietlało liście. Tworzyło plamy, półcienie, świetliste punkty na nagim ciele. Chłonałem wzrokiem rysunek długich nóg, wzgórki wysoko osadzonych pośladków, leciutki zarys żeber, wystające zabawnie łopatki i długą jak u Buszmenki szyję. Oczy miała zamknięte, a rzęsy jak śmieszne pajęczki opadały na policzek z przyklejonymi drobinami piasku. Była doskonała. Jak dzieło sztuki, jak natura. Nawet wystające kolana, zbyt może prostokątne, dodawały jej wdzięku. Robiła wrażenie czegoś nazbyt długiego, kruchego, niezwykłego. Uśmiechnęła się leciutko i uchyliła powieki. Spojrzała na mnie tym nieprzeniknionym spojrzeniem z lekka kpiącej Mona Lizy. Usta wygięły się w niedbałym półuśmiechu. Poprzeczna kreska, mięsień właściwie lekko zadrgał, i zamknęła znowu oczy, i zanurkowała w sen. Była niezwykła, zupełnie niezwykła. Długa i smukła, niewinna i wiecznie zadziwiona, a przy tym mądra mądrością starą jak świat. Obserwowałem to nagie ciało z zadowoleniem sytego posiadacza, faceta, któremu się trafiła wygrana w życiu czy na loterii, gościa, który się po prostu załapał, i powolutku położyłem rękę na jej pośladku. Drgnęła, ale nie otworzyła oczu. Z tą ręką, ręką posiadacza, rozluźniłem się i zamknąłem oczy, spokojny i pewny, że tu, teraz, nie zniknie. Jest moja.

Gorące powietrze, ledwie poruszane lekką bryzą znad morza, wywoływało senność. Na granicy jawy i snu pamięć przywoływała jakieś bezsensowne obrazy, majaki. Słyszałem niedokończone zdania, antycypowałem jakieś zdarzenia, widziałem nieznane miejsca świata, a wszystko to niepokojące i falujące jak morze, jak maszyna w pełnym pędzie, jakiś walec, który się do ciebie zbliża i wiesz, że spotkanie z nim jest nieuchronne, że nie uciekniesz.

Spieczona usta i palący strach. Krzyk, którego nie mogłem wydobyć z zamulonej kamiennej krtani, przemienił się w charkot, rżenie, spazm. Z trudem złapałem oddech i obudziłem się, nie wiedząc, gdzie jestem, co jest jawą, a co snem. Nieprzytomny, otumaniony, usiadłem na piasku, usiłując nieporadnie poskładać siebie i rzeczywistość. Spojrzałem na piasek, na matę rozłożoną na drewnianym szczebelkowym stelażu, i w jednym błysku przypomnienia uświadomiłem sobie, że jestem sam. Miejsce obok było puste.

Rozdział 1

1.08.2011. Gosia

Śmierdziało. Okropny zapach moczu, kurzu i brudu unosił się w powietrzu. Jagniątkowo to nie Paryż i Pola Elizejskie, ale pachnie u nas bzem, czeremchą i sianem. Tu śmierdziało na ulicy.

U nas — w domach.

Szłam i gapiłam się na ludzi i wystawy. Nie podobało mi się. To ma być Warszawa? Stolica i w ogóle moja ziemia obiecana? Ja to kręcę. Tu jest okropnie. Spojrzałam na nazwę ulicy — Targowa. Chyba tu jakieś targi się odbywają albo co. Skręciłam i szłam dalej, gapiąc się na rozsypujące się domy i cuchnące bramy. Nasz Pleszew jest lepszy. Zdecydowanie. Nie miałam żadnej koncepcji, co ze sobą zrobić. Włokłam się ulicą bezmyślnie, byle do przodu. Zmęczona podróżą i upałem, nie miałam żadnego, nawet najmarniejszego pomysłu, co dalej. Weszłam na jakieś podwórko. Na środku stała odrapana Matka Boska i kontener ze śmieciami. To ma być Warszawa?

Postawiłam walizkę i padłam na ławeczkę ustawioną między śmietnikami. Postanowiłam pomyśleć kapkę, a nie leżeć ciągle przed siebie. Potrzebuję noclegu. Jak to zrobić? Na żaden hotel mnie nie stać. Najlepiej byłoby wynająć jakiś pokój albo chociaż łóżko. Rozejrzałam się wokół. Nie było to wszystko zbyt zachęcające, ale można od tego zacząć. Pierwszy na podwórku pojawił się gostek o urodzie naszego Borowczyka — nos kalafior, trzydniowy zarost i zapach siusiek otaczający dyskretnym aromatem szarawe spodnie i brunatny sweterek. W każdym razie coś znanego. Babcia mówi, że każdy pijak to dobry człowiek. Zobaczymy. Zaatakowałam go natychmiast, jak tylko się zbliżył do mnie na odległość głosu.

— Przepraszam, słyszałam, że tu można wynająć pokój?

Czysta prowokacja. Liczyłam na To, że skuteczna.

Popatrzył na mnie mętnym wzrokiem, zabulgotał coś, czego wołałam nie rozumieć, i zniknął w bramie. Nie udało się.

Po chwili pojawiła się facetka w legginsach w tygrysie wzory, z których wylewało się trzydzieści kilo nadwagi. Powtórzyłam pytanie. Stała, przyjrzała mi się uważnie, a potem spytała rzeczowo:

— A skąd słyszała? — Poprawiała czarne jak noc włosy i czekała na odpowiedź.

— Taki jeden mi powiedział, by tu zapytać — zmyślałam na bieżąco.

— Taki jeden, powiadasz... — Kupiła to. — Zapytaj pod dwunastką, u starej Gęsi, może ona co wynajmie — udzieliła mi rady i odeszła, kręcąc tłustym zadem i międląc ręką splecione w loki kudły o kolorze sadzy.

Pomknęłam pod dwunastkę. Dobijałam się przez dobrą chwilę, zanim w drzwiach stanęła baba wielka jak szafa i spojrzała na mnie z góry, pytając uprzejmie:

— Czego?

Zionęło od niej wódą. Przetrawioną.

— Pani w legginsach, takich tygrysiach, powiedziała mi, że można tu u pani wynająć pokój — zagaiłam najuprzejmiej, jak mogłam.

— Jak chcę, to wynajmuję — wysapało indywiduum przypominające Horpynę

dwadzieścia lat później.

— To świetnie, bo ja właśnie szukam pokoju. Czy mogłabym obejrzeć? — ćwierkałam nerwowo, modląc się, by szczęście mnie nie opuszczało.

Potwór przyjrzał mi się uważniej i wpuścił do środka. Znowu śmierdziało. Kapuchą, ścierką i wódką. Może jeszcze kot...

Zaprowadziła mnie w głąb mieszkania, kopiąc po drodze zalegające podłogę buty, zabawki i śmieci. Z kuchni i pokoju dobiegał jazgot kłócących się zawzięcie dzieci. Otworzyła podrapane drzwi i pokazała malutki, ciemny pokoić, umeblowany starą szafą podpartą książką i żelaznym łóżkiem. Poza tymi obskurnymi sprzętami stało w nim jeszcze chybotliwe krzesło.

„Pianistę” można by tu kręcić bez dekoracji — przemknęło mi przez myśl, ale zapytałam grzecznie:

— Nie ma stołu?

— Mogie przynieść — powiedział babiszon.

— Ile pani chce za ten pokój? — wycedziłam bez przekonania. Baba to wyczuła i rzuciła pytająco:

— Pięćset złotych?

— No, nie?! Chyba pani żartuje!?

— Czteryście pięćdziesiąt — poprawiła się.

— Nie, tyle to nie jest warte — powiedziałam kategorycznie. — Mogę dać dwieście złotych.

— Za tyle niech mi dupy nie zawraca — powiedziała gderliwie i zamknęła mi drzwi pokoju przed nosem. — Ruskim mogie lepiej wynająć.

— Dobrze, niech będzie dwieście pięćdziesiąt złotych — zaproponowałam.

— Niech spada, niżej trzysta pięćdziesiąt nie dam.

— Mam tylko trzysta — zaskomlałam pokornym głósikiem.

Przyjrzała mi się taksująco i powiedziała:

— Niech będzie moja krzywda — i otworzyła ponownie drzwi do nory, w której miałam nadzieję spędzić noc. Spojrzałam za okno. Robiło się ciemno.

— Dobrze. Biorę. A jest tu klozet i woda?

— Wszystko jest jak trza — powiedziała i z dumą pokazała mi obesrany wychodek z ciekącym nad wiadrem kranem. Luksus, jednym słowem. Znajomy.

— To proszę przynieść jakiś stolik i pościel.

— Pościeli nie ma, ale mogie dać prześcieradło, koc... i jasiek — dorzuciła po chwili zrezygnowana.

— No, niech będzie jasiek. Weszłam do pokoiku, ale zaraz musiałam wyjść, bo pojawił się jakiś obwieś, syn pewnie gospodyni i wtargał stoliczek, brudny jak święta ziemia, a za nim wlaźła Horpyna, rzuciła na łóżko pańskim gestem koc i jasiek i zażądała kasy. Dałam jej siedemdziesiąt złotych zadatku i poprosiłam o klucz. Na co potwór oznajmił z triumfem, że klucza nie ma.

— Jak to nie ma?

— Tak to. Nie ma.

— No to ja poproszę z powrotem forszę — wysyczałam.

Uspokoila się natychmiast i grzeczniej powiedziała:

— Jutro dorobię.

Zdaje się, że trafiłam do jaskini rozbójników. No, ale najważniejsze, że mam gdzie spać. Dobre i to na początek. Powędrowałam do kibla, a potem z lekka obmyta wróciłam do pokoju, podniosłam koc i zobaczyłam kilka porządnie wypasionych karaluchów, które zdawały się

odbywać właśnie jakąś konferencję na moim prześcieradle. Rozdarłam się na cały regulator, czym wystraszyłam karaluchy. Spanikowane rozbiegły się na wszystkie strony i zniknęły.

Gospodyni pojawiła się po minucie, pytając uprzejmie:

— Czego się drze?

Przerażona wykrzyknęłam:

— Karaluchy! Karaluchy!!!

— Gdzie? — zainteresowała się, gapiąc się na mnie jak na głupią.

— Na prześcieradle — wykrztusiłam.

Popatrzyła na puste prześcieradło, na mnie i wzruszyła ramionami.

— A co chciałaś znaleźć w łóżku za tę cenę? Tego, no Wesołowskiego? — Prychnęła i wyszła.

Stałam przez chwilę bezradnie na środku pokoju, a potem sobie pomyślałam: No cóż. No właśnie. Taaak.

I uwaliałam się na brudne wyrko.

Trudno było liczyć na Patissona czy chociaż... Wesołowskiego.

Zasnęłam jak kamień i nawet libacja, która się odbywała w sąsiednim pokoju, budziła mnie tylko na kilka sekund, po których z powrotem nurkowałam w niespokojny sen.

2.08.2011. Gosia

Z Jagniątkowa w świat. Nie tak sobie ten świat wyobrażałam. Trzeba wziąć się z życiem za bary. Pomocować się trochę. Tak sobie kombinowałam rano, gapiąc się przez brudne okno na ślepa ścianę naprzeciwko i wcale ładny kawałek nieba. Tu też było niebieskie. Myślałam, że będzie szare, jak wszystko, co do tej pory widziałam w Warszawie. Trzeba było sobie za dużo nie wyobrażać, skarciłam sama siebie.

Muszę być dla siebie ostra, bo inaczej do niczego nie dojdę. Do akcji! — zakrzyknęłam w myślach. — *Go on*, Gosiu!

Powlokłam się do klozetu, zmoczyłam nos pod kranem i postanowiłam zrobić się na bóstwo. To jeszcze nigdy nie zaszkodziło żadnej panience, która ma ni mniej, ni więcej, jeno podbić świat.

— Ale lalka! — wykrzyknął znajomy mi już facet z nosem jak kalafior, gdy się zjawiłam w kuchni, by przypomnieć gospodyni o obiecany klucz. Siedział przy piwie i gapił się na mnie, śliniąc się z lekka.

— Zamknij się, Remek — fuknęła na niego Horpyna. — Klucz będzie jak się należy. Remek założy — powiedziała wyjaśniająco. Remek gapił się na nią tępym wzrokiem. — No nie, Remek?

Remek nie kumał ani za grosz, o co chodzi. Pokiwał jednak zgodnie brudnym łebkiem.

Powiedziałam grzecznie: — Do widzenia — i udałam się na podbój świata.

Rozdział 2

2.08.2011. *Gosia*

Niestety, świat nie chciał dać się podbić. Wędrowałam po ulicach, szukając jakichś ogłoszeń o robocie. Czytałam wszystkie kartki na słupach i przystankach. Nic.

Spytałam w kilku sklepach, czy kogo nie potrzebują. Zero efektu. Zajrzałam do pośredniaka, straszącego pustą witryną.

Zdaje się, że nie tędy droga.

Przysiadłam na ławeczce na którymś, kolejnym już, przystanku autobusowym i zaczęłam wsuwać placek z jabłkiem, ostatni z tych, które mi mama zapakowała na wyjeździe. Cała moja wyprawka z domu: dziesięć zimnych placków z jabłkami. Dała matusia, co tam miała.

Zżarłam go migiem.

Musiałam pomyśleć. Myślenie ma przyszłość, mówił zjadliwie nasz matematyk. Chyba miał rację. Postanowiłam pojechać do centrum. Taka byłam błyskotliwa. Naprawdę. To wymyśliłam. Kto pyta, nie błądzi — powiada babcia. Babci też należy słuchać. Spytałam więc dziewczyny w moim wieku i odlotowych ciuchach, jak dojechać do centrum. Popatrzyła na mnie jak na przygłupią, ale powiedziała. Pojechałam. Na gapę, jakżeby inaczej.

12.09.2013. *Marcel*

Strach, potworny strach, przerażenie i panika spowodowały nagły atak trwogi nie mniejszy niż we śnie. Usiłowałem przez chwilę uspokoić oddech, a potem poderwałem się nagle, czując mdlący przypływ pewności, że wydarzyło się coś strasznego.

Może jej tu w ogóle nie było. Może to wszystko było snem. Na wpół rozbudzony, starałem się iść powoli i z godnością. Żadnej hysterii — mówiłem sobie. Żadnej hysterii i zaraz się wyjaśni. Czemu tak panikuję? Mag poszła pewnie do klozetu po prostu, a ja jak jakiś dupek wpadam w panikę. To przez ten sen ani chybi.

Koszmar senny i tyle.

Usłużny kelner czy garson podbiegł do mnie natychmiast, gdy przekroczyłem próg tarasu, i zaskrzeczał przymilnie po francusku z fatalnym, śpiewnym akcentem:

— Czym mogę służyć? Może podać drinka?

Odgoniłem go niecierpliwym ruchem ręki i poszedłem, rozglądając się leniwie, w kierunku usytuowanej w głębi holu recepcji. Klimatyzacja szemrała monotonna, jakiś Anglik, blade i różowy, palił cygaro, wyciągnięty w rattanowym fotelu. Przy oknie młody facet klarował coś grubemu jegomościowi, ubranemu w koszulkę Lacosty, wyciągniętą i wymiętą do granic możliwości.

Jej tu nie było. Mimowolnie przyspieszyłem, dopadłem lady recepcji i oparłem się o nią. Portier ze śmiesznym mysim wąsikiem podniósł pytający wzrok. O co, do diabła, powinienem go spytać?

2.08.2011. Gosia

Głowa bolała mnie niemożliwie. Siedziałam w Burger Kingu i piłam herbatę. Zainwestowałam w proszki od bólu głowy, bo mnie dosłownie zemdliło. Nigdy nie miałam migren. Czyżbym przez sam pobyt w Warszawie awansowała do wyższych sfer, jak wiadomo trapionych takimi wymyślnymi dolegliwościami? Jedyne znane mi ofiary migren występowały w lekturze szkolnej pod tytułem „Nad Niemnem”. Oczywiście była to zamożna obywatelka ziemská, jednym słowem hrabinią — jak powiedziała by babcia. Zawędrowałam do wielkiego świata i od razu dostałam migreny. Tylko gdzie ten majątek? Czy też mi się tak łatwo trafił jak migrena?

Przypuszczam, że wątpię. Parę godzin spaceru po centrum Warszawy zdołało mnie maksymalnie. Z czym do ludzi? Co taki wiejski burak jak ja może robić w takim mieście? Gary zmywać albo iść za sprzątaczkę. To wszystko, co mi się jawi jako dostępna dla mnie kariera. Moje ciuchy — totalna nędza. Moje włosy — żalodne kudły, strzyżone nieudolnie przez Tereskę, która miała do tego dryg, tak wszyscy twierdzili.

No, strzygła równo, ale *eto wsio*.

Siedziałam w tym barze i gapiłam się na ludzi. Bałam się, żeby mnie nie wyrzucili, więc ciągle miałam przed sobą niedopitą herbatę.

Co ty tutaj robisz, Małgośka? Wracaj, skądś przyszła — tak sobie myślałam. Ale jakoś to tak głupio. Wyjechać, wydać forszę i wrócić. Do diabła, przecież niejedyni zaczęli od niczego, pocieszałam się.

Skręcało mnie z głodu, więc podeszłam do lady i zamówiłam frytki. Na to było mnie jeszcze stać.

— Może jakiś hamburger? — zaproponowała dziewczyna za kontuarem.

— Nie, dziękuję — powiedziałam schrypniętym od migreny głosem i wtedy zobaczyłam za jej plecami napis: *Przylącz się do naszego zespołu*.

Bóg mnie jednak chyba lubi.

— Szukacie ludzi do pracy? — zapytałam, gdy mi podawała frytki.

— Tak.

— A z kim powinnam pogadać?

— Z menedżerem — powiedziała i pokazała mi krostowatego kurdupła stojącego z drugiej strony lady. Poleciałam do niego w te pędy. Żeby mi nikt posady nie schwycił.

Niestety. Nieaktualne od godziny. Kurdupel przeprosza, napis zaraz zdejmą. I mam się dowiadywać. Średnio dwie, trzy dziewczyny co miesiąc się wykuszają i się przyjmuje nowe. No, uszy do góry, proszę zadzwonić za tydzień. Moja wizytówka, proszę. Życie jest piękne.

Horpyna bankietowała. Wraz z nią Remek, którego już znałam, i jeszcze kilku mi nieznanych Remków. Klucza nie było.

— Remek zapił — wybełkotała wyjaśniająco moja gospodyni. — Jjuutro zrrobi — wystękała i padła na Remka, który się osunął pod tym ciężarem na stół.

Zamknęłam drzwi do swojego pokoju. Zastawiłam je kulawym stolikiem i krzesłem. Ale marna to była ochrona. Dosunęłam jeszcze żelazne łóżko.

Ktoś grzebał w mojej walizce, ale że nic nie miałam, to i nic nie zginęło.

Zabrałam się do czytania, ale kiepsko mi szło. Za dużo wrażeń. Pobudzony umysł i zmęczone ciało nie mogły się ze sobą dogadać.

Miałam o czym myśleć. Jak byłam mała, to wychodziłam z domu, recytując wierszyk

Konopnickiej: „Jam nie baba, jeno chwat, więc w daleki pójde świat”. No i poszłam. I może dostanę tę robotę, w tak zwanym zachodnim koncernie; może już za tydzień?

3.08.2011. Gosia

Rano, jak tylko wstałam, poszłam do kuchni, szukać Horpyny. Nie było jej, za to siedział pan Remek nad piwkiem. Nawet chciał się podzielić ze mną. Ale się nie zgodziłam. Wolałam mu tego nie robić; lepiej mieć w nim sojusznika, niż być hieną podpisującą jego ostatnie piwo. Spytałam, gdzie jest gospodyni.

— Gęś chrapie — oznajmił zapitym basem.

— Dlaczego pan mówi na nią gęś?

— Bo takie jej, kurde, nazwisko.

— Nie wiedziałam. — Przysiadłam się do niego, odsunęłam kilka szklanek, zatłuszczony papier, i oparłam ręce na stole. — Tak pan pije z samego rana? — niezbyt zręcznie zaczęłam konwersację.

— Piwo z rana jak śmietana — błysnął dowcipem pan Remuś. Uśmiechnęłam się przymilnie.

— Jak pan myśli, czy ona zgodzi się mnie zameldować? Podobno teraz nikomu nic do tego, gdzie człowiek mieszka, a gdzie jest zapisany, ale ja tam wolę dmuchać na zimne. No i być prawowitą warszawianką niż jagniętkowianką. Zdecydowanie i absolutnie.

— Żadnego meldunku nie dam — wyszczała Gęś, która wybrała akurat ten moment, aby pojawić się w kuchni. — Mowy nie ma.

— Łatwiej by mi może było pracę znaleźć!

— Mowy nie ma. Do niczego dziś meldunku nie potrzeba.

— Zamelduj, co ci zależy, Gęś — poparł mnie niespodziewanie pan Remek.

— Sam sobie zamelduj, jakżeś taki mądry, i nie jestem dla ciebie żadna gęś, tylko Jagoda mam na imię, zapamiętaj to sobie, głupi młotku — powiedziała Gęś i przywaliła Remkowi przez łeb łapą.

Wyszłam na podwórko znowu podłamana. Głupia Gęś! Usiadłam na ławeczce, gotowa się rozplakać. Już wcześniej obliczyłam sobie, że wytrzymam tu miesiąc, jeśli będę jadła tylko trzy bułki z dżemem albo pasztetem dziennie i na nic ekstra nie wydam pieniędzy. Cieniutko i kruchutko. Może z tym Burger Kingiem się uda wcześniej, ale kto to wie.

Na podwórku pojawił się pan Remek. Przysiadł się do mnie. Ja się nie odzywałam, bo czułam, że się rozryczę.

Remek zagaił:

— Ostra jest ta Gęś, ale to niezła kobita. Dużo chodzenia kosztowało ją uzyskanie w kwaterunku przydziału na ten lokal i nie ma co się jej dziwić, że go broni.

— Ja się nie dziwię — wyjąkałam.

— Taak — powiedział Remek. — A może do agencji byś poszła pracować?

— Do agencji? — Ożywiłam się jak koń wojskowy na dźwięk trąbki. — Do jakiej agencji?

— No, towarzyskiej — wyjaśnił Remek, patrząc na mnie z ukosa.

— Raczej nie... — Przygasałam. W myślach rozważałam taką możliwość przez chwilę, ale nie. Przynajmniej nie teraz.

Patrzyłam tępo na dzieciaki naporzające się koło trzepaka. Przerażliwy ryk poderwał mnie i Remka na nogi. Podbiegliśmy do gówniarzy. Jedno z Gąsiąt rozcięło sobie łuk brwiowy.

— Na pogotowie trzeba — uznałam, gdy otarłam trochę krew i zobaczyłam głębokie rozcięcie.

— Zara się pojedzie — powiedział Remek. Wsadził delikwenta pod pachę i pomaszerował z nim do domu. Po chwili na podwórku pojawiła się Gęś, Remek i obmyty ze krwi Gąsiorek.

— Pani popilnuje dzieci, dopóki nie wrócimy — rzuciła w przelocie Gęsina.

Co miałam zrobić, pilnowałam. Małych Gąsiąt było troje. W sumie Gęsina miała sześcioro dzieci. Najstarszy, Waldek, to był ten szemrany wyrostek, który mi stolik przyniósł. Potem szła Marzenka, która siedziała w poprawczaku, no i ta trójka drobiazgu plus obwieś z raną ciętą. Posiedziałam z nimi na podwórku z pół godziny, a potem zagoniłam całą gromadkę do domu.

— Jeść! — wydarł się najstarszy, sześciolatek Patryk. Rozejrzałam się bezradnie po kuchni, co by tu smarkaczom podać. Zajrzałam do garnka. Pływało w nim coś podobnego do zupy. Włączyłam gaz.

Ścierka. Taki to miało smak. Moja mama to chociaż umiała gotować.

Gęś, niestety, nie. Biedne dzieciaki. Zaczęłam szperać po szafkach i kombinować, czym jeszcze dałoby się tę zupę przyprawić. Przypomniałam sobie lubczyk, który rósł pod figurą Przenajświętszej Panienki. Pobiegłam po parę gałązek. Potem wrzuciłam trochę soli, pieprzu i zasypałam tę samotną kość i nieliczne pasemka kapuchy odrobiną kaszy. Spróbowałam. Całkiem, całkiem. Małe były zachwycone.

Ja też, bo zjadłam ciepły posiłek. Chyba mi się, do cholery, należało za opiekę nad stadkiem.

Niestety, Gęś nie była tego zdania i strasznie się na mnie wydarła, że majstrowałam przy zupie i kaszę jej zużyłam — na co innego ją miała. Zamknęła się, gdy spróbowała zupy. Remek skwitował sprawę krótko:

— Pyszności!

A ja miałam nadzieję, że nikt nie nasusiał na ten lubczyk pod figurą.

Rozdział 3

6.08.2011. Gosia

Trzy dni później wróciłam do domu skonana. W kuchni siedział Remuś i gadał z takim Tadkiem o twarzy przypominającej z lekka tylko ociosany kamień. Przed nimi stało wino o wdzięcznej nazwie Malinowe.

— Dobrze Andrzej tym łobuzom powiedział — darł się Remek. — Aż im w pięty poszło.

— Tak jest! — basował Tazio. — Andrzej prosty jest chłopak, to prosto mówi, ale rację ma i da im popalić.

— Śmierdzi im, że kształcony nie jest, a one co? Kształcone są, i co ludziom narobili? Prawda, pani Małgosiu, że prawdę mówię?

— Jasne, panie Remigiuszu — zgodziłam się dla świętego spokoju i chwyciłam za klamkę drzwi swojego pokoju.

— Co To, to nie — zaprotestował Remek. Podniósł się z krzesła i uklonił się szarmancko. — Żaden ze mnie Remigiusz. Ja jestem Jeremi. Jeremi Żongołłowicz do usług.

Z lekka mnie zatkało. Ambitnie się nazywa ten Remuś.

— Bardzo mi miło.

— Może brudzia by my wypili, pani Małgosiu, tak po sąsiedzku?

— Nie, dziękuję, panie Remku, ale pić mi się nie chce — rzuciłam szybko i zniknęłam czym prędzej za drzwiami swojej nory.

12.09.2013. Marcel

— Szukam mademoiselle Habiche, czy pan jej nie widział?

— Mademoiselle Abisz? — powtórzył. H przydechowe zabrzmiało w jego ustach jak górne C, poszybowało wysoko i zmieniło się w jakieś zadziwiające A, wydeklamowane na wdechu. Zabrzmiało to jak westchnienie ciężko zmartwionej osoby. Zniecierpliwiony przypomniałem mu spiesznie:

— Taka wysoka brunetka, krótkie włosy...

Wykonałem ruch, starając się zobrazować dłońmi niezwykle, wijące się niepokornie pukle mmlle Abisz.

— Przyjechała wczoraj ze mną. Na pewno pan pamięta.

— Aaa! *La belle fille. Très belle, je me souviens évidemment! Mai...* — rozłożył ręce w geście bezradności. — Nie widziałem jej teraz. — Odwrócił się i zlustrował uważnie tablicę z kluczami na długich dekoracyjnych sznurkach, zakończonych iście królewskimi chwaścikami. — Klucz jest na miejscu.

Tyle to sam zauważałem. Rzuciłem niedbale *merci* i powędrowałem dalej. Gdzie też mogła zniknąć — deliberowałem. Przecież na dobrą sprawę nie ma tu gdzie iść. Martynika to wyspa gorąca prawie tak jak Kuba, ale rozrywek tu jakby mniej. Zresztą, kompleks hotelowy dostarczał wszystkiego, czego było nam trzeba. A zwiedzanie planowaliśmy rozpocząć dopiero po kilku dniach, gdy się nieco zaaklimatyzujemy i odpoczniemy. Gdzie więc mogła powędrować ta moja Małgoś? Pomaszerowałem do baru. Siedziała przy nim grupka rozbawionych Szwedów

czy Norwegów i samotna Amerykanka w wieku postklimakterycznym, jak mówią Francuzi, *la femme rompu* — kobieta rozpadająca się.

Jej jednak nie było. Piękna mmle zniknęła jak sen jaki złoty. Nalałem sobie soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy, kazałem kelnerowi wrzucić do niego kilka kostek lodu i wypilem pod taksującym spojrzeniem podstarzałej poszukiwaczki skarbów. Takich czy innych.

Gdzie też ona mi zniknęła — myślałem gorączkowo, starając się zwalczyć opanowujący mnie znowu przyływ paniki. Do cholery, gdzie ona jest, gdzie poszła, gdzie też ona mogła pójść?!

Nagle skojarzyłem. Walnąłem odstawianą szklanką tak mocno o blat, że najbliższy Norweg odwrócił się zaniepokojony. Ależ ze mnie idiota, zaspany idiota. Przecież na pewno poszła na basen. Klnąc pod nosem swoją głupotę, pomaszerowałem żwawo w stronę basenu.

12.08.2011. Gosia

Jasny gwint. W mętach społecznych mam zastosowanie — jak pisała Mniszkówna w ulubionej powieści mojej babci. W „Trędowatej” mianowicie. Kariera w Warszawie i jedyny znajomy to pan Remek. Walnęłam o ścianę torebką. Potem jednym butem i drugim. Potem zaś zakląłam paskudnie. Padłam na łóżko i zaraz przypomniał mi się ten bubek, który dostał dzisiaj ataku śmiechu, jak zobaczył moje cv, starannie wykaligrafowane na kartce papieru z zeszytu Waldka. Złamany kutas. Żeby on wiedział, że dopiero wczoraj z dużym trudem udało mi się dowiedzieć, co to jest w ogóle to si-wi, co je wszyscy ode mnie chcą. Walnęłam jeszcze książką o ścianę. Boję się, że bibliotekarka rąbnie mi niezłą karę za zniszczenie książek, jak wrócę do Jagniątkowa.

Za nic. Nigdy nie wrócę. Zamieszkać na Centralnym. Zostanę kloszardzicą, ale nie wrócę. Poszłam do kuchni zrobić sobie herbaty. Remek ciągle bredził o tym swoim jakimś kumplu.

— Bo to wszystko swołocz straszna, jeden Jarek jest w porządku. Proszę to uwzględnić — zwrócił się do mnie.

— Jasne, panie Jeremi, dobrze pan mówi — powiedziałam na odczepnego, czekając, aż woda się zagotuje. Remek się ucieszył.

— Widzisz, Tadek, dobrze mówię, dobrze mówię. — Na stole stało już wino Arizona. Też na pewno pyszne.

Zrobiłam herbatę i wróciłam do swojej nory. Ten dzień był jednym pasmem klęsk. Moje cv wywoływało śmiech, moje kwalifikacje kpinę i rozbawienie. Jestem totalnym zerem — trzeba sobie to jasno uświadomić. Z komputera korzystałam w szkolnej bibliotece. Faks czy ksero widziałam w sekretariacie. Angielski znałam z filmów. *Fuck it*. U nas nauczali rosyjskiego, a co im szkodziło. Szwaczka ma szyć, a nie konwersować w obcych językach, *fuck off*. To tylko miałam do powiedzenia.

Wyglądało to wszystko gorzej niż źle. Jednym słowem *shit*. Forsa mi się kończyła, a ja tyle zdziałalam, że się dowiedziałam, że jestem nikim: nic nie umiem, nic nie jestem warta.

No cóż, niektórzy przez całe życie nie zdobędą i takiej wiedzy.

Burger też żaden King się nie okazał. I dobrze.

Patrzyłam na ścianę za oknem — na kawałek błękitu, szarzejący już, rozmywający się w przedwieczornym cieniu, i buntowałam się przeciwko światu i ludziom. Dlaczego jedni mają tak łatwo i prosTo, a ja muszę się tyle namęczyć, nakręcić i nic na dodatek nie zdobyć. To, do cholery, nie jest sprawiedliwe. Ja też chcę mieć ładne ciuchy i jeść lody i hamburgery, a nie

bawić swoją głupotą podstarzałe pawiany w biurach, gdzie chodzę za pracą. Te ich uśmieszki. Kurna.

Źle spałam. Wiedziałam, że zostało mi już niewiele czasu. Tydzień. Miałam forsę na tydzień.

W lustrze w korytarzu widziałam wychudzonego upiora z wystraszonymi oczami. To na pewno przez To, że lustro jest obsrane przez muchy — pocieszyłam sama siebie. Nie jest tak źle. Całe szczęście, że kupiłam te proszki od bólu głowy, bo bolała mnie na okrągło. Wyjęłam książkę spod szafy. Zamieniłam na Quick Amandę.

„Jak hartowała się stal”.

Ładny tytuł. Pewnie rzecz będzie o wytopie surówki. Trudno. Lubię czytać. Takie zboczenie. Tutaj za radą tygryscy w legginsach, czyli pani Lidki, fryzjerki z ulicy Brzeskiej, czytałam poniedziałkową „Gazetę Wyborczą”. Koncentrowałam się oczywiście na ogłoszeniach z działu Praca, ale resztę też dokładnie studiowałam. Prawdę mówiąc, mogła wybuchnąć wojna światowa, a ja dowiedziałabym się o tym w najbliższy poniedziałek. Gęś oczywiście miała telewizor, ale nie chciałam się do niej wpychać. Zresztą, nawet i chęci nie miałam po tym, jak mnie czołgali w tych różnych biurach, sklepach i magazynach. Nawet na kelnerkę nie miałam kwalifikacji. Wymagali oczywiście badań i języka. Lepiej zapomnijmy o tym. Poczytajmy o wytopie surówki.

To była chała, ta książka, ale dobrze się czytała. Rok wydania 1951. Ciekawe, czy od tego właśnie czasu podpierała szafę. Produkcyjniak — tak się nazywał ten rodzaj literatury. Jednak dawała się czytać i poruszała wyobraźnię. Naprawdę, miałam dzięki niej kilka godzin relaksu. Zaczytałam się. Może zostanę aktywistką jakiejś partii odrzuconych.

Ciepły letni wieczór wyгнаł mnie na podwórko. Niestety, ławeczka była zajęta przez pana Jeremiego i jego kumpla, Tadzia. Remek przywołał mnie zachęcającym gestem. Klapnęłam koło nich. Zaproponowali mi wino z gwinta. Chwilę się wahałam.

Zawsze to jakieś kalorie. Nie, jednak nie. Głodni nie powinni pić.

— Może później — powiedziałam.

— No i co, nie ma roboty? — zagadał Remek.

— Ano nie ma — odparłam zrezygnowana. Nogi mi odpadały. Cały dzień kłusowałam po wszystkich miejscach, które dawały choć cień nadziei na jakąś robotę. Najlepsze co słyszałam to To, że rozważą moją ofertę. Jasne. Niech im Pan Bóg da zdrowie.

— Żeby żyć, kaskaderem trzeba być — powiedział sentencjonalnie Remek, a potem dodał: — Ja słyszałem o jednej takiej robocie, ale Małgosia by jej pewnie nie chciała.

— W agencji? — zapytałam.

— Nie, to nie to. Niezupełnie... W pip szoł.

— W czym? — Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

— To są takie tancerki — powiedział Tadek, zerkając na mnie swoim kaprawym oczkiem.

— Tańczyć to ja nie umiem. Żeby tańczyć zawodowo, to trzeba się długo uczyć — poinformowałam Remusia.

— Taki taniec to nietrudny. Pilnie kogoś szukają, bo Sylwia odeszła bez słowa — poinformował Remek Tadzka, najwyraźniej nieźle się orientującego w temacie. — Możemy pójść, to byś pogadała — zaproponował.

Czemu nie, pogadać mogłam zawsze.

I tak zostałam tancerką topless po godzinnym przeszkoleniu przez Tatianę, tłusciutką Ukrainkę.

Rozdział 4

26.08.2011. *Gosia*

Forsę zaproponowali niezłą. Poruszałam się chwilę przed Sebastianem, szefem, kasjerem i ochroniarzem w jednej osobie. Popatrzył przez minutę na moje wygibasy i powiedział krótko a treściwie:

— Dobra, biorę cię.

Zatkało mnie. Nawet mi w głowie nie powstała myśl, że dostanę tę robotę. Sprawa się wyjaśniła po chwili. Miałam tańczyć goła, no prawie goła. Ale sobie pomyślałam: Trudno, nikt mnie tu nie zna, a dzięki temu nie wrócę do Jagniątkowa. Babcia mówiła: „Żadna praca nie hańbi” — i przecież od czegoś trzeba zacząć.

Branża rozrywkowa, tak napiszę do domu.

Spoko. Było spoko. Bałam się jak diabli, ale się przyzwyczałam. Myślałam o czymś innym i tańczyłam jako Słodka Marzenka. Trochę mnie denerwowali Remek i Tadek, bo byli moimi prawdziwymi fanami. Zaciskałam szczęki i jakoś szło do przodu. Sebastian raz czy dwa pchał się z łapami, ale mu powiedziałam, że jeszcze raz mnie dotknie i spadam. Uwierzył i się odkleił. Interes przede wszystkim. Praca była męcząca, a kasy dalej nie miałam, bo Sebastian nie chciał dać żadnego zadatku.

„Po miesiącu” — mówił. Głupi dupek. Nie miałam już prawie grosza. Próbowałam pożyczyć od Tani. Bez skutku. Skuliła się tak jakoś i odmówiła. Padnę im z głodu, jak tak dalej pójdzie. Penetrowałam nocą lodówkę Gęsi, ale puchy tam były straszne i nie dało się prawie nic uskubać. Ot, ukroiłam sobie kawałek kapusty albo zjadłam jej marchewkę. Co zresztą zauważyła i zrobiła straszną zadymę. Nie miała jednak pewności, że to ja. Małe i duże Gąsiątka też chodziły głodnawe. Za radą kroścatego Waldusia jeździłam przed południem do supermarketów i wbiepzałam tam, co się dało, przechadzając się wzdłuż regałów. Dzięki temu jakoś przetrwałam. Gęś, wiedząc, że mam robotę, zgodziła się łaskawie poczekać na kasę za mieszkanie do końca pierwszego miesiąca mojej pracy. Cienko było. Ale do przodu.

21.09.2011. *Gosia*

Na dworze zrobiło się zimno. Padało i wiało. A był dopiero dwudziesty września. Pogoda mi raczej nie sprzyjała. Miałam tylko marną, podszytą wiatrem kurteczkę. Zimy w niej nie przechodzę, to pewne.

Tańczyłam w takt salsy i bałam się, że padnę na glebę. Głowa mnie bolała jak głupia. Proszek, który zwinęłam przedpołudniem w markecie, przestawał działać. To oczywiście z głodu. Cholera.

Palant z drugiej strony szyby jęczał i chrypiał. Gnój jeden, że też mu się nie znudzi. W końcu polazł. Pobiegłam szybko do Sebka. Siedział na kasie i czyścił paznokcie nożem. Popatrzył na mnie tępo. Bystry on nie był, ale swoje wiedział i się tego trzymał kurczowo. Taką miał taktykę. Czy linię obrony przed światem. Nieudolnie próbował sprawiać wrażenie gangstera czy mafiosa. Ogolony łeb i obowiązkowy dresik. Było jednak w nim coś miękkiego, co szybko demaskowało jego pozę. Tępy był niesłuchanie, jak plastikowy widelec, jak posłanka, ta, no na

W.

— Spadam, Sebek. Dłużej nie mogę. Daj mi parę groszy, Sebek! Z głodu ci padnę.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Nie chrzań, mała. O forsie nie ma mowy. Znasz zasady. Jak chcesz, to spadaj. Deszcz pada, nie ma ruchu.

— Dzięki — kiwnęłam mu ręką i się zmyłam w mgnieniu oka, wrzucając na kusy kostium swoje zasłużone džinsy i sweter Jarka.

Na ulicy było ciemno i pusto. Nie lubiłam tych powrotów. No, ale co zrobić — taki zawód. Wysokiego ryzyka, można powiedzieć. Na Tanię zawsze ktoś czekał. Dawała dupy po godzinach, tak że to byli klienci przeważnie. Ja do domu zasuwałam sama. Samotny biały żagiel, to cała ja — pomyślałam i ruszyłam ostro do przodu. Prawie natychmiast potknęłam się o coś miękkiego.

— Co, do jasnej cholery, się tutaj przewala — zakląłam na głos, by dodać sobie odwagi, i w tym momencie rozpoznałam tego palanta, ostatniego mojego klienta. Leżał rozwalony jak basza w kałuży i coś bulgotał. Pochyliłam się nad nim. Pijany był i tyle. Padł parę kroków od firmy. Zastanawiałam się przez chwilę, co z nim zrobić.

Zdecydowałam się nic nie robić i lecieć szybko do domu, gdy zauważyłam jego płaszcz. A w tym płaszczu, w wewnętrznej kieszeni, bardzo wyraźnie było widać portfel. Portfel, który właściwie wypadł na ziemię. Dużo nie myślałam, tylko szybkoitko złapałam ten portfel i jeszcze szybciej się zmyłam. Gostek coś jęczał, ale nawet się nie obejrzałam.

Byle do przodu, byle do domu. Jak cyklon wpadłam na naszą klatkę schodową, gdzie właśnie na półpiętrze pan Remek się odlewał na schody. Schował swojego zwiędłego kutasika i powiedział elegancko:

— Szanowanie, pani Małgosiu. Z pracy wracamy?

— A tak, z pracy. Czy to ładnie tak, panie Remku, na klatkę?

— Nie ja pierwszy, nie ja ostatni, pani Małgosiu — wymruczał sentencjonalnie.

Pociągnęłam nosem. Rzeczywiście. Nie on pierwszy, nie on ostatni.

Strasznie śmierdziało. Pomknęłam skrzypiącymi schodami na górę, a Remek za mną.

Otworzyłam drzwi i zaczekałam sekundę na Remka, ale ten minął mnie i pomaszerował wyżej.

— Nie wstępuje pan do nas dzisiaj? — zdziwiłam się.

— Nie — odparł. — Dzisiaj nocuję u swojej ślubnej.

W ten sposób dowiedziałam się, że Remuś ma małżonkę i to mieszkającą tuż nad nami.

12.09.2013. Marcel

Na basenie nie było tłumów. Na to ten hotel był zbyt luksusowy. Kilka osób niespiesznie i monotonicznie pływało wzdłuż linii brzegu, jakaś dziewczyna w śmiesznym kostiumiku wystylizowanym na lata dwudzieste stała oparta o poręcz i gapiała się na przystojnego chłopaka, który popisywał się, stając w wodzie na głowie. Na leżakach przy basenie siedziała grupka kobiet, które coś sobie opowiadały, zanosząc się śmiechem.

Jej nie było. Panna Habich mi zniknęła.

Najlepiej zachować do tego dystans. Gdzieś tu musi być. Może się minęliśmy. Może wróciła na plażę. A ja idiota szukam jej jak ktoś głupi — gadałem do siebie w duchu.

Zawróciłem i powędrowałem z powrotem w kierunku plaży i naszego miejsca, ślicznie i sprytnie usytuowanego pod wielkim, charakterystycznym dla Martyniki drzewem podróżników.

Staralem się iść niespiesznie, ale moja panika rosła.

Gdzie ona, do diabła, polazła. Czy ja już kompletnie zwariowałem, żeby ganiać tutaj, w tym upale, za jedną jakąś sztuką. Nawet tak fascynującą jak panna Abisz, jak to wymawiał portier.

Mmlle Abisz u et wu?! — miałem ochotę zawołać. Dystans, dystans jest najważniejszy. Przecież chyba mi nie uciekła...

Dlaczego, do diabła, miałyby to zrobić?

23.09.2011. Gosia

W swoim pokoju zastawiłam drzwi i otworzyłam portfel. Janusz Osiński nazywał się ten gościu. Miał, bagatela, osiemset sześćdziesiąt złotych i kartę kredytową. W życiu nie miałam takiej gotówki. Chwilę pomyślałam, schowałam kasę i kartę, a resztę rzeczy wyniosłam do śmietnika. Wrzuciłam głęboko na dno. Nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. Jak ja bym nie wzięła tego portfela, wzięłaby następna osoba przechodząca ulicą. Na bank. Głupi gostek, na drugi raz nie będzie się włóczył naprany po mieście. Babcia zawsze mówiła: „Nie złapiesz myszy w rękawiczkach”. To było to. Jak chcę do czegoś dojść, nie mogę mieć skrupułów. Tak, właśnie.

W nocy nie spałam. Nie, żadnych wyrzutów sumienia. Nic z tych rzeczy. Ta karta kredytowa nie dawała mi spać. Raz kozie śmierć.

Chcesz wydoić kozę, musisz się schylić. Kto nie ryzykuje, ten nie ma. Proste ludowe mądrości, tego mi najbardziej potrzeba. Dają odpowiedź na wszystko.

Obudziłam kroścatego Waldunia. Szybko pojął, o co biega. I zgodził się zaryzykować. Pomknęliśmy do supermarketu.

Jasne, że się bałam. Mogła już być zastrzeżona. Waldek też się bał, ale miał piętnaście lat i groził mu tylko poprawczak. Kochany Waldek. Powiedział:

— Najwyżej spotkam się z Marzenką. Tam nie jest źle. Jeść dają regularnie...

Ręka w rękę, ramię przy ramieniu, ruszyliśmy wzdłuż półek. Postanowiliśmy wydać siedemset złotych. Mieliśmy nadzieję, że karta to łyknie. Kupiłam sobie szynkę i chleb, jeszcze wzięłam masło i szampon. Potem już tylko kurtkę zimową. Waldek chwycił empe4 i trzy gierki. Ja się zmyłam, a on pomknął do kasy. Stałam nieopodal i dodawałam mu odwagi. Miał pokerową twarz, gówniarz jeden. Daleko zajdzie, bez dwóch zdań.

Przeszła. Podpisał. Wyszliśmy. Nikt się nami nie zainteresował.

To było świetne zagranie. Nareszcie jakiś sukces. Coś mi się udało.

Zabrałam swoje zabawki, kartę wrzuciłam do śmieci i pożegnałam czule swojego współnika. Pomknęłam do Burger Kinga. Zamówiłam wielkiego hamburgera, podwójne frytki i colę. To było to. Pożarłam wszystko w sekundę. Chciałam wziąć jeszcze jednego, ale z głodu żołądek mi się skurczył. Nie dałam rady. Wróciłam do domu szczęśliwa jak wróbelek.

Miałam kasę, miałam luz, miałam jakieś perspektywy.

Poszłam jak zwykle do roboty, ale cały czas kombinowałam, że powinnam mądrze tę kasę wykorzystać. Drugi raz mi się nie trafi, to pewne.

Wróciłam do domu, powiesiłam kurteczkę na kulawym krześle i popatrując na nią z upodobaniem, położyłam się na łóżku i dalejże myślenie.

Powinnam zmienić mieszkanie. Jakiś pokój u normalnych ludzi, a nie w melinie — to po pierwsze. A po drugie — jakieś kursy. Komputerowe, na przykład. To chyba zacne spożytkowanie kasy, o którą się potknęłam. Zastawiałam się, czy nie podesłać paru złotych babci albo mamie.

Ale nie, nie zdecydowałam się na to. Za wcześnie na takie ruchy. Im to wiele nie pomoże, mnie może zmienić wszystko. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

W nocy wepchał się do mnie Walduś. Uznał widać, że mamy spółę we wszystkich dziedzinach. Kopnęłam go w jaja i wypieprzyłam w trzy minuty.

Gnój. Głupi gnój. Rano próbował coś dziamgać, ale go zgasiłam z mety:

— Chcesz wypluć empeczke glinom na biurko?

Zamknął się. Jakieś resztki rozumu posiada, Bogu dzięki.

Rozdział 5

12.09.2013. Marcel

Nigdzie jej nie było. Nigdzie.

Wróciłem na plażę, ale pod trzciniowym daszkiem też było pusto. Co tej dziewczynie mogło wpaść do głowy? Mag była trochę szalona, zabawna i wciąż mnie zaskakująca.

Gdzie ona się podziała? Czas upływał, a jej nie było. Powinienem może zgłosić zaginięcie na policję. Ale raz, że było jeszcze za wcześnie na takie ruchy, a dwa, że jakoś nie chciało mi się chwalić innym facetom, że mi laska nawiała.

Najlepsze, co mogłem zrobić, to wrócić do pokoju i się napić. Co też uczyniłem.

Mag była nieobliczalna.

Pamiętam, jak ją pierwszy raz zobaczyłem na przyjęciu w Antinousie. To był klub dla koneserów sztuki i gejów. Nie jestem gejem. Raczej koneserem — sztuki czy sztuk wszelakich. Chłopcy mnie nie bawią, ale tak jak całemu towarzystwu, podobała mi się panująca w tym lekko popapranych klubie atmosfera dekadencji, zepsucia i naprawdę dużych pieniędzy. Wszystko tam było wyjątkowe, począwszy od wystroju, który przypominał skrzyżowanie burdelu z rzymską łaźnią, a skończywszy na towarzystwie, które się przewijało. Każdy albo był kimś, albo był do wyjęcia.

Ona stała przy barze i przerzucała się grepsami z grupą młodych facetów z telewizji. Rzucała się w oczy — nawet tam, gdzie wszyscy zwrócenie uwagi uważali za swój cel podstawowy. Wyższa od swych kolegów, naprawdę robiła wrażenie. Stałem z tyłu i czekałem na stosowny moment, by ją poderwać.

Gdy tylko zobaczyłem jej twarz, jej uśmiech, powiedziałem sobie: Ta. Dzisiaj ta. I miałem niezbitą pewność, że tak będzie. Zawsze było.

Coś opowiadając, potrąciła łokciem mój kieliszek. Szczęśliwy traf. A może i nie? Może zrobiła to specjalnie? Kieliszek potoczył się po podłodze, oblewając po drodze moją koszulę. Sytuacja wręcz modelowa. Pomyślałem, że znajomość mam w kieszeni. I panienkę do łóżka na wieczór.

Niestety.

— Przepraszam — powiedziała. Uśmiechnęła się prześlicznie, schyliła po kieliszek, podniosła go, postawiła na ladzie i odwróciła się z powrotem do swoich kumpli.

Zatkało mnie.

Dziewięć na dziesięć kobiet w tej knajpie marzyło o tym, żeby mnie wyjąć.

Nie, nie jestem idiotą ani megalomanem.

Taka jest prawda.

Wyglądam, no... nieźle, i mam kasę. Tę największą. Toteż od dawna trwa bezustanne polowanie na mnie. To mało przyjemne. A równocześnie przyjemne. Daje taką łatwość. Już się przyzwyczaiłem. Każdy musi dźwigać swój krzyż. Mój akurat jest taki. Znoszę to z godnością...

Pociągnąłem łyk whisky. Tak, trochę mnie to wtedy ruszyło. Potraktowała mnie, jakbym był niewidzialny. Odwykłem od tego i dlatego rzuciłem jej jakiś banalny greps, nic niestety błyskotliwego, coś w rodzaju: Ale pani roztargniona.

Znowu odwróciła się do mnie, popatrzyła, ale nawet jeden mięsień jej nie drgnął. Jej

towarzysz, znany prezenter, zatrzepotał rękami i wgapiał się we mnie zachęcająco — a ona nic. Dalej opowiadała, jak kupiła sobie na Nowy Rok czerwoną bieliznę, włożyła ją i nic, żadnych atrakcji, cały wieczór oglądała kreskówki.

— Może ja je pani zapewnię? — wtrąciłem się do rozmowy.

Odwróciła się do mnie ze wzgardliwą miną. Otworzyła usta, a ja już wiedziałem, że za chwilę będę się musiał zmyć jak niepyszny, jak jakiś namolny burak z podmiejskiego baru. Uratował mnie efeb z telewizora.

— Nie krzycz na pana, Mag, pan nie ma złych zamiarów — powiedział przymilnie i przewrócił oczami. Podmalowanymi. Jeszcze nigdy mój upadek nie był tak wielki. Ten palancik ratował mnie z opresji. — Czytałem wczoraj wywiad z panem. Może zgodziłby się pan wystąpić w moim programie? Moglibyśmy rozwinąć pewne kwestie, to byłoby takie super, na przykład To, co pan mówił o korupcji w branży paliwowej...

Boże! Bredził, a ja gapiłem się na Mag. A Mag na mnie.

A potem uśmiechnęła się i pomyślałem, tak, pomyślałem, że rozpoznała mnie i że teraz pójdzie łatwo. Ale ona tylko wykrzyknęła: — O! widzę Zonia... — i pomknęła na drugi koniec sali. Duchowi memu dała w pysk i poszła. Czy ja straciłem kasę i o tym nie wiem? Legendarną charyzmę i wzięcie? Czy jestem przezroczystry? Powiedziałem do dupka z TV:

— Niech się pan skontaktuje z moim asystentem w sprawie wywiadu. Do widzenia.

I pomaszerowałem do wyjścia, zły jak diabli, widząc, że sztuka, która mi się spodobała, szczerzy się do tego nowego idola mediów. Głupia dziwka. Zoń! Też coś!

Rozdział 6

30.09.2011. *Gosia*

Pracowałam normalnie od dwunastej do ostatniego klienta. Znalazłam w „Wyborczej” kurs komputerowy od ósmej do jedenastej za pięć stów. Kupa forsy. Miałam jednak nadzieję, że to będzie dobra inwestycja.

Wyszykowałam się na ten kurs jak stróż w Boże Ciało. Włożyłam najlepsze ciuchy, wymyłam włosy, zrobiłam makijaż. To miało być otwarcie, początek tego nowego w moim życiu.

Oczywiście, rozczarowałam się. W sali siedziało kilka spłoszonych czterdziestolatek, które wpadały w panikę przy każdym kliknięciu myszką. Podstawowe reguły działania tej piekielnej maszyny o nazwie komputer usiłował im włożyć do głowy chudziutki i drobniutki student informatyki, Marek.

Chwytałam wszystko w lot. One nie kumały, a ja szłam jak burza. Marek był zachwycony. Ja też. Może nie jestem taka najgorsza. To przecież pewnie były urzędniczki z tych wszystkich biur, z których mnie wypieprzano, chichocząc z mojego cv. Nie jestem widać taka głupia, na jaką wyglądam.

Biegałam na kurs z szalonym entuzjazmem. Pytałam Marka o wszystko, co tylko do głowy mi przyszło. One uczyły się Worda, ja budowania baz danych, którego nie było w programie. Mareczek, ku wściekłości babonów, nie odchodził od mojego stanowiska.

A jak odchodził, to go zaraz wołałam. Strasznie byłam pazerna na tę wiedzę. Nie omieszkiałam zresztą przy okazji napisać sobie odlotowego cv i wydrukować go w kilkudziesięciu egzemplarzach. Młoda, inteligentna, pracowita, znajomość dwóch języków obcych i komputera — to właśnie ja.

Marek zapytał mnie:

— Co robisz?

Popatrzyłam mu głęboko w oczy i wyszeptalam głosem obniżonym o oktawę:

— To zależy od partnera...

Zatkało go; zaczerwienił się i zmieszał.

— To taki żart — powiedziałam szybko. — Przygotowuję się do studiów i jestem kelnerką.

Uspokoił się. No, no. Nie wiedziałam, że mogę wystraszyć faceta. Ten greps widziałam w jakimś filmie i złe mnie podkusiło, aby go użyć. Może zresztą wcale nie złe. Bo kilka dni później wylądowaliśmy z Markiem w kinie. Pierwsza randka w wielkim mieście. Ze studentem. Zerwałam się z roboty, by na nią pójść.

Centrum handlowe, do którego zabrał mnie Marek, wyglądało jak z bajki. Albo z amerykańskiego filmu. Fontanna, sklepy, restauracje... Zatkało mnie. Otworzyłam usta i szłam jak najarana. Marek coś gadał, ale słowa nie rozumiałam.

— Ale odlot! — wyjęczałam z trudem.

— Co mówisz?

— No, ten sklep... Niezły jest!

— Tak. To się nazywa mall. Takie duże centrum handlowe. To amerykańska nazwa.

Nigdy w takim nie byłaś?

— Jakoś się nie złożyło. Wiesz, u nas w Jagniątkowie jeszcze takiego nie otworzyli.

— To duże zaniedbanie.

— Ano! — powiedziała gapowa To, bo właśnie zobaczyłam taką jedną aktorkę, która gra w „Ojcu Mateuszu”. Mierzyła płaszcz. Jasny gwint! To one tutaj po ulicach chodzą. Gapiłam się jak ostatni burak. Marek pociągnął mnie za rękaw.

— No chodź, Gośka. Spóźnimy się na film.

Oprzytomniałam i pomaszero wałam za nim jak robot. Głowa mnie znowu bolała.

Ale raj.

Chętnie bym tu zamieszkała i nigdy nie wychodziła. Samych sal kinowych było czternaście. A ile kafejek, sklepów! Solennie przyobiecałam sobie, że wrócę jeszcze nieraz do tego malla czy jak mu tam.

Mało pamiętam z tego filmu. Coś to było o jakimś helikopterze, do którego strzelali jacyś Arabowie. I taka ręka leżała. Odrąbana. Brrr. Markowi się podobało. A ja sobie o tych sklepach myślałam. Poszalałabym w nich, oj, poszalała. Gdy wyszliśmy z kina, Marek zapytał:

— Zjadłabyś coś?

Kiwnęłam głową z entuzjazmem.

Zaprosił mnie na takie ostre skrzydełka kurczaka. To się hot wings nazywa.

— Dlaczego po angielsku? — spytałam Marka.

— To taka firma międzynarodowa — wyjaśnił mi, trochę zniecierpliwiony moim ewidentnym tumaństwem. Strasznie głupia jestem, niestety. Kmiot prosto od krowy. Potem pogadaliśmy o jego studiach i spytałam, jak i gdzie się uczyć angielskiego. Najtaniej oczywiście.

— Niestety, najtaniej to nie ma — poinformował mnie Marek. — Wszędzie jest drogo.

A potem zaproponował, że może mi na początku trochę pomóc. Jednym słowem pouczy mnie deczko tego, co sam umie.

— Jesteś słodki — wykrzyknęłam i pocałowałam go w policzek. Zaczerwienił się jak piwonia. Rany! Czyżby był on jakąś dziewczicą, no, tym... prawiczkiem? Ten jego trądzik? Rany Jezusa! W co ja się pakuję?!

Spać w nocy nie mogłam. Ależ ta Warszawa jest super! Nic mnie stąd nie wyorze — przyobiecałam sobie solennie.

U Jagody Gęsi, mojej szanownej gospodyni, trwała permanentna imprezka. Słyszałam, jak Remek klóci się z jakimś gościem o sznapsbarytonie bardzo, niestety, dobrze słyszalnym w promieniu kilometra, o wyższość Tuska nad Jareczkiem. No i czy dobrze, że posunął tą babę z rządu.

— Ładna kobitka była, to chciał ją od tych gangsterów wyciągnąć, ale się naciął, bo ona jakiegoś prokuratora popierała, co niejedno miał na sumieniu.

— Co ty Remek bredzisz! Była, bo była. Nie wiesz, że Mysiadło, gdzie te pomidory robiom, to jej, i tego, jak mu tam, Kaczyńskiego. Nie pilnowali interesu i tyle ludzi robotę straciło. A jeszcze ma z tym tłustym, od lekarzy, te restauracje na Starówce i ten teatr, no ten, co tam tych dwóch rozwalili. Jej na złość rozwalili — dowodził Rychu, ten ze złamanym nosem.

— Głupi jesteś, nie teatr, MPO jest jej, bo wiesz, ten Covectrim w Alejach, to tego marszałka od sejmu. Jasiak mi to mówił.

— Jaki Jasiak?

— No ten, co motorniczym jest. On dużo słyszy w robocie. On wie, i on mi jeszcze mówił... — chrząkał barytonik, ale już nie słuchałam tej dysputy politycznej.

Co mi tam polityka, kasę bym chciała mieć i tyle.

2.10.2011. Gosia

Rano obudziłam się w świetnym nastroju. Leżałam sobie w barłożku i kombinowałam, na co wydam swoją pierwszą pensję. Bo dostałam takową: milutki pliczek szeleszczących banknocików.

Zdawało mi się, głupiej, że to fura pieniędzy, ale jak co do czego przyszło, to kupiłam sobie raptem trzy pary majtek i trzy pary rajstop. No i buty, zupełnie super i niedrogie. Kozaczki z frędzlami. Chodziłam po tej galerii i gapiłam się na swoje buty. Lekko skrzypiały i wydawało mi się, że inne dziewczyny zerkają na nie. Naprawdę fajne butki. Kupiłam też zapas jedzenia. Dżemu nie kupiłam. Koniec z dżemem, koniec z pasztetem. Wędlinę będę jadła. I pomidory, i banany. Stać mnie. A potem objuczona torbami pojechałam na ostatnie piętro i przeszłam się powoli wzdłuż restauracyjek. Hamburgery już jadłam, hot wingsy już jadłam. Czas na chińszczyznę. Zamówiłam kurczaka w sosie słodko-kwaśnym. Dziwne to trochę, ale smaczne. Następnym razem spróbuję kuchni greckiej.

— Ale się nam Małgosia wygrubasiła — wychrypiał Remuś, smętnie bełtając samotną herbatkę w Gęsinej kuchni. Gęś obrzuciła mnie złym spojrzeniem, a Gąsiątka zamilkły na minutę, wgapiając się w moje torby.

— Co pan gada, panie Remku?

— No, nawciągałaś się w tym szole. Nowe buty, kurtka.

— Niestety, ale nie jarzę, o co biega? — Prostny język dla prostego faceta. Tak trzymać.

— Nachapałaś się, mówiąc po polskiemu.

— Aaa! Od razu trzeba było tak mówić. Jak wyglądam? — Obróciłam się zalotnie.

— Jak zza krzaka — złośliwie zagdakała Gęś. A raczej zagęgała, zaraza jedna. I zaraz dodała: — Za czynsz to nie łaska zapłacić?

— Już płacę — powiedziałam. Pańskim gestem wyjęłam piterek i wyłuskałam stosowną kwotę.

— No, tak się należy i od razu inna będzie rozmowa — ożywił się Remek i wrzasnął dzikim głosem do Waldka siedzącego w drugim pokoju: — Waldek!!! Waldek, skocz do sklepu!

— Ani mi się śni. Sam sobie skocz, pijaku porąbany.

— Dam ci na fajki, głupku jeden — zachęcała Waldka szanowna mamusia.

— A, to inna gadka. Co mam kupić?

— Pół literka kryształowej i dla dzieciaków cukierków. Weź też bochenek chleba, bo się skończył.

Walduś wybył, a w kuchni zapanowała zupełnie nowa atmosfera. Ogólne ożywienie, wywołane oczekiwaniem na nadchodzące przyjemności.

— Napijesz się z nami, Gosiu? Ale morowe treпки sobie fundnęłaś! — przypochlebiał się Remuś, a Gęsina kiwała głową z uznaniem.

— Mama! Siku!!! — zapiszczało najmniejsze Gąsiątko.

— Idź i lej sam! Co To, nie umiesz?! — ryknęła kochająca mamusia i łupnęła gnojka bezczelnego szmatą przez łeb. Korzystając z zamieszania, złapałam torby i umknęłam do swojej nory. Kiedy znalazłam się w środku, starannie zamknęłam drzwi na klucz. Pół literka kryształowej zapowiadała wesołą nockę. Nic to. Przyzwyczajona jestem. Jak mawiała babcia: zwyczajna jestem. Od małości, można powiedzieć.

Rozpakowałam moje skarby. Zrobiłam sobie kolację, popiłam fantę, a potem wzięłam się do zaszywania całej mojej gotówki w pasek od spódnicy. Przezorny zawsze ubezpieczony,

mawiała babcia. Chyba za nią tęsknię, bo ciągle mi na myśl przychodzą jej złote myśli.

Ta moja gotówka w pasku od spódnicy to całe tysiąc złotych. Poważna w sumie forsa. Kusila mnie trochę, ale trzeba oszczędzać, bo zawsze może być gorzej. Na życie zostawiłam sobie dwieście złotych. Powinno wystarczyć. Bez szaleństw, rzecz jasna. Napisałam do domu. Pracuję jako kelnerka, uczę się komputerów, angielskiego. Jak coś odłożę, to przyjadę z wizytą. Tak napisałam i naprawdę kusilo mnie przez moment, żeby pojechać. Ale sobie przekalkulowałam cenę biletów i odstąpiłam od tego szczytnego zamiaru. Na podróż jeszcze za wcześnie.

Dalej pracowałam u Sebka od dwunastej do dwunastej albo do ostatniego klienta. Ten biznes Sebka to staroświecki interes. Tylko jedna kabina z wideo, a reszta sama natura, czyli ja i Tania. Towar pierwsza klasa jednym słowem.

Wywalczyłam sobie wolne poniedziałki. Pobierałam wtedy nauki u Mareczka w akademiku. Angielski skończył się tak jak przewidywałam, w łóżku, i rzeczywiście nie było to ekscytujące przeżycie. Mareczek nie miał dużego, no... doświadczenia i w ogóle. Małego też miał małego, jeślibym miała iść otwartym kodem. Takie buty. No, wiadomo, wiedza kosztuje.

Rozdział 7

17.10.2011. *Gosia*

Łóżko potwornie trzeszczało, a robiliśmy to na dolnym posłaniu w piętrowym łóżku w akademiku. Gapiłam się w dyktę i powtarzałam w myśli słówka angielskie. Mareczek się pocił i starał, a ja co czas jakiś jęczałam rozkosznie. Sztuka ukryć sztukę. Kto to powiedział? Mareczek potem pytał:

— Dobrze ci było?

A ja entuzjastycznie kiwałam głową i wtulałam się w jego gołą pierś.

24.10.2011. *Gosia*

Nie masz żadnej szansy, więc ją wykorzystaj. To greps niejakiego Schopenhauera. Zapisałam go dużymi literami w zeszytcie. A zeszyt leżał na stoliku w czytelni naukowej. Ja, Gośka z Jagniątkowa, utalentowana tancerka erotyczna, siedziałam sobie w czytelni biblioteki uniwersyteckiej i kartkowałam Schopenhauera. I robiłam notatki. To Mareczek mi powiedział, że w Warszawie są takie miejsca, gdzie można pójść i czytać gazety, książki; przez cały dzień. Trochę dziko się czułam, gdy zobaczyłam ten onieśmielający gmach, wspaniale zielony, ale pani w recepcji miło mnie przyjęła i wyrobiła od razu kartę. Miałam tylko jeszcze donieść zdjęcie. W środę zajrzę jeszcze do Biblioteki Narodowej i na Koszykową. Osiądę tam, gdzie będzie najprzyjemniej.

Tylko miałam ochotę wypożyczyć Cooka, a pożyczyłam Schopenhauera. Jakoś głupio w takim miejscu czytać thriller. No, tak naprawdę tylko sobie przeglądałam książkę i podniecona kombinowałam, jak wykorzystać to nowo odkryte rewelacyjne miejsce. Cholera, nie mam żadnej szansy, ale... może...

Masz mózg — mówiłam sobie. — To twoja szansa.

Łatwo powiedzieć — odpowiadałam po chwili. — Jak z peep show przejść na studia, i na jakie? To był problem. Co ja mogłabym studiować? Żadnej idei. Krawiectwo? Projektowanie odzieży? Ta szkoła w Pleszewie to był czysty przypadek. Była, po prostu.

Niczym się szczególnie nie interesowałam. Lubiłam czytać. Może polonistyka? Z polskiego byłam niezła. Ale co ja będę robić po studiach? Nauczycielką zostanę. Fajny zawód, ale ciepłowości nie mam za grosz. Łamałam sobie głowę bez żadnego rezultatu, ale póki co postanowiłam po prostu pochodzić sobie do bibliotek, poczytać gazety, książki. Może mi się jakaś klapka w mózgu otworzy.

Cuda się zdarzają. Chociaż... właśnie przeczytałam: człowiek ustanawia cele, Bóg rozwiewa nadzieje. Pesymistyczne to strasznie. Muszę zmienić lekturę, bo jak tak dalej pójdzie, to popadnę w depresję.

29.11.2011. *Gosia*

— Ty głupia szmato!!! — Remuś darł się jak szalony. — Zajebię cię, zajebię, jak mi Bóg

miły!

Łomot dobiegający z mieszkania Gęsi nie dawał mi spać. Kiedy pierwszy raz usłyszałam Remusia w napadzie szału, ruszyłam Gęsi na odsiecz. Niestety, nie zostało to przywitane przychylnie. To, co usłyszałam, nie nadaje się do zacytowania. Dlatego teraz kuliłam się tylko pod lichą kołdrzyną i usiłowałam zasnąć. Trzecia w nocy! Jak oni mają siłę się kłócić o tej godzinie? Po raz setny obiecywałam sobie poszukać innego pokoju. Jutro zrobię to na pewno. Nie dam rady dalej ciągnąć pracy, angielskiego z Mareczkiem i nauki w bibliotece z nieprzespanymi nocami. Twarda ze mnie sztuka, ale nie aż tak. Musiałam zacząć działać. Zresztą Marek też zaczynał się dziwić, że go nigdy nie zapraszam ani do kawiarni, gdzie pracuję, ani do pokoju, który wynajmuję. Nie dalej jak wczoraj powiedział:

— Ty coś ukrywasz, Gocha!

A ja na to z kamienną buźką:

— Przerost wyobraźni nad intelektem, Mareczku. To proste jak cep. Gospodyni mi zakazała przyjmowania gości i tak się doprawdy złożyło, że szef się wścieka, jak któraś z nas gada ze znajomymi. Tydzień temu Jolkę z pracy za to wyrzucił — łągałam jak najęta. — Ja sobie na to nie mogę pozwolić. Sama się utrzymuję.

Mareczek podniósł wysoko brwi i patrzył na mnie niedowierzająco. A niech to. Węszy i podejrzewa. Gdyby nie ten angielski... Wstrętna ze mnie suka. Ale nie ma To, tamto. Jak sobie nie pomogę, to nikt mi nie pomoże. Taka jest prawda. Zresztą, lubię Mareczka. Dobry z niego chłopak. I ja też jestem dla niego milutka. Tylko niech nie węższy, bo nie mam na to siły. Jego podchody, podpytywania — to doprawdy trudne do wytrzymania. Zmęczona byłam, zmęczona jak pies. I jeszcze ta matka Gęś ze swoim Remeczkiem. Naprawdę będę musiała poszukać sobie nowej kwatery. Jutro.

30.11.2011. Gosia

Rano Gęś paradowała z rozciętym łukiem brwiowym, a ja z sińcami, Bogu dzięki, pod oczami tylko, z niewyspania. Nie miałam siły zleźć z wyrka i pojechać na Koszykową.

Tam się ostatecznie zadomowiłam. Dogodne miejsce i miła atmosfera. Czułam się tam przynależna, tak to chyba można określić. Panie bibliotekarki mnie rozpoznawały, szatniarze też. Jak szychcę odrabiałam codziennie trzy godziny od ósmej do jedenastej. Wiejskie geny. Praca od świtu to moje powołanie. Mknęłam tam jak na skrzydłach i czytałam najdziwniejsze rzeczy. Stare czasopisma. A w nich nekrologi i opisy nagłych zejść. Takie na przykład zapałki były przed wojną bardzo popularne jako metoda opuszczania tego padołu. Albo kwas siarkowy jako napój przenoszący do lepszej rzeczywistości. Rzucenie się pod automobil z powodu nieszczęśliwej miłości biło wszelkie rekordy popularności. Szczególnie wśród pokojówek i kucharek. Zawsze była szansa, że panna ocaleje i zakocha się w niej hrabia, który prowadził auto. Albo przynajmniej szofer hrabiego. Oczywiście te pisemka wiele nie wnosiły do mojej edukacji, ale jakoś tak dziwnie lubiłam to sobie poczytać. Poza tym uczyłam się bez żadnej metody, ładu i składu. Trochę tego, trochę tamtego. To poczytałam o malarstwie, to jakąś książkę popularnonaukową, a potem na ten przykład „Uczte” Platona. Tak ambitniej. Groch z kapustą. Nie wiem, czy z tego może objawić się co mądrego.

Ale jakie to przyjemne. Gosia — mol biblioteczny. Tak lubiłam o sobie myśleć.

Rozdział 8

12.09.2013. *Marcel*

Zaszła mi za skórę. Tak mówił mój ojciec o swoich kochankach. To się wtedy nazywało kociaki. Mag mnie wkurzyła, zapamiętałem ją.

I rozpoznałem, gdy zobaczyłem po raz drugi w operze na premierze „Madame Butterfly”.

Siedziała w szóstym rzędzie, a po policzku toczyła się jej łza. Dawno czegoś takiego nie widziałem. Łzy w operze. Obok niej niedbale rozpięta się w fotelu starszy facet. Wyglądał dobrze. Mógłby grać amantów w filmach klasy B. Siwe skronie. Nienaganny garnitur, nobliwy wygląd. Nie znałem go. Odwróciłem się do Kingi, mojej asystentki, i spytałem, czy zna tego jegomościa. Kinga otworzyła szeroko swoje niebieskie oczy, zmarszczyła brwi i zaczęła się intensywnie w niego wgapiać. Facet to wyczuł i odwrócił się. Wymienili spojrzenia.

— Tak jakby... gdzieś go widziałam — wyjąkała zmieszana.

— To się dowiedz, co to za facet. I ta laska obok — zaszeptalem.

— Czy to polecenie służbowe? — spytała żartobliwie, uśmiechając się do mnie w mroku.

— Jak najbardziej — powiedziałem surowo. Lubilem ją. Miłe z niej stworzenie i pomocne. Tylko zna mnie za dobrze i trochę to krępujące. Śmiesznie pulchna, wiecznie się odchudza, ale sekretarka z niej pierwszorzędna. O! Przepraszam, asystentka, tak się to teraz nazywa. Mój ojciec miał sekretarki. Brakuje mi tego starego łotra. On umiał rzecz każdą sprowadzić do właściwych wymiarów.

5.12.2011. *Gosia*

Piękny polarowy szlafrok leżał niedbale przerzucony przez fotel, a śmieszne papucie wesoło szczyrzyły do mnie swoje kocie mordki. Ja natomiast przeciągałam się z rozkoszą pod śliczną staroświecką pościelą.

— To haft richelieu — powiedziała pani Helenka, kiedy wykrzyknęłam z zachwytu na widok tych cudeniok.

Żegnaj, Jadwigo, żegnaj, Remku, już do was nie wrócę! *Never*. Nigdy. Teraz ja, Małgosia z Jagniątkowa, tarzać się będę w pościeli richelieu. Wracać wieczorami nie do pokoiku w obskurnej ruderze na Pradze, tylko do wspaniałego apartamentu.

Pokoik! Ze trzydzieści metrów, wielkie okno na cichą ulicę, urządzone przedwojennymi meblami. Z pościelą i radiem. I wynajęłam to za niecałe sześćdziesiąt złotych więcej, niż płaciłam za tę potworną norę u matki Gęsi.

A było tak. Wkurzona jak diabli po nocnej awanturze, postanowiłam jednak pojechać do biblioteki i proszę, pracowitość i wytrwałość wynagrodzona. Ledwo wysiadłam z tramwaju, zauważyłam ogłoszenie na przystanku. Czekają na mnie. Jestem pewna. Pokój do wynajęcia. Pomknęłam tam natychmiast. Zawahałam się, jak zobaczyłam kamienicę. Cała w stiukach, rzeźbach i marmurze. Hol taki, że wyglądał lepiej niż kościół w Pleszewie. Ale nic to. Pomyślałam: Najwyżej się tylko zapytam. I zadzwoniłam do drzwi na pierwszym piętrze.

Otworzyła milutka, drobniotka starsza pani. Wyglądała jak wróżka z bajki.

— Dzień dobry, ja w sprawie pokoju — wydukałam nieśmiało.

— Proszę... — Zaprosiła mnie lekkim ruchem ręki i nic nie mówiąc, zaprowadziła do przepięknego pokoju, największego i najwyższego, jaki w życiu widziałam. Otworzyła śliczne, stare drzwi.

— To ten pokój — powiedziała, spoglądając na mnie z niepokojem.

— Boski! — jęknęłam.

— Prawda?! Mecenas Zawilski wynajmował go od nas. Niestety, ostatnio radził sobie coraz gorzej i zdecydował się przenieść do pensjonatu. — Popatrzyła na mnie wyczekująco. Poczułam, że powinnam coś powiedzieć.

— Do pensjonatu?

— No, do Domu Spokojnej Jesieni. Bardzo go żałujemy. To był bardzo miły pan. Teraz postanowiliśmy wynająć pokój komuś młodszemu.

— Ach tak. Ile panie chcą za ten pokoik?

— Czterysta pięćdziesiąt. Tyle płacił mecenas.

— Biorę — zdecydowałam od razu. Nie było się co zastanawiać. Potrafię rozpoznać cud, jak się o niego potykam.

— Bardzo się cieszę, że pokoik się pani podoba, ale to nie ja go wynajmuję, tylko pani Irena.

Szczęka mi opadła i uderzyła o ziemię. Za piękne to było. Przerażona spojrzałam na moją dobrą wróżkę. Kto jest pani Irena? Zapytałam o to lekko wystraszonym głosem.

— Pani Irena... właścicielka mieszkania. Ja jestem jej gosposią.

No, to koniec. Wiedziałam.

Za dobre, by było prawdziwe.

I wróżka z bajki zaprowadziła mnie do czarownicy. Przez dwa pokrętne korytarze zaprowadziła. Mieszkanie miało ze sto albo i więcej metrów. Otworzyła drzwi wielkie jak odrzwia do katedry i wpuściła do pokoju ciemnego i ponurego jak jama smoka wawelskiego.

To koniec moich snów — myślałam przerażona. — Tu jakiś potwór zje mnie na śniadanie.

A w tym czarnym pokoju, w fotelu przepastnym jak Morze Czarne, siedziała okutana w czarną chustę staruszka tak stara, jak świat. Nos miała haczykowaty, z dużą brodawką. Nic nie przesadzam. Tak było.

Moja dobra wróżka wykrzyknęła cienkim głosem:

— Pani Ireno! Ta pani chce wynająć pokój.

— Co mówisz, Helenko? — Czarownica obudziła się z letargu, w którym była pogrążona, i zatopiła we mnie wzrok. Pani Helenka powtórnie wykrzyknęła:

— Ta pani chce wynająć pokój!!!

Pani Irena długo mi się przyglądała, a potem powiedziała jedno słowo:

— Dobrze.

No i wyszliśmy. Ja tylko jeszcze wydukałam łamiącym się głosem:

— Dziękuję...

Pokój był mój. Wróciłam na Pragę, spakowałam walizkę i pożegnałam się z Gęsią. Była niepokieszona. Trudno. *The life is cruel*. Życie jest okrutne.

No i teraz rozpieram się w apartamencie godnym królowej angielskiej.

12.09.2013. Marcel

Który to już drink? Na Boga, nie wiem. Trzeci albo czwarty. Zaraz zacznę bełkotać. A Mag nie ma.

Która to godzina? Rzuciłem okiem na podróźny zegarek, towarzyszący mi od lat. Pierwsza. Klimatyzator szemrał niemal niesłyszalnie. Chciało mi się spać. Ale poczucie zagrożenia nie mijało. Nie mogłem zasnąć. Nerwy mi nie pozwalały, chociaż oczy się kleiły. Podniosłem się z łóżka i podszedłem do drzwi balkonowych. Otworzyłem je szeroko. Klimatyzator zamilkł. Znałem taką sztuczkę, zawsze przydatną w tropikach. Ułamałem zapalną i wsadziłem między drzwi w miejscu, gdzie znajdował się czujnik klimatyzatora. Maszyna znowu zaczęła chodzić, a przez otwarte okno dostawało się świeże powietrze. Tego mi było trzeba. Tlenu.

Przeszedłem cały ogromny pokój i wyciągnąłem z lodówki ukrytej w barku wodę mineralną. Nalałem do szklanki sowy ilość. Koniec z whisky.

Tego mi właśnie potrzeba — wody i tlenu.

Gdzie też ona może być?

Przecież jest już pora lunchu. Ja jestem głodny. Mag też powinna mieć ochotę coś przekąsić. Mimo swojej niezwyklej chudości apetyt miała jak drwal. To też w niej lubiłem. Musi być głodna.

Gdzie też ona może być?

Trudno. Nie będę się nią przejmował. Spokojnie poczekam. I zjem pyszny lanczyk. Jakby nigdy nic. A Mag na pewno zaraz się zjawi, głód ją przygoni. Tak to sobie wykombinowałem i pomaszero wałem do restauracji. Usiadłem na tarasie, przy samej balustradzie. Widok był oszałamiający. Plaża biała jak Sahara, palmy intensywnie zielone i morze jak ciemna niepokojąca plama. Wszystko zastygłe w bezruchu. Czeka jące.

Czające się. Nieprawdziwe. Jak pocztówka.

Odwróciłem wzrok.

Karta dań przedstawiała się doprawdy imponująco. Miałem ochotę na ostrygi i szampana. Ale szampan po tej ilości wypitej whisky to samobójstwo. A ostrygi z wodą mineralną to zaiste nędzne zestawienie. Lepsza będzie ryba z grilla i, no cóż, woda mineralna. Popsuła mi posiłek — pomyślałem ze złością. Boże, ona ciągle mnie złościła. Ja chyba mam jakiś problem psychiczny — inaczej nie wdałbym się przecież w taki porąbany układ.

To od początku było chore. Przypomniałem sobie ten ból w środku, ból we wnętrznościach, gdy ją obserwowałem tamtego dnia w operze. To było najczystszej wody po żądanie. Na sam jej widok.

Chore. To było chore. I nigdy przedtem mi się nie przydarzyło.

W antrakcie jak somnambulik powlokłem się za nią i stanąłem nieopodal. Patrzyła na mnie, ale mnie nie poznawała. Zero kojarzenia. Słyszałem, jak jej siwy towarzysz coś opowiadał o tenorze. Znał się chyba na muzyce. I ona też. Mówiła, że wydaje jej się, że odtwórca partii porucznika Pinkertona śpiewa zduszonym głosem. Na to siwy, że to taka maniera. Mają ją wszyscy uczniowie Pustółki. Niestety, niejednemu dobrze zapowiadającemu się śpiewakowi wpoił taką manierę. Dalej coś mówili o równych dźwiękach i zaokrąglonych końcówkach. Może ona jest śpiewaczką?

Podśluchiwałem bezczelnie, na oczach zszokowanej Kingi. Mówiła coś do mnie, nie wiem co. Tylko powiedziałem jej:

— Mów!

— Co?

— Cokolwiek. Byle nie za głośno, abym mógł słyszeć.

Zaczęła nawijać coś o feng shui. Jakies takie brednie, jak to baba. A ja w niezbyt stosownych momentach kiwałem głową lub unosiłem brwi.

Tak, to było chore od początku. Kinga była w szoku. Nic dziwnego. Jeszcze w życiu mnie takim nie widziała. Ja też się nie widziałem.

Potem przyplątał się jeden znajomy, drugi. Miałem ochotę ich pozabijać. Bo mi przeszkadzali.

Cicho przykazałem Kindze ruszyć na przespiegi. Popatrzyła na mnie zdumiona. A potem zajarzyła i, niepewna, odeszła. Ślicznie wyglądała w szafirowej przyciasnej sukience. Widziałem, jak faceci się na nią gapili. A ona krążyła po foyer bezradna, nie wiedząc, jak zabrać się do zleconego przeze mnie zadania.

A Mag... Uśmiechała się prześlicznie do swojego towarzysza i o coś go pytała, a on jej odpowiadał z niesłychaną egzaltacją, potrząsając siwą czupryną. To chyba nie jej kochanek. Taki stary.

No, to nie przeszkadza. Może ojciec.

Nie, raczej kochanek. Jak ona się do niego wdzięczy, uśmiecha. Ma taki śliczny drgający mięsień w kąciку ust. A jej nogi. Cholera! To po prostu boli. To musi być kochanek. Zabiję łobuza.

Z takim solennym postanowieniem wróciłem na widownię, by obejrzeć drugi akt. Po chwili zjawiała się Kinga i cichutko wślizgnęła się na miejsce obok mnie.

— Czego się dowiedziałaś? — zapytałem szeptem, nachylając się do niej. Owionął mnie jej zapach, mieszanina potu i perfum. Odsunąłem się odrobinę i wbiłem w nią wzrok. Zaczerwieniła się jak piwonia i cichutko zaszemrała:

— Niczego, nic mi się nie udało.

— Po przedstawieniu masz ich śledzić. I spróbuj w antrakcie coś na nich wylać, a potem wdaj się w rozmowę — przykazałem jej surowo.

Patrzyła na mnie przerażona. Myślała, że zwariowałem. I miała rację. Zwariowałem. I co gorsza, to trwa.

Dłubałem w rybie z niechęcią. Była świetna, a ja byłem głodny. Ale jeść nie mogłem.

To trwało. Zdecydowanie.

Rozdział 9

10.12.2011. Gosia

Nie wiem.

Trafiłam chyba do raju. Tu jest cudownie, aż nie chce mi się wychodzić z domu. Pani Helenka, malutka gosposia pani Ireny, jest tak dobra, jak na to wygląda. Ciągłe mi podsuwa jakieś pyszności. A to upiecze ciasto drożdżowe i przyniesie mi na talerzyku, mówiąc: „Jedz, dziecko, jedz. Chudziutka jesteś”. A to przygotowuje pyszne pierożki z mięsem albo kapustką, i mnie nimi karmi. Trochę się głupio czuję, bo nikt nigdy mnie tak nie rozpieszczał.

Nie wiem, może mi się to śni? Może się zaraz obudzę? Albo dowiedzą się o mojej pracy w peepie i mnie wyrzucą, wywalą w jednej chwili. Na złodzieju czapka gore. Czułam się zażenowana. Czułam się oszustką. Osobą, która na skutek omyłki dostaje coś, co jej się wcale nie należy.

Mareczkowi podoba się na Mokotowskiej szalenie. Jego też pani Helenka próbuje utuczyć.

— Ależ on chudzieńki, ten pani chłopaczek! — powiada i jak tylko go zobaczy, to wyciąga jakieś przysmaki, smaży racuchy albo bliny. Mareczek nie może wyjść z podziwu.

— Ale miałaś farta z tym mieszkaniem.

— Oj, miałam, miałam. To prawdziwy cud. Gdybyś jeszcze zobaczył tę melinę, w której mieszkałam, to dopiero byś miał jasny obraz sytuacji.

Wygadałam się. A niech to diabli. Mięknę. Jak nic.

— Właściwie... dlaczego mnie tam nie zapraszałaś?

— To było miejsce nie do pokazania. Po prostu syf totalny.

Tak sobie gawędzimy w przerwach odmiany angielskiej.

— *She could have clone lots of interesting things before she got married.*

— *Interesting things? Before she got married* — powtarzam obniżonym o oktawę głosem.

Przytulam się do Mareczka i całuję go mocno w usta. Odsuwa się spłoszony. Może skojarzył zdanko i wyciągnął wnioski zbyt daleko idące. Ja nie rezygnuję, przytulam się znowu, wsuwam rękę za pasek jego spodni i znowu go całuję. Czuję, że odniosłam sukces. Zaczynamy się pieścić. Ostro pieścić. Jęczę z rozkoszy.

— Tak, tak. Rób tak dalej.

Mareczek koncentruje się na mnie i bardzo szybko osiąga pożądany efekt, potem ja robię mu to samo, już odprężona i trochę wystraszona, że w każdej chwili może pojawić się pani Helenka. Jest dobrze.

O! Jest bardzo dobrze. Przytulamy się do siebie i całujemy. Mocno i głęboko. Kocham to i kocham Mareczka, który mi to robi. Jak miło. Mareczek chciałby jeszcze, chciałby więcej, ale odsuwam go. Boję się.

— Ja też bym chciała, ale pani H. — szepczę zachrypniętym głosem, wijąc się pod jego pieścizotami. — Marek! Nie! Proszę...

— Jedźmy do mnie — odszeptuje rozgorączkowany.

— Dobrze. Jedźmy — zgadzam się nad podziw łatwiutko. Szybko się ubieramy i pędzimy jak szaleni do akademika.

Wyrzucamy kolegę Marczka, Jarka, za drzwi i rzucamy się na siebie. Och! jak dobrze.
12.09.2013. Marcel

Zostawiłem rozgrzebany obiad i wróciłem do pokoju. Rozebrałem się i wszedłem pod prysznic. Woda lała się mocnym strumieniem, mięśnie się rozgrzewały, ale w głowie wciąż kotłowała się jedna myśl: Gdzie ona jest? Przecież nieźle się nam chyba układało?

Następnego dnia po wieczorze w operze zjawilem się w firmie z nowym pomysłem. Wezwałem Roberta, mojego asystenta number two, i przykazałem mu skontaktować się z tym oślizgłym żurnalistą, który mnie molestował o wywiad w Antinousie. Był z nią, więc ją znał. Będzie miał swój wywiad, a ja informacje. Głupi jestem, że wcześniej o tym nie pomyślałem, ale też o niej przed tą operą nie myślałem. Ot mignęła. Potem z nową energią zabrałem się do arbeitsu. Czulem się tak, jakbym już ją miał.

To prosta funkcja czasu — tak myślałem. Jak zlokalizuję, to zaraz wyjmę. Jak zwykle. W tamten wieczór, w Antinousie, byłem bez formy, a więc i bez dowcipu. Zabrałem się do podrywu jak jakiś młotek. Łatwość, sukces rozleniwia. Nie trzeba się starać. Teraz, za drugim podejściem, rozwinę wszystkie swoje talenty i wykorzystam cały mój urok.

Już się na to cieszyłem. Lubię grę, lubię walkę, a czulem, że właśnie to mnie czeka.

Tak sobie kombinowałem, negocjując kontrakt z Polserwisem. Miałem minę zadowolonego kota, który zaraz schrupie kanarka. Bardzo nieprofesjonalną. Widziałem to w oczach Kingi, która patrzyła na mnie podejrzliwie. Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco. Zaraz rozpirzę tych chłopaczków z Polsu w puch.

— Okres przejściowy, powiadacie, panowie? — powiedziałem zatroskanym tonem. Ach, kocham to. Starcie.

12.12.2011. Gosia

Siedziałam zakutana w wytworny szlafroczek i czytałam „Martina Edena” Londona, gdy rozległ się straszny łomot, a potem zabrzmiała muzyka głośna jak jakieś fanfary. Lekko zdziwiona wychyliłam nos ze swojej ujutnej norki i powędrowałam za muzyką. Ktoś walił w klawiaturę bez żadnej litości. U nas w domu, w naszym mieszkanku. Zatrzymałam się zdumiona przed drzwiami, zza których dochodziły dźwięki. Nie wiedziałam, wejść czy nie wejść. Pukanie nie wchodziło w grę, bo i tak nikt by go nie usłyszał. Stałam chwilę, niepewna. Gapiłam się na sztych przedstawiający, jak głośił podpis, dzień w domu poety w Pompei, i już miałam zawrócić, gdy zza rogu korytarza wytupełtała pani Helena. Spojrzałam na nią pytająco.

— To pan Józef!!! — wykrzyknęła, usiłując przekrzyczeć kaskadę dźwięków zza drzwi. W tym momencie do dźwięków fortepianu przyłączyły się skrzypce i od razu zaatakowały moje uszy wysoką kantyleną. — A to pani Józefa... — dodała, uśmiechając się z niekłamany zachwytem.

Zdaje się, że coś mi umknęło.

— Kim jest pan Józef ? I pani Józefa? — wycodziłam lekutko zła.

— Nie powiedziała ci, Gosiu? — zdziwiła się pani Helena i zaczęła się drapać z zafrasowaną miną po pomarszczonym jak zesłoroczne jabłuszko policzku. Wyglądała tak wzruszająco, gdy była zmartwiona. Mimowolnie uśmiechnęłam się do niej, a ona odpowiedziała tym samym, już uspokojona.

— Powinam ci powiedzieć. To skleroza ani chybi. Dlatego cię prosiłam, byś kupiła

sobie szlafroczek... Skleroza, kompletna skleroza... Bo tutaj — zmieniała ton — mieszka mężczyzna!

— Ooo!!! — wykrztusiłam zszokowana, w duchu dusząc się ze śmiechu. — Mężczyzna?!

— Tak. Pan Józef. Wynajmuje z siostrą nasz salon. Już od dwudziestu lat.

— A dlaczego ich wcześniej nie spotkałam?

— Bo byli na tournée — poinformowała mnie z nabożnym szacunkiem, lekko stropiona.

— Oni jeżdżą po Polsce i koncertują. Dużo koncertują, by zarobić na chleb. Chodź — ożywiła się nagle — przedstawię cię — i wepchnęła mnie do salonu.

To był prawdziwy salon. Wielki, ciemny, z amarantowymi, pokrytymi czymś w rodzaju pluszu meblami. I z palmą, a jakże. Był też parawan, za nim pewnie łóżka. Z boku zaś, pod oknem, stał ogromniasty fortepian, przy którym siedział wysoki, chudy staruszek z rozwianą grzywą siwych włosów. I bezlitośnie walił w klawiaturę, rzucając przy tym głową jak rumak na parady. Parę kroków od niego z zapamiętaniem grała na skrzypcach mała, okrągła jak kuleczka babuleńka. Miała metr pięćdziesiąt, no, może metr pięćdziesiąt trzy. Niech jej będzie. Uczesana była w śmieszny sterczący koczek, który pewnie w założeniu miał ją podwyższać. Okrągłe okularki zdobiły perkaty nosek, a szlafroczek w kolorze fioleto ładnie korespondował z obiciami mebli.

Ja cię kręcę. Jajo kwadratowe. Patrzyłam na nich oniemiała, a oni nas wcale nie zauważyli. Tak byli pochłonięci muzyką.

Pani Józefa raz po raz zahaczała smyczkiem o pulpit. Rzuciła wówczas przerażone spojrzenia na pana Józefa i grała dalej. Jej brat zdawał się tak zatopiony w muzyce, że w ogóle zapomniał o otaczającym świecie.

Byli po prostu cudnym duetem.

Przysiadłyśmy z panią Helenką w przepaścistych fotelach na drugim końcu salonu i słuchałyśmy z zapiętym tchem wspaniałego koncertu. Pianista, pogrążony w transie, nadal nas nie zauważał, natomiast jego siostra co i raz rzucała na nas okiem, uśmiechała się nieporadnie, zahaczała smyczkiem o pulpit, pokaszliwała. Robiła wrażenie kompletnie rozkojarzonej. On zaś zdawał się nie widzieć pantomimy, którą wykonywała.

Utwór zakończył się istną nawałnicą dźwięków. Kiedy wybrzmiały ostatnie, pan Józef opadł na klawiaturę i wydawało się, że zasnął czy nawet zszedł z tego padołu. Pani Józefa natomiast wyciągnęła chusteczkę do nosa i zaczęła dmuchać w nią przeraźliwie. Podeszłyśmy z panią Helenką do fortepianu.

— Józiu pozwól, że ci przedstawię naszą nową lokatorkę, Małgosię — dokonała prezentacji przy wtórze przeraźliwych dźwięków wydobywających się spod chusteczki wielkości obrusa stołowego.

Pani Józefa skończyła wycierać nos, strzepnęła chusteczkę, co, prawdę mówiąc, przejęło mnie lekką trwogą, a potem upchnęła ją sobie za mankiet. Uśmiechnęła się do mnie promiennie i powiedziała:

— To rubato mnie wykańcza. Co dzisiaj mamy na obiad?

Helenka udzieliła obszernych informacji, które zostały wysłuchane uważnie i potwierdzone potakującymi ruchami głowy.

W tym czasie pan Józef poderwał się z klawiatury, na której zalegał, stanął nieopodal nas i patrzył na mnie podejrzliwie. Zostałam mu przedstawiona. Wbił we mnie przenikliwy wzrok i zapytał podniesionym głosem, na jakim gram instrumencie.

— Na żadnym — odparłam z trwogą.

— Na żadnym!? — powtórzył ze szczerym zdumieniem. A potem podniósł wskazujący palec i wyskandował: — Życie bez muzyki jest błędem — po czym z godnością opuścił salon.

Spoglądałam za nim osłupiała. Jego siostra, widząc stupor, w jaki zapadłam, pocieszyła mnie:

— Ten Ziutek to już tak ma. Nie przejmuj się nim, robaczku i powróciła do omawiania spraw kulinarnych z panią Helenką.

14.12.2011. Gosia

Może jestem głupim wiejskim tłumokiem, ale mam szczęście. Mareczek jest dla mnie słodki, przynosi mi kwiatki, wkłada do głowy angielski i uczy ciągle nowych rzeczy na swoim komputerze. Ja, no cóż ja? Staram się jak mogę, by mu było dobrze ze mną. Mówię mu, że jest świetny, w każdej dziedzinie, a on w to wierzy. Nabrał pewności siebie, zważniał, widzi przecież, że jego kumple lukają na mnie łakomym wzrokiem. Ostentacyjnie okazuje, że jestem jego. Czasem jest to trochę chamskie, tak jak wczoraj, gdy zadysponował, bym poleciała po piwo. Mocno mnie wkurzył, ale co robić, poleciałam. Lubię go i staram się być wobec niego w porządku.

Rozdział 10

19.12.2011. Gosia

Na Mokotowskiej złapałam drugi oddech. Po pierwsze, miałam blisko do biblioteki, po drugie, pani Helenka i pani Ziułka zaczęły mi trochę matkować. A to coś przynosiły do zjedzenia, a to się wdawały ze mną w pogawędki. Musiałam, niestety, kłamać, gdy opowiadałam o mojej pracy. O domu nie kłamałam. I tak nie wyglądam na miastową panienkę z lepszych sfer. Po co więc ściemniać. Wbrew moim obawom nie spowodowało to zmiany stosunków z obiema paniami. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej starały się mnie wspierać, a pani Ziułka ofiarowała mi swoje wyliniałe futerko, co wprawilo mnie w nie lada kłopot, co z nim zrobić. Do noszenia zdecydowanie się nie nadawało. Włożyłam je raz i powiedziałam, że jest za eleganckie, by nosić na co dzień.

Szłam do pracy. Prawie dochodziłam do firmy, gdy zaczął mnie jakiś niesamowity typas. Długie, brudne czarnosiwie włosy spadały mu na wizytowy, nawet dosyć elegancki, płaszcz. Był wzrostu siedzącego psa i cerę miał, jakby przebył ospę. Tę prawdziwą, co to już podobno w przyrodzie nie występuje. Gdy się odezwał, dreszcz strachu przeszedł mi po plecach.

— Mam interesik. Może porozmawiamy?

— Spadaj pan — powiedziałam twardo. W nogach byłam już jednak miękka i rozejrzałam się wokół, czy jest kogo wołać na pomoc. Niestety, dwa psy, jeden kot i jedna siedmioletnia na oko dziewczynka to wszystko, co widziałam.

— Nie bądź taka harda, gówniaro — wychrypiał indywiduum. — Pogadać chcę grzecznie, nie? A ta z pyskiem. Mam propozycje.

— Nie przyjmuję żadnych propozycji.

— Nie piszcz jak małaletnia mysz gwałcona przez lubieżnego orangutana — wychrypiał siwy i zachichotał skrzekliwie.

Grepsiarczyk z tego fajfusa. Gapiłam się na niego, zastanawiając się intensywnie, czego też on może ode mnie chcieć.

— Wejdzmy do tego pubu — wskazał na barek z odrapanymi drzwiami, który się mieścił w bezpośrednim sąsiedztwie naszego peep show. — Jak posłuchasz, co mam ci do powiedzenia, to jeszcze mnie w rękę pocałujesz. Z wdzięczności.

Wahałam się chwilę, a potem pomyślałam, że tam są przecież ludzie i co on może mi zrobić? Nic. W knajpie było nawet bezpieczniej niż na ulicy. Spojrzałam na niego spode łba i weszłam. Typasek zdjął płaszcz. Pod nim miał gustowne skórzane porcięta i bluzę adidasa. Elegancki gościu, jednym słowem. Zaproponował drinka, ale odmówiłam.

— Gadaj, o co biega, bo muszę do roboty.

— No właśnie, do roboty. Marnujesz się, dziewczyno, w tej marnej budzie. Mam dla ciebie propozyszyn od poważnych ludzi. Ludzi z miasta.

— Jaką? — wycodziłam. Czułam kłopoty — poważni ludzie to poważne kłopoty.

— No, otwiera się nowy lokal. Lokal z klasą. Nie takie gówno jak to. I możesz tam pracować za dobre pieniądze. Taką mamy dla ciebie ofertę. Widzisz, mała, nie było co się bać.

— Niczego się nie boję. Gdzie się to otwiera?

Rzucił nazwę. Nic mi to nie mówiło, ale pokiwałam z powagą głową.

— To ile płacą?

Wymieniłam sumę istotnie wartą rozważenia.

— Za taką kasę miałabym tylko tańczyć?

— Jasne, mała, jasne... No, chyba żebyś chciała co więcej, to nie ma sprawy, zawsze możesz, ale to już na swój szczerot. Co zarobisz, to dla ciebie. Z nas równe chłopaki.

Pokiwałam głową z namysłem i powiedziałam:

— Muszę to przemyśleć. Dam ci odpowiedź.

— Bylebyś za długo nie dumiała, laseczko, bo inną weźmiemy. To kiedy dasz głos?

— Jutro. Dobrze będzie?

— Taaa, to będę tu na ciebie czekał. O tej porze. Oka?

— Oka.

Poszłam do roboty. Włożyłam kostium i zaczęłam kręcić pupą. Propozycja była kusząca. Bez dwóch zdań. Forsa dwa razy większa niż tutaj. Ale czułam jakiś wewnętrzny sprzeciw. Centrum. Dużo ludzi. Może mnie ktoś rozpoznać. Tutaj diabeł mówi dobranoc. Klientela szemrana. Tam Mareczek na ten przykład może trafić. Albo jakiś jego kumpel. Nie mam zamiaru robić tego całe życie. Ambitna ze mnie panienka. Teraz nie mam lepszej idei, by zarobić w miarę poważną kasę, ale przecież w końcu coś wykombinuję. Tyle, że to prawdziwi, na moje oko, gangsterzy. Z takimi w układy lepiej nie wchodzić. Sebuś to oczywiście też jest mafioso. Ale w formacie mini. Wujka ma z dużą kasą i zdaje się, że dla niego pracuje. Jak wchodziłam, rzucił mi lakoniczne cześć, dłubiąc w nosie. Nie budzi on zgrozy, o nie.

A tamten gościu był na maksa oślizgły. Nie skuszę się na To, nie połączę na większą kasę. Lepiej mniej, ale bezpieczniej.

22.12.2011. Gosia

Dzisiaj po robocie, zanim wyszłam w plener, luknęłam wokół. Odniosłam wrażenie, że ktoś czai się w ciemnościach. Cofnęłam się. Miałam szczęście, bo Tania nie dogadała się z klientem, dla którego, jak usłyszałam, pięćdziesiąt w japu, a sto w pipu to rozbój na prostej drodze.

Lekko przestraszona przystanąłam przy Tani.

Tania pewnie by mi niewiele pomogła, ale w tym momencie pojawił się Sebek i zaskomlałam, że mógłby mnie do centrum swoją gablotą podrzucić. O dziwo się zgodził.

— Siadaj — powiedział krótko i węzłowa To, jak to on.

Miło mieć znajomego anabola.

Umościłam się wygodnie w jego trochę przechodzonej terenówce. Milczeliśmy. Ja zastanawiałam się, czy mi się czasem nie śniło, że w ciemnościach ktoś się czai.

Właściwie dlaczego ten siwowłosy gniotek miałby się na mnie zasadzić? Mało to na mieście chętnych dziewczyn do takiej robótki i za taką kasę? Odmówiłam i cześć.

Mam prawdopodobnie przerosty wyobraźni. Powiedziałam Sebastianowi: — Bye, bye! — i wysiadłam na placu Konstytucji.

Szybko pobiegłam do domu. Rozejrzałam się, nim weszłam na klatkę, potem cichutko otworzyłam drzwi do mieszkania i zniknęłam w swoim pokoju.

Dopiero tam poczułam się bezpiecznie.

Na pewno mi się to wszystko uroiło, ale jednak się bałam. Bałam się jak diabli.

Źle z oczu temu gniotkowi patrzyło, jak mu grzecznie powiedziałam, że nie wchodzi

z nimi w układ. Bluzgał niemiło, odgrażał się. Rzuciłam mu grubym słowem i wyszłam jak jaka dumna księżna. A on wysyczał tak jakoś nieprzyjemnie: — Pożałujesz k... Kajtkowi się nie odmawia.

Bałam się. Ale może to było tylko takie gadanie. Na pewno. Głupia jestem. Bać się takiego śmiecia. Głupia jestem.

12.09.2013. Marcel

Tłukłem się po naszym apartamencie jak ranny łoś. Od ściany do ściany. Od bandy do bandy. Mord miałem w oczach. Zabiję tę wredną smarkulę. Porzucony w dżungli. Cała Warszawa będzie ryła ze śmiechu, jak to wyjdzie na wierzch. A wyjdzie, wszystko zawsze wychodzi. Wyciągnęła mnie do tropików, naciągnęła i wystawiła. Ośmieszałem się od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłem. Powinienem się leczyć. Iść do psychoterapeuty, a nie ściągać tego szemranego palanta, by ze mną wywiad przeprowadził.

Gdy się pojawił z ekipą i zadał pierwsze pytanie, zatkało mnie totalnie, bo zapytał o portal internetowy, o którym miałem mgławicowe pojęcie.

— Jak zamierzacie wykorzystać tę technologię jutra do rozwoju waszej firmy?

Zamrugalem oczami, a on to kupił i też zatrzepotał rżęsami. Rzadko tracę kontenans, więc zacząłem nawijkę, głęboko myśląc, o co temu palancikowi chodzi. Był przecież zainteresowany korupcją w branży paliwowej, a tu nagle atakuje mnie o jakiś internet. Rzuciłem garść ogólników, a on jakby nigdy nic dalej drąży:

— Kreatywna księgowość zadała ciosy branży internetowej na Zachodzie. Jak pan widzi ten problem u nas?

Powinienem być zażądać wcześniej pytań, pomyślałem. Byłem tak napalony, że zaniedbałem normalną procedurę i teraz mam. Bredzę jak głodny zajaczek, a facecik mizdrzy się do mnie w nadziei, nieuzasadnionej, na jakiś ciąg dalszy.

Jak ja mam go spytać o dziewczynę? Przecież trzeba by to jakoś zagaić.

Tak sobie kombinowałem, mnożąc banały, a on zadawał mi coraz niedorzeczniejsze pytanki. W końcu ta brednia się skończyła i młody pawik zaczął się likwidować. Zaprosiłem go na drinka, zrewanżował mi się powłóczyстым spojrzeniem swoich sarnich oczu i wyszeptał:

— Z chęcią...

Przeszliśmy z gabinetu do saloniku.

Kinga podała drinki, a ja przykazałem jej wzrokiem, by została. Potykając się na swoich za wysokich obcasach, krążyła wokół nas, donosząc to krakersy, to orzeszki.

Zapytałem:

— Czym pan się kierował, wybierając pytania na temat wirtualnego handlu?

— No, to przecież pana konik — odparł, rozpierając się w fotelu i majtając szklanką mojej najlepszej whisky.

— Mój konik? — zainteresowałem się. — Skąd ma pan takie informacje?

— No wie pan! — oburzył się, prychnąwszy lekko. — Mamy przecież resercz.

— Naprawdę? Pan się przygotował do tego wywiadu? — zapytałem sarkastycznie.

Niezmieszany, wskazał na leżącą przed nim szarą tekturową teczkę.

— Tu mam, proszę tylko spojrzeć, dokładną dokumentację...

— Mógłbym rzucić okiem?

— Jasne, proszę — powiedział i pańskim gestem podał mi teczkę, na której było napisane *Marceli Knast*.

To rzadkie imię, Marceli. O Knaście słyszałem. Założył jakiś popaprany portal internetowy, który właśnie chylił się ku upadkowi. Ten dziubdziuś najwyraźniej nas pomylił. Zamilkłem. To zdarza mi się naprawdę rzadko, że nie wiem, jak zareagować. Teraz nie wiedziałem. Postanowiłem nic nie mówić. Jak on się tutaj dostał, nie znając mojego nazwiska? Aha, Robert czekał na dole. Jak jednak Robert umówił to spotkanie? Będę musiał go zapytać.

Dziwy nad dziwami. Facet nie wie, z kim rozmawia. No cóż, to jego zmartwienie. Ja zagailem:

— Miło było w Antinousie, gdy się ostatnio tam widzieliśmy.

Popatrzył na mnie tępo. Nie pamiętał. Nic dziwnego. W końcu minął czas jakiś od tego spotkania. Ale na dźwięk słowa Antinous cały się rozjaśnił.

— O, tak!

I przejechał, sukinsyn, palcem po wardze. Wzrokiem kazałem Kindze usiąść koło mnie. Nie czułem się dobrze, prowadząc tego typu rozmowę.

— Był pan z miłą dziewczyną — kontynuowałem, trzymając się zaczętego wątku jak pijany płotu.

— Z dziewczyną!? — zdziwił się niepomiernie.

Jasny gwint.

— Taką brunetką, o bardzo, bardzo długiej szyi i sarnich oczach.

Oblizwał wargi, patrząc na mnie z prawdziwym bólem. Czułem, że sprawiam mu przykrość. Dziewczyna! Też coś! To właśnie malowało się w jego oczach.

Wstałem. Dusilem się od wściekłości.

— Nie pamięta pan?

— Dziewczyny... — parsknął. — Nie zwracam na nie uwagi. Wie pan, są takie prymitywne, nieskomplikowane...

— Tak, jasne — przerwałem mu obcesowo. Pieprzony mizogin. — Miło było pana spotkać. Trochę się śpieszę. Do widzenia.

Wyciągnąłem dłoń i uściśnąłem jego łapkę, miękką jak śnięta ryba. Gdy znalazłem się sam w gabinecie, parsknąłem śmiechem. Ale się Knast zdziwił, gdy zobaczy ten wywiad.

Idiota. Kompletny idiota. I ja, i on. Nie Knast, tylko oczywiście ten bubek z Antinouse. Nadal jednak nie wiedziałem, kim była dziewczyna.

23.12.2011. Gosia

Jutro Wigilia, miasto wygląda prześlicznie. Wszędzie światełka i dekoracje. Dzisiaj zamiast na Koszykową, do biblioteki, poszłam na zakupy. Rano pani Helenka spytała, czy zostaję na Wigilię. Potwierdziłam. Miło by było pojechać do domu, zobaczyć babcię, dzieciaki, mamę, ale to straszna kasa. Przejazd, prezenty, do świąt mamie by wypadało dołożyć, babci trochę grosza oddać. Nie, to by była ruina i lekkomyślność. Skąpię sobie na wszystko i ciulam, jak jaki harpagon, każdy grosz. Nie dam się omamić świątecznemu szaleństwu. Dyscyplina finansowa i już. Choć chwilami mnie kusi. Mareczek pojechał do siebie, do Lęborka. Nawet mnie namawiał, bym z nim pojechała. No, ale to to już by było prawdziwe szaleństwo. Nie lubię skąpiradeł, a sama jestem największym. Wszystko mam policzone. Jeśli zdam egzaminy i będę

tak ciułała, jak ciułam, to mam kasę na pierwszy rok studiów. Chyba żeby się zdarzył tzw. cud i dostałabym się na normalne studia. Wtedy inaczej trzeba by to wszystko liczyć, chociaż dzienne studia to też nie jest tania przyjemność. No i kiedy bym miała pracować?

Pani Helenka zaprosiła mnie na wigilię i nie ukrywam, że po cichutku miałam taką nadzieję. To porządni ludzie, a porządni ludzie tak właśnie postępują, czyż nie?

Do domu napisałam miły list. Pochwaliłam się, że nieźle mi się wiedzie, że mieszkam u dobrych ludzi, i kazałam wszystkim uściskać. A do koperty włożyłam stóweczkę. I to było To, co mamę najpewniej najbardziej ucieszy. Bo zimą u nas najgorszy jest mortus z kasą. Święta zawsze są bardzo, ale to bardzo skromniutkie. Może tym razem będzie ciut lepiej, dzięki córeczce robiącej karierę w wielkim mieście.

Wędrowałam po ulicach, gapiłam się na wystawy i ludzi. Kupiłam malutkie prezenciki dla każdego z domowników. Uznałam, że tak będzie ładnie. Herbatę śmietankowo-truskawkową dla tajemniczej pani Ireny. Dla pani Helenki i pani Ziutki czekoladki, a dla pana Józefa śliczne kraciaste chusteczki do nosa.

Te zakupy sprawiły mi prawdziwą przyjemność. Kupowanie jest naprawdę fajne, pod warunkiem że nie jest to konieczność. Gdy wydaję pieniądze na nowe rajstopy czy mydło, bo są mi koniecznie potrzebne, aż brzuch mnie boli, że forsą płynie jak woda.

Świąteczne zakupy to jednak inna kategoria, prawdziwa radocha. Kupując, nie czułam się wykluczona. A często się tak czuję, gdy łażę po sklepach i się gapię na ludzi kupujących i kupujących, bez żadnego umiaru.

Radosna jak skowronek pobiegłam do robótki.

I ta radość mnie zgubiła.

Nawet ich nie zauważyłam.

Pierwszy, mięśniak wielki jak góra, złapał mnie za włosy.

Krzyknęłam i szarpnęłam się, ale było już za późno. Dostałam pięścią w twarz. Raz po razie. Przewróciłam się, a pęk moich włosów został w łapie tego, który mnie trzymał. Drugi przykopał mi jeszcze kilka razy z wyraźną przyjemnością. Potem pochylił się nade mną i wychrypiał:

— Kajtkowi się nie odmawia, kurwo.

I jeszcze jeden kop. Zwinęłam się w kłębek i zasłoniłam twarz, ale już było po herbacie.

Odeszli. A ja zostałam na środku zaułka, w kałuży błota.

Rozdział 11

23.12.2011. *Gosia*

Leżałam chwilę bez ruchu. Potem podniosłam się powolutku i usiadłam. Byłam utyłana w błocie, jakby ktoś mnie chciał nim panierować.

Powlokłam się do domu. Nie wiem dlaczego. Do peepu miałam bliżej. Może byłam w szoku. Wyglądałam, jakby tramwaj po mnie przejechał. Albo czołg. Wysiadłam na placu Konstytucji i poszłam do klozetu w knajpie.

Ledwo się ruszałam. Żebra mnie bolały jak diabli. To, co zobaczyłam w lustrze, to był jeden horror. Twarz była siną maską, nos przekoszony, rozcięta warga. Boże! Jak ja się pokażę pani Józi i pani Helence? Co one powiedzą?

Obmyłam się, ale niewiele to dało. Twarz mumii po przejściach. Wyszłam powoli, ścigana spojrzzeniami siedzących przy stolikach klientów i wzrokiem czarnego ochroniarza, który pojawił się tuż przy mnie, ale zawahał się i nie podszedł, gdy zobaczył, że sama wychodzę z lokalu, wypęłam, zasłaniając twarz ręką.

Powlokłam się dalej. Ledwo szłam. Ludzie się gapili, a ja słałam się, dosłownie opierając się od czasu do czasu o ściany domów, by złapać oddech. Jak na jakimś filmie wojennym. Bolało mnie jak diabli. Żebra i coś jeszcze. Wszystko. Wszystko mnie bolało.

Nikt nie podszedł i nie zaproponował pomocy. Budziłam chyba grozę, może myśleli, że jestem jakąś narkomanką czy coś takiego.

No, sama nie wiem. U nas w Jagniątkowie od razu by się każdy rzucił z pomocą, tutaj odwracano ode mnie wzrok. Dowlokłam się do naszego domu.

Miałam jednak wyraźnego pecha, bo w drzwiach zderzyłam się z panią Józią.

Gdy mnie zobaczyła, to jęknęła rozpaczliwie:

— Jezusiczku!!! A tobie co się stało, robaczku?

I zaczęła krzyczeć:

— Helenko! Józiuuu!!!

Oboje jak na zawołanie pojawili się na korytarzu i ruszyli do mnie.

A mnie akurat musiało zrobić się słabo. Nagle zmięklam tak jakoś w kolanach i osunęłam się na podłogę. Leżałam zmięta, skręcona jak stara ścierka do podłogi. Nie mogłam się ruszyć. Uszło ze mnie powietrze czy co... Wychrypiałam:

— To nic, to nic.

— Jakie nic!? — wykrzyknęła histerycznie pani Józia. — Dawaj wodę tlenioną... Helenko! Helenko!!!

— Jaką tlenioną? Co ty wygadujesz, Józienko! Utlenioną — strofował panią Ziutę pan Józef.

— Jak ją zwał, tak zwał. Helenko! Ty to się zawsze musisz czepiać! Helenka wie, o co mi chodzi. O, Boże! Zemdląła!

— Trzeba ją uderzyć w twarz — radził pan Józef.

— Zwariowałaś! Zwariowałaś do końca. Przecież ona ma złamany nos, a ty ją jeszcze chcesz bić.

— Tak się wyprowadza ludzi z omdlenia — tłumaczył się nieporadnie pan Józef.

— To może wody przyniosę i nią chlusnę...

— Uuu!!! — pisnęłam rozpaczliwie, bo pan Józio nadepnął mi na stopę.

— Co ty robisz! Odsuń się, bo jej krzywdę zrobisz. Idź sobie.

— Uuu!!! — pisnęłam ponownie, bo pani Józefa poląła moją rozciętą wargę wodą utlenioną.

— Idźcie lepiej państwo do pokoju — powiedziała rozsądnie pani Helenka, a ja ją do łóżka zaprowadzę sama.

— Aaa!!! — wrzasnęłam, tym razem naprawdę przeraźliwie, jako że pani Helenka, chcąc mnie podnieść, złapała pod bok. Poczułam, że mam chyba połamany cały zestaw żeber. A może nawet i kręgosłup uszkodzony.

— Co się tutaj dzieje?! — usłyszałam władczy głos. — Co się stało?

Pojawiła się pani Irena. No tak, zdecydowanie tylko jej tu jeszcze brakowało. Helenka zaczęła nieskładnie coś mówić, a ja zobaczyłam nachylającą się nade mną groźną twarz z wielką brodawką na nosie.

To koniec, pomyślałam, zaraz mnie wyrzuci na zbity, dość dokładnie zresztą, pysk.

Pani Irena chwilę milczała, przyglądając mi się uważnie, a potem zakomenderowała:

— Helenko! Dzwon po pogotowie!

Przeraziłam się.

— Nie! Nie! — zapiszczałam przeraźliwie. — Nie trzeba! Nie, nie, nie... — powtarzałam cicho.

— Dlaczego nie? — zapytała rzeczowo pani Irena.

— Ja jestem nieubezpieczona — zaszemrałam cieniutko.

— To nie ma nic do rzeczy. Trzeba ci zrobić badania. Możesz mieć jakiś uraz wątroby albo jakieś złamanie. Dzwon, Helenko!

Zamilkłam. Miała rację. Jeśli mam jakieś poważniejsze obrażenia, to koniec.

Mogę wracać do domu. Szpital zeżre mi wszystkie pieniądze. Zaczęłam płakać. Łza za łzą spływała mi po policzku i w ogóle nie mogłam nad nimi zapanować. Zaciskałam jak mogłam najmocniej powieki, a one toczyły się wciąż, jedna za drugą, wbrew mojej woli.

24.12.2011. Gosia

Na pół śpiąca leżałam w swoim pokoju. Przez zapuchnięte jedno oko obserwowałam pana Józia, który nerwowo przemierzał mój pokój wielkimi krokami i targając siwe włosy, wykrzykiwał do siebie:

— Straszne! Wstrząsające! Straszne!

Nagle się zatrzymał, spojrzął, zbliżył się na odległość dwóch kroków, pochylił się nade mną, popatrzył, a potem wykrzyknął znowu dramatycznym tonem:

— Strasznie, strasznie nieestetyczne!

I wyszedł.

Zamknęłam oko. Zasnęłam.

26.12.2011. Gosia

Spałam z małymi przerwami dwa dni.

Obudziłam się o zmierzchu w drugi dzień świąt. Nie mogłam sobie przypomnieć, co się stało, czemu leżę w łóżku o tak dziwnej porze. Przedwieczorne światło, przebielone przez śnieg

leżący na konarach lipy rosnącej nieopodal okna, łagodnie otulało wszystkie ciężkie sprzęty zagracaające mój pokój. Było ciepło i przytulnie. Z kuchni dobiegały jakieś hałasy. W mieszkaniu roznosił się zapach bigosu. Pan Józio grał na pianinie kolędę. Było tak miło i spokojnie.

Dopiero po chwili uprzytomniłam sobie, co się wydarzyło. I poczułam się tak, jakby bryła lodu otoczyła mnie zewsząd.

Nie zostałam w szpitalu, choć chcieli mnie zostawić. Miałam złamane trzy żebra i nos. Płakałam, że chcę wrócić do domu, i dyżurny lekarz ustąpił. Podpisałam papierek, że na własne ryzyko, i karetka odwiozła mnie na Mokotowską. A potem spałam, spałam i spałam. Prawdę mówiąc, sen to najlepsze, co mogło mnie spotkać.

No, ale teraz się obudziłam.

Strach. Zimno mi się zrobiło ze strachu. To koniec. Stracę wszystko. Mieszkanie i pracę. Po takiej aferze na pewno mi wymówią pokój, a Sebek też się nie będzie ze mną patyczkował, tylko wywali z roboty. Nie przyszedłam do peepu w przeddzień wigilii i na pewno długo nie będę mogła tańczyć z połamanymi zębami i nosem jak cholerny burak, krwawosinym.

Koniec. Moja kariera w Warszawie, krótkotrwała i burzliwa, znalazła się na finiszu.

Koniec. Wracam do Jagniątkowa.

Jak się tam pokażę ze złamanym nosem i twarzą jak kawałek surowej wołowiny? Wolałam sobie tego nawet nie wyobrazić.

Powoli wypełzłam spod kołdry i powolutku poszłam w kierunku łazienki. Stuknięcie drzwi wywabiło z kuchni panią Helenkę.

— Podniosłaś się? Gosiu! Poczekaj, pomogę ci.

Podeszła do mnie i tym razem delikatnie podparła, przytrzymując za łokieć.

— Dziękuję. Nie trzeba. Ja sama. I tak ma pani ze mną okropny kłopot.

— Co ty dziecko gadasz? Jaki kłopot, nieszczęście ci się przytrafiło, ot co. Tych łobuzów to teraz tyle chodzi. A przed świętami to szczególnie są zajadli. Ale torebki im nie dałaś... — dokończyła z satysfakcją.

Spojrzałam na nią zdumiona.

— Naprawdę! Tak mocno trzymałaś, że jeszcze na pogotowiu nie chciałaś puścić.

Rzeczywiście, jak przez mgłę przypominałam sobie jakąś akcję z moją torebką. Tak. Powiedziałam, że chcieli mi ją wyrwać. Przytomna do końca. Bogu dzięki.

Weszłam do łazienki. Pani Helenka poprosiła, bym nie zamykała drzwi, bo mogę zasłabnąć. Mogłam. Czułam się słabiutka jak szczypiorek na wiosnę.

Spojrzałam w lustro z pewną taką nieśmiałością. Zobaczyłam... Zamknęłam oczy i jeszcze raz popatrzyłam. O Boże!!! Widmo z Głogowego Wzgórza, Upiór z zamku Canterville, Freddy z ulicy Wiązów. A może Frankenstein? Jakże ja znam jeszcze upiory czy potwory? Nieważne! I tak przebijam je wszystkie. Istny horror ta moja buziunia. O! Belfegor!!!

Najgustowniejsze były dwa kłaczki waty sterczące z nosa.

Fantom z opery, wykapany!

Mam fach w ręku. Będę straszyć. Zaangażuję się do filmu. Grozy, rzecz jasna.

Powolutku wyciągnęłam watę z nosa. Niewiele lepiej. Umyłam się trochę i odrobinę lepiej się poczułam. Pani Helenka, czekająca pod drzwiami, pytała co chwila:

— Wszystko w porządku, robaczku?

A ja odpowiadałam zrezygnowana:

— Tak, tak, w najlepszym.

Pani Helenka jest naprawdę kochana.

Wróciłam do łóżka i czułam się tak, jakbym pole kartofli obrobiła. Totalna dętka, z której

wypuszczono powietrze. Ale mnie ten cały Kajtek załatwił. Dokumentnie, jak mówi babcia.

28.12.2011. Gosia

Jak to dobrze, że nie mieszkam już na Brzeskiej. Tam leżałabym jak jakiś Łazarz i nikt by do mnie nawet nie luknął. No, może Remuś by mi wina malinowego przyniósł. Na wzmocnienie — tak je reklamował. Tutaj co chwilę ktoś wpada i pyta, czy czegoś mi nie trzeba. Herbatka, makowiec, kieliszek wina, czekoladki — to wszystko stoi na nocnym stoliku obok mojego łóżka.

Czuję się jak jakaś gwiazda filmowa. Pan Józef otworzył właśnie drzwi salonu i gra, jak powiedział, dla mnie, tańce węgierskie Brahmsa.

Zamykam oczy i słucham muzyki. Jestem szczęśliwa.

Muzyka umilkła i pan Józef we własnej nieco rozkojarzonej osobie pojawił się u mnie w pokoju. Otworzyłam oczy i patrzyłam, jak się przechadza, targając swoje siwe włosy. A potem zaatakował mnie zniecka. Wyciągnął palec wskazujący w moim kierunku i zagaił, patrząc na mnie przenikliwie:

— Brahms! Czy lubisz, Gosiu, Brahmsa?

— Tak, bardzo — powiedziała nieśmiało, przerażona impetem, z jakim zadał pytanie. To, co grał, było naprawdę piękne, więc mogłam nawet spojrzeć mu w oczy.

— Właśnie! Bardzo słusznie! Tak trzymać! Bo to wielki muzyk. Niedoceniony ówczesnie przez tę klikę wagnerzystów. Nie wiem, doprawdy nie wiem, co jest w tej germańskiej barbarzyńskiej muzyce, że tak porwuje tłumy. Bo Brahms, jego twórczość, to najlepsze, co stworzyli Niemcy. Od Bacha uczył się kontrapunktu, od Beethovena kształtowania formy. Najbliższy był jednak Schubertowi. Rysunek melodyczny. To właśnie było mu najbliższe w twórczości Schuberta. Wspaniałe. Genialne. Ekscytujące. Fenomenalne. Wariacje na temat Haydna. Wariacje na temat Paganiniego, I Symfonia D-dur, IV symfonia c-moll...

Byłam ogłuszona. Wyłapywałam tylko przymiotniki. Wszystkie w stopniu najwyższym. Pan Józio chodził po pokoju, machał rękami, odgarniał włosy i mówił, mówił, mówił. Byłam jak zahipnotyzowana.

Nie wiem, ile trwał ten referacik. Przerwała go pani Ziutka, która wpadła i pogoniła swojego niereformowalnego braciszka.

— Józiu! Jak możesz tak męczyć dziecko!?! Ty i ta twoja muzyka! Nie masz umiaru. Pewnie cię już głowa boli od słuchania tego starego wariata?

— Broń Boże! Pani Józefo, proszę nie krzyczeć na pana Józefa. To było bardzo ciekawe! Proszę o więcej...

I w tym momencie pan Józef złapał wiatr w żagle. Wyszarpnął się pani Ziutce, która go wypychała z pokoju, wrócił do mnie i wykrzyknął do swojej siostry:

— Ty! Ty! Ty jesteś taka prozaiczna! Nie rozumiesz prawdziwej sztuki. Niszczysz mnie! Moją radość życia i uwielbienie dla jego najwspanialszych przejawów. Ale to świeże i niewinne dziecię, nieskażone jeszcze komercją i zepsuciem konsumpcyjnym, rozumie mnie doskonale — tokował, a ja rozglądałam się nerwowo w poszukiwaniu tego niewinnego dziecięcia. Nikogo nie widziałam. Czyżby chodziło o mnie?!

— Czysta, nieskażona dusza. Ona tylko może zrozumieć potęgę sztuki!

Pani Józefa popatrzyła pobłaźliwie na miotającego się brata, a potem zwróciła się do mnie:

— Czy on ci naprawdę nie przeszkadza, dzieciaczku?

— Nie, nie! To ciekawe!
— Tak uważasz? Naprawdę?
— Tak.
— To zostawiam was samych. Niczego nie potrzebujesz? Mamy pyszny barszczyk, wiesz, z kóldunkami. Albo trochę bigosiku?
— Nie. Dziękuję bardzo.
Pani Józia odeszła, lekko zaniepokojona moją niechęcią do jedzenia, a ja zostałam z panem Józefem.
— Nie zagrałby mi pan jeszcze?
— Naprawdę? Chciałabyś?
— Bardzo!
— To może jeszcze Brahmsa? Zagram ci teraz jego sonaty.
I pomaszerował do fortepianu. Grał i grał, a ja słuchałam, słuchałam. To było naprawdę piękne. Życie bez muzyki było błędem.

29.12.2011. Gosia

Postanowiłam wstać. Do pokazywania się oczywiście nie nadaję, ale przecież nie będę gniła w łóżku bez końca. Umyłam się mimo potwornego bólu przy każdym ruchu. A potem, sycząc jak wściekły wąż, ubrałam się w spódnicę, bo to łatwiej, i sweter Marka, bo duży.

Energia i wola działania wprost mnie roznosiły, więc zadzwoniłam do Sebka.

— Już nie pracujesz — tak mnie powitał.

— Sebek!!!

— Nie ma zmiłuj. Spadaj.

— Sebek, wysłuchaj mnie choć przez chwilę. Nie warcz.

Udało mi się jakoś do niego przebić i umówiliśmy się w położonej w pobliżu mojego mieszkania kawiarence. Okutana w szal pani Ziułki wyszłam z domu. Bolała mnie noga, bolał bok, ale jakoś się doturlałam ze spuszczoną głową i nadzieją, że nikt mi się nie będzie zbyt nachalnie przyglądał. W kawiarence Sebek już czekał. Gdy mnie zobaczył, z ust mu się wyrwało szczerze, proste, ale trafiające w samo sedno słowo:

— O ku...

To wszystko, ale jakże wiele. A potem zapytał:

— Kto cię tak urządził? To wygląda na robotę fachowca, który się przyłożył.

Opowiedziałam mu w krótkich żołnierskich słowach całą moją odyseję.

Skomentował to tak:

— Ten cały Kajtek, ja mu tak...

No cóż, nie wdawajmy się w szczegóły, ale ogólnie była to wypowiedź bardzo krzepiąca i miałam nadzieję, że spełni To, co obiecuje.

Tak. To by było miłe.

Potem uzgodniliśmy, że wracam do roboty, jak tylko będę mogła się ruszać.

— Miejsce czeka na ciebie — wyraził się na koniec Sebek. Elegancko. W sumie to spoko gościu z niego.

Ścigana ukradkowymi spojrzeniami migdałcej się w kącie parki i otwartym wgapiactwem napranego jegomościa pijącego nie pierwsze zapewne dzisiaj piwko, wymknęłam się z kawiarenki i powlokłam do domu. Byłam zmęczona jak jakiś górnik po szychcie.

Precz z ambicją. Jestem słaba jak herbatka mojej babci. Jedyne na co starczyło mi sił po

powrocie do domku, to wpełźnięcie do barłożku. Zasnęłam w ciągu niespełna minuty.

12.09.2013. Marcel

To, czego facet się boi najbardziej, to pogarda w oczach własnego ojca.

No i że mu nie stanie. By być do końca szczerym.

Miałem niestety pewność, że mój stary śmieje się ze mnie jak obłąkana hiena. W piekle oczywiście, bo tam, o ile tylko takowe istnieje, przebywa.

Stary łobuz był mi zawsze wzorem. Nic się go nie imać. Komuniści usiłowali się do jego firmy produkującej coraz to inne plastikowe gargamele bezskutecznie przyczepić przez całe czterdzieści lat PRL. Nigdy z nim nie wygrali. Zawsze ich ograł. A panienki! Wszystkie warszawskie kociaki były jego.

Tak to się wtedy nazywało: kociaki.

Krażyły o nim legendy. Na przykład taka, że gdy złapał swoją ówczesną kochankę w łóżku ze swoim osobistym przyjacielem Karolem, to jego nieporadne usprawiedliwienia skwitował tekstem: „Daj Karol spokój, zapłać kurwie i będziemy kwita”.

Mój stary nie dałby się żadnej dziwce wodzić za nos.

Chichocze w piekle jak nic. A ja upijam się do lustra z rozpacz. Niech to trafi szlag.

31.12.2011. Gosia

Leżałam w łóżeczku lekko zadziwiona niezmierną ilością wolnego czasu, którym mogłam dysponować. Babcia zawsze mówiła: „Gdy życie daje ci cytryny, zrób z nich lemoniadę”. Leżałam więc z ręką pod głową i kombinowałam sobie. Zwoje mózgowie niemal mi się dymiły. Nie pracuję, nie zarabiam — trudno. Muszę to przyjąć z godnością. Bez hysterii. Wyżej siebie nie przeskoczysz. Kolejna złota myśl babci. Tu bym polemizowała, jak mówi — do siebie zresztą, w swych monologach — pan Józef. Z jednej strony To, że mnie stłukli, trzeba przyjąć i się z tym pogodzić, z drugiej — chcę przeskoczyć i siebie, i wszystkich. Jestem ambitna. Jestem pazerna. Na wszystko. I na kasę, i na wiedzę, i na umiejętności wszelkiego typu. Tak właśnie jest, i czy to źle?

No, bo słowo pazerna... A jakby je zamienić na chciwa, łasa, może żadna... Kurczę! Chyba się zapiszę na filozofię. Kompletny chaos myślowy.

Filozofia rodem z Jagniątkowa,

To jest rzecz zupełnie nowa.

Platon, Sokrates i Nietzsche gasną przy niej,

niczem cmentarniane znicze.

Lubię sobie kropnąć czasem jakiś wierszyk. Może to właśnie poezja jest moim powołaniem?

Jedno jest pewne: trzeba wykorzystać To, co jest nam dane. A ja akurat mam czas do wykorzystania. Więc *go on*, Gosiu!

Zrobiłam więc *go on*. Wstałam z łóżka i się zachwiałam. Złapałam za poręcz krzesła, a potem na nim usiadłam.

Wstrząs mózgu czy trzęsienie ziemi?

Nie, raczej To, że ciągle jestem słaba. Powoli, z mniejszym impetem, pomaszerowałam do łazienki. Nalałam sobie wody do wanny i dokonałam ablucji. Tak się nazywa pełne oczyszczenie. Zmyłam z siebie wszystko: i brud, i zło, które mnie spotkało.

Czysta i pachnąca wsunęłam się z powrotem do łóżka. Czułam się taka bezbronna, senna, jak małe dziecko. Poleżałam kwadransik w ciszy i spokoju. Stan błogości, w którym pozostawałam, przerwało energiczne pukanie do drzwi, a po chwili pojawił się w nich zadarty nosek pani Ziuty.

— Małgosiu! Nie miałabyś ochoty na jajeczniczkę?

— Miałabym. Wielką. Bardzo dziękuję.

Taka odpowiedź była chyba spodziewana, bo za sekundę dosłownie w drzwiach stanął pan Józef trzymający tacę, na której miał talerz z jajecznicą, świeżutką bułeczkę i szklanę mocnej herbaty. Gdy zaczęłam więc się w podziękowaniach, machnął ręką, tak jak tylko on to potrafi, i zaproponował, że zagra mi na fortepianie.

— Tak sobie myślę o Griegu...! — zaczął, odrzucając grzywę siwych włosów. — Uwielbiam, po prostu uwielbiam prostotę, śpiewność i harmonikę jego kompozycji. Taka na przykład „Ballada g-moll”...

Puste kwinty, ostre nierozwiązane dysonanse, idealna zgodność struktury, nasycenie melodyki kwartami, zróżnicowanie agogiczne — terminy fruwały w powietrzu, a pan Józef przemierzał mój pokój, monologując i machając rękami. Nie wspominam nawet o przymiotnikach — rewelacyjne, twórcze, inspirujące, odkrywcze, nowe. Te rozumiałam. Ale tylko przymiotniki. W każdym razie bez wątplenia podobało mu się, chociaż puste kwinty brzmiały podejrzenie.

Jadłam jajecznicę na słońcu, nie, słońcu, pani Józia tak kochała jeść, że każdą nazwę potrawy zdrabniała, i myślałam, że chyba Kocham tego faceta.

To nic, że ma ze sto lat. Kocham go miłością czystą... Utwierdziłam się w tym przekonaniu, gdy przerwał monolog i powiedział krótko i zwięźle:

— A teraz ci to zagram.

I zagrał.

Gdy skończył, a grał ponad godzinę z okładem, wszedł do mojego pokoju i przeszył mnie wzrokiem. Zadrzałam.

— Jak ci się podobało?

Zawahałam się, a potem powiedziałam:

— Rewelacyjne, twórcze, inspirujące, odkrywcze i nowe...

Panu Józefowi twarz się rozjaśniła. Uśmiechnął się promiennie i powiedział z przekonaniem:

— Od razu wiedziałem, że masz w sobie intuicyjną wrażliwość na muzykę. Ona z ciebie aż promieniuje. To się od razu czuje, Gosiu! To jeszcze ci coś zagram... — powiedział i powędrował do fortepianu, zostawiając mnie w stanie lekkiego pomieszania. Czy można mu wierzyć? Może naprawdę mam to w sobie? To byłoby cudownie. Chciałabym.

Ale czy pan Józio aby się nie myli?

Z salonu dobiegała muzyka; słuchałam, próbując poznać samą siebie, swoje odczucia. To było po prostu piękne, ale co to jest, na Boga, pusta kwinta?

Kiedy pan Józef skończył i pojawił się ponownie w moim pokoju, zaatakowałam go z mety. Brutalnie, jak na boisku:

— Panie Józefie! — wykrzyknęłam dramatycznie. — Co to jest pusta kwinta?!

— O Boże! Nie wiesz?! Naprawdę? Nie wiesz?! O Boże! — wychrypiął, wstrząśnięty do głębi, a potem, jak przystało na mężczyznę, opanował się i powiedział: — Gosiu, kochana, pusta kwinta to...

Kiedy już posiadałam pełną wiedzę o pustej kwincie, poszłam na całość i zapragnęłam jeszcze wiedzy na temat zróżnicowania agogicznego.

Precyzyjne wyjaśnienia, jakich udzielał mi mój mistrz, zostały niestety przerwane przez panią Józję, wołającą nas na obiad.

Zaproponowałam, że będę jadła osobno, bo moja buźka może odbierać apetyt, ale zostałam obśmiana. Pani Helenka zaś powiedziała po prostu:

— Niech Małgosia głupstw nie opowiada.

Spojrzałam niepewnie na pana Józefa, ale on już wsuwał wesoło udko kurczaka i strasznie nieestetyczne siniaki na mojej buźce najwyraźniej apetytu mu nie odebrały. Usiadłam więc do stołu i przyłączyłam się do zajądającej żwawo gromadki.

Po obiedzie wypiliśmy herbatę i zostałam poczęstowana sernikiem.

— Delicje, Helenko! Prawdziwe delicje — zachwyciła się pani Ziuta. — Dzisiaj mało kto potrafi upiec serniczek. Smakuje ci, Józieńku?

— Co? O czym ty mówisz?

— Pytam, czy serniczek ci smakuje, Józieńku?

— Jaki sernik?

— Właśnie go jesz.

— A! — Pan Józieniek spojrzał nieprzytomnie na trzymany w ręku kawałek ciasta. — A, rzeczywiście. Sernik. Dobry — orzekł krótko i znowu pogrążył się w myślach.

— Dystrakt kompletny z tego Józia — powiedziała bez większych emocji pani Józefa.

Pani Helenka zaś skończyła swój kawałek ciasta i zwróciła się do mnie:

— Małgosiu! Ty teraz nie będziesz pracowała przez jakiś czas, prawda?

— Tak — potwierdziłam — ale jeśli chodzi o pieniądze, to...

— No co ty? Dziecko! O żadne pieniądze nie chodzi. Możesz zapłacić później, kiedy zarobisz.

Próbowałam coś wtrącić, ale pani Helenka nie dopuściła mnie do głosu.

— Chodzi o To, że jeśli masz trochę czasu, to mogłabyś poczytać pani Irenie. Ona prawie nie widzi i my wszyscy staramy się jej czytać, jak tylko mamy czas.

— Oczywiście, chętnie poczytam — zgodziłam się lekko spanikowana, bo, prawdę mówiąc, pani Irena była dosyć przerażającą postacią. — Chętnie jej poczytam... — powtórzyłam skwapliwie.

— To może zaczniesz od dzisiaj? Wiesz, dzisiaj jest sylwester, chcieliśmy z Józją przygotować coś dobrego na wieczór. Może upieczemy pączki z różą. A z Józefa to nie ma wiele pożytku, jego tylko muzyka interesuje.

— Co ty mówisz, Helenko? O czym mówiłaś? Przepraszam, zamyśliłem się — obudził się, jak koń dorożkarski na dźwięk swego imienia, pan Józef.

— Nic, nic, Józiu, nic nie mówiłam — uspokoiła go pani Helenka, a pani Józefa zrobiła bezradną minę.

Uwielbiałam ich wszystkich, ale pani Irena... Czułam gęsią skórkę na samą myśl, że mam wejść do jej pokoju.

Wieczorkiem wzięłam głęboki oddech i zapukałam cichutko do drzwi na samym końcu korytarza. Nic nie usłyszałam, żadnego proszę, mimo to po chwili wsunęłam się na palcach i stojąc jedną nogą za progiem, nieśmiało wyszeptałam:

— Dobry wieczór...

Pani Irena wyłączyła telewizor. Jak twierdziła pani Józia, oglądała od lat Teleexpress i kochała się w kolejnych prezenterach. No cóż, kochać każdy może.

— Dobry wieczór — odpowiedziała szorstkim głosem. — Usiądź tam, przy lampie — wskazała sękatą laską, ozdobioną srebrną głową jakiegoś ptaszyska, wysiedziany brunatny fotel obok przedwojennej mosiężnej lampy. Usiadłam na samym brzeżku. Gotowa do ucieczki.

Niepewna, co dalej.

— Masz na imię Małgorzata. Skąd pochodzisz? — zaczęła regularne przesłuchanie. O dziwo, nie było ono długie. Pani Irena zapytała jeszcze tylko o mamę, tatę i rodzeństwo i dała sobie spokój. Wyciągnęła książkę i kazała mi czytać. Spojrzałam na tytuł. „Czarodziejska góra”. Ucieszyłam się. Nie znałam tego.

Otworzyłam książkę i zaczęłam: — „Historia Hansa Castorpa, którą zamierzamy opowiedzieć”...

Czytałam dwie godziny, aż zabolalo mnie gardło. Nie zwracałam uwagi na panią Irenę, zapomniałam o niej. Czytałam. Zostałam wchłonięta przez książkę.

Dopiero energiczne stukanie laski wyrwało mnie z tego swoistego letargu.

— Wystarczy, wystarczy — powiedziała pani Irena. — Już ci dziękuję, możesz iść.

Spojrzałam na nią ogłupiała. Kto to jest i czego chce? Aha, mogę iść. Odłożyłam książkę i wyszłam bez słowa. Stałam na korytarzu, chwilę pomyślałam i wsadziłam nos z powrotem do pokoju.

— Przepraszam, czy mogłaby mi pani pożyczyć tę książkę do jutra?

— Nie mogłabym — usłyszałam w odpowiedzi.

— To dziękuję — wyszeptałam. — Dobranoc.

— Dobranoc, dobranoc.

Zamknęłam drzwi. Nie byłam nawet zła. Należało spróbować. Zawsze warto spróbować.

Rozdział 12

1.01.2012. *Gosia*

Nowy Rok. To zawsze miłe.

Zeszły był dla mnie dobry, powiem więcej: bardzo dobry. Oczywiście jeśli nie liczyć tej afery z Kajtkiem. Ale, jak mawiał dla odmiany tatko, żołnierz całą gębą, straty muszą być, jak nie w sprzeczcie, to w ludziach.

Ale o tym mam zamiar zapomnieć. Wyrwałam się z wiochy i jestem, gdzie jestem. Czyli ogólnie mówiąc, nie jest źle. Jest dobrze.

Tak miłego sylwestra nie miałam od lat.

Nigdy nie miałam.

Pani Helenka przygotowała kolację, bardzo elegancką kolację. Wszystko było pyszne. Sałatka z kurczaka z ananasem, grzanki z pieczarkami i czerwony barszczyk, a potem jeszcze pączki, najlepsze na świecie. Z różą. Nigdy takich nie jadłam. Po kolacji znalazłam się elegancko. Ofiarowałam moim gospodarzom prezenty, te kupione na Gwiazdkę. Wszyscy bardzo się ucieszyli. Jak dobrze, że nie zamieniłam, że oparłam się pokusie zaoszczędzenia paru złociszy.

Może nie jestem tak zupełnie bez klasy. Miałam z tego dawania nie mniejszą frajdę niż oni. Byłam po prostu szczęśliwa, gdy jadłam te wszystkie pyszności przygotowane przez panią Helenkę i panią Józję i gdy przerzucałam się z nimi żartami. Ze złamanym nosem i fioletowo podbitymi ślepkami, a jednak szczęśliwa jak mało kto.

Wypiliśmy całą butelkę szampana. Pani Irena posiedziała z nami chwilę, napiła się nawet szampana, ale szybko poszła do siebie i położyła się spać. Ona ma osiemdziesiąt siedem lat! Już nie dla niej, jak sama powiedziała, takie szaleństwa.

Trochę to smutne, starość.

My natomiast bawiliśmy się świetnie. Pan Józef usiadł przy fortepianie i ni mniej, ni więcej odegrał całą operetkę. „Księżniczka czardasza” — tak to się nazywało. W niektórych partiach towarzyszyła mu pani Józia na skrzypcach, niektóre zaś odśpiewywała z niezłym nawet efektem. Czasem śpiewali w duecie i wyglądali wtedy prześmiesznie. Strasznie mi się ten koncert podobał.

Pan Józio jednak stwierdził z pewną pretensją, że pani Józia gubi nuty. Ona się tym wcale nie przejęła, tylko zajądając grzankę za grzanką, zaczęła omawiać z panią Helenką ostatni odcinek „Na dobre i na złe”.

Korzystając z przerwy w muzykowaniu, spytałam pana Józefa, czy nie mógłby mi pożyczyć jakichś książek do czytania. Powiedział: — Oczywiście — i zaprowadził mnie do dębowej biblioteki, której szklane drzwiczki były przesłonięte jedwabnymi zielonymi zasłonkami. Otworzył ją, a tam w równiutkich rzędach stoi Sienkiewicz, Żeromski, Prus, Orzeszkowa, ale i klasycy filozofii, seria ceramowska, tomiki poezji, biografie muzyków... Nie tylko zresztą — Napoleon, Fryderyk Wielki, Katarzyna II... Czytałam tytuły z zapartym tchem i czułam narastające podniecenie na myśl, że zaraz, za chwilę, dorwę się do tego tortu.

I ten zapach — cudowny. Lubię zapach książek. Pan Józef sięgnął pewną ręką na półkę i wyciągnął opasłe tomiszczce.

— To przeczytaj — powiedział.

Spojrzałam na tytuł: „O szczęściu”, Władysław Tatarkiewicz.

— Musisz to poznać, fenomenalna pozycja — zareklamował pan Józef.

Nie śmiałam odmówić. Choć wolałabym jakąś powieść. Najlepiej głupią i o miłości. Ale może on w tej przepaścistej bibliotece nie miał takich książek? Poza tym nie miałabym odwagi o coś takiego poprosić. Na pewno straciłabym w jego oczach, a tego w żadnym razie nie chciałam.

12.09.2013. Marcel

Ta dziewczyna tkwiła w mej pamięci jak zadra. A właściwie w podświadomości, bo już o niej nie myślałem. Zarobiony byłem jak mrówka. Pieniądze zobowiązują. Nie szlachectwo. Jak się ma różne interesy, to nie ma To, tamto. Trzeba, mówiąc brutalnie, zapieprzać. I ja to robiłem. Żadnych sentymentów, żadnych miłości. Miałem oczywiście panienki. Najlepsze w mieście.

Ostatnia była Edyta. Miłe stworzenie, niestety z ambicją, by się przykleić na dłużej. No cóż... pomarzyć zawsze można. Niech sobie dziewczyna pomarzy. Była milutka i chętna.

Prawdziwa gejsza. Zero problemów, zero kaprysów.

Powinienem się jej trzymać.

Była, a jakby jej nie było.

— Tak, powinienem się jej trzymać — powiedziałem na głos i podszedłem do barku. Popadnę w alkoholizm przez tę parszywą dziewczuchę; już popadłem. Nalałem znowu pełną szklaneczkę whisky. Bodajbym nigdy nie poszedł na ten pokaz mody! Ale — śmieszne — to właśnie Edyta bardzo naciskała, byśmy poszli. Miała być pierwsza dama, te sprawy. No, a jak ma być pierwsza dama, to towarzystwo wali drzwiami i oknami. Uległem więc Edycie i poszedłem.

3.01.2012. Gosia

— Pani Helenko! Ja bardzo proszę!

— Mowy nie ma. Nie wezmę.

— Pani Helenko, ale naprawdę, proszę mi tego nie robić. Ja tu kładę pieniądze. Proszę je wziąć. Wam też się nie przelewa.

Od dobrych paru minut przepychałam się z panią Helenką, która w żaden sposób nie chciała przyjąć ode mnie pieniędzy za utrzymanie. Ja jej wciskałam sto złotych, a ona mi je oddawała. Taki taniec tańczyłyśmy. Ale byłam uparta. Pieniądze się im należały i nie miałam zamiaru zrezygnować. Jadłam u nich teraz wszystkie posiłki i nie wysadzałam z domu nawet nosa. Nie mogli mnie przecież utrzymywać ze swoich rent czy emerytur. Stoczyłam prawdziwą batalię. Racjonalne argumenty pani Heli się nie miały. Powtarzała tylko: nie i nie. A pani Józia jej wtórowała. Położyłam w końcu pieniądze na stole i już miałam wyjść, gdy do kuchni wkroczył pan Józef. Patrzył jakoś ponad nami, powiedział co prawda krótko i lakonicznie: — Dzień dobry — ale robił wrażenie kompletnie zatopionego w myślach.

Jak somnambulik podszedł do kuchenki i zaczął przygotowywać sobie herbatę. Potem jego spojrzenie padło na apetyczną wiązkę bananów leżącą na półmisku. Zbliżył się, nachylił i dokładnie im się przyjrzał, a potem zapytał:

— Czy te banany są świeże?

Pani Józia popatrzyła na panią Helenkę a pani Helenka na panią Józję.

Potem zaś pani Józefa odpowiedziała niezwykle przekonująco:

— Oczywiście, Józienku! Są dzisiejsze.

Pan Józef, uspokojony, wziął jednego banana, zaczął go obierać i wyszedł z kuchni. O herbacie zapomniał.

Niewzruszona pani Helenka zgasiła gaz i zwróciła się do mnie:

— No dobrze. Wezmę te pieniądze, ale ani się waż dawać mi więcej. Bez problemu wyżyjemy jeszcze jedną osobę.

— Dobrze, dziękuję bardzo — powiedziałam i szybciotko uciekłam do pokoju. Jeszcze by się rozmyśliła i musiałabym ją przekonywać od początku.

4.01.2012. Gosia

Dzisiaj wrócił Marek. Jak mnie zobaczył, to zbladł. Szału dostał, gdy usłyszał odpowiednio przeze mnie spreparowaną wersję tego, co się wydarzyło naprawdę. Wykrzykiwał:

— Więcej ci nie dam pracować w tej melinie na Pradze. Zapomnij o tym. Koniec. Więcej tam nie pójdziesz.

— I co, będziesz mnie utrzymywał?!

Wściekł się naprawdę. Nawet nie podejrzewałam, że Mareczek potrafi zrobić taką awanturę. Ponurym głosem i kategorycznym tonem powiedział:

— Znajdę ci inną robotę.

— Okej. Znajdź — zgodziłam się potulnie.

Marek przywiózł pyszny pasztet i ciasto drożdżowe od jego mamy. Zanieśliśmy te specjały do kuchni. Pani Helena zwołała wszystkich domowników. Marek nakrył do stołu i razem zjedliśmy taki, można powiedzieć sponsorowany przez moją przyszłą teściową, podwieczorek.

Napisałam: „przyszłą teściową” i nie jest To, niestety, przejęzyczenie, bo Marek ma zamiary. Zupełnie jak pan Barkis w „Davidzie Copperfieldzie”, ulubionej książce mojego dzieciństwa. Nie wiadomo skąd podarty lekko egzemplarz walał się u nas na przygórku.

Czytałam go z dziesięć razy. Ale To, jak powiada pan Józio, dygresja.

A wracając do Mareczka, to zakomunikował mi w czasie awantury o moją pracę:

— Ja mam wobec ciebie poważne zamiary.

O mój Boże! Prawie usiadłam. To znaczy, usiadłabym, gdybym nie siedziała. I trochę spanikowałam. Bo ja nie mam zamiarów. Zdecydowanie nie.

Trzeba będzie Mareczkowi zamiary wyperswadować. Albo, jak to się mówi wśród informatyków — a on informatyk całą gębą — będę musiała się od niego odlogować.

Nie mam zamiarów matrymonialnych w żadnej, nawet najdalszej przyszłości. No, chyba żebym się zakochała albo gdyby mi się książkę z bajki trafił. Wtedy to i owszem, czemu nie... Ale z Mareczkiem to nie ten przypadek.

A w ogóle to mam niejasne przeczucie, że ta głupia miłość, która przychodzi nie wiadomo jak i skąd, to tylko występuje na papierze i w operetce, a nie w realu. Nie widziałam w Jagniątkowie miłości prawdziwej, tylko różne szczeniackie zadurzenia, które się przeważnie źle kończyły. Jeśli więc Maruś będzie napierał, to usłyszy: „*Sorry, Winnetou*. Ja w to nie wchodzę”.

Yes.

12.09.2013. Marcel

To był niezwykle dzień.

Spóźniłem się trochę na ten pokaz. Edyta już była; siedziała w drugim rzędzie. Zajęła mi miejsce i wykonała całą pantomimę, bym usiadł koło niej. Pokręciłem głową. Nie takim głupi, aby zanurkować wśród tych wszystkich rozświetlonych bab. Odpowiedziałem na parę ukłonów i stanąłem obok kolumny. Oparłszy się o nią, obserwowałem cały ten zgiełk z miną, która oznacza u mnie *splendid isolation*. Czyli po polsku — won. Udawałem, że nie widzę ludzi. Ukłoniłem się tylko pierwszej damie, gdy się pojawiła, i nadal sterczałem samotny koło kolumny, myśląc o czekającym mnie spotkaniu z ministrem gospodarki. Porządkowałem sobie w głowie argumenty, które miałem zamiar przedstawić, i nawet byłem rad, że mogę sobie to spokojnie przemyśleć. Zabrzmiała orkiestra i na wybieg zaczęły wychodzić modelki. Po dwie, trzy. Patrzyłem na nie niewidzącym wzrokiem. Intensywnie myślałem o czekającej mnie jutro z rana rozmowie. Wtem usłyszałem, jak ktoś tuż obok głośno i wyraźnie powiedział:

— Turandot!

Odwrociłem się.

Oparty z drugiej strony o kolumnę stał wysoki siwy facet. Skądś mi znany. Ale nie kojarzyłem zupełnie skąd. Na wszelki wypadek lekko skinąłem mu głową, a on uczynił to samo.

— No, Turandot! — powtórzył.

Nie chwyciłem, o czym on mówi, ale spojrzałem na wybieg, na scenę, i zobaczyłem dekoracje i kreacje. Usłyszałem muzykę. Rzeczywiście. Pomysł widowiska zaczerpnięto z ostatniej inscenizacji opery Pucciniego.

— Ja wołałem wersję Mordasińskiego — odezwałem się mimowolnie.

— Prawda? Ja też. Dekoracje były ciekawsze, no i nieporównywalnie lepsza reżyseria. A widział pan poznański spektakl?

— Tak, oczywiście. Ale to już było kompletnie wydziwione. Świetna była tylko Viola Sypniewska w roli Turandot. Najlepsza ze wszystkich. A muszę panu powiedzieć, że widziałem nawet Sorelli w Met.

— Naprawdę pan widział? Był pan tam? — podniecił się mój rozmówca, odrzucając w tył siwą czuprynę. Wpił we mnie wzrok tak głodny dalszych rewelacji na temat spektaklu w Metro, że mu ich udzieliłem. Zresztą z przyjemnością, bo opera to moje hobby. Mama była niezrealizowaną śpiewaczką operową i wlokła mnie prawie od żłobka po wszystkich możliwych teatrach i spektaklach. To był magiczny świat dla małego chłopca. Kochałem tę chwilę, gdy gasło światło i zaczynała rozbrzmiewać muzyka. Prawdziwe bajki mojego dzieciństwa. Opery.

Na scenie biegały półnagie dziewczęta, rozbrzmiewała cudowna muzyka Pucciniego, a my z tym siwym jegomościem gawędziliśmy na temat ostatnich premier operowych. To był inteligentny gość z gigantyczną wiedzą, trochę jednak nawiedzony. No, ale to dosyć częste w tym środowisku. Zastanawiałem się właśnie, czy jest gejem, gdy przerwał w pół słowa swój wywód i powiedział:

— Cicho. Teraz moja dziewczyna.

Spojrzałem na scenę. A tam, w półmroku, prowadzona przez światło jednego tylko reflektora szła, czy raczej sunęła, moja piękna nieznajoma. Zaparło mi dech. Wyglądała zjawiskowo. Umilkły rozmowy. Słyszać było tylko monumentalną muzykę — wszystkie oczy skupione były na niej, na Mag.

10.01.2012. Gosia

Codziennie czytam pani Irenie. „Czarodziejską górę” już kończymy, trochę to trwa, bo

czytam jej też gazety — „Twój Styl”. „Politykę” i „Przekrój”. Dzisiaj przeczytałam jej taką notatkę z „Polityki”: *Duże wrażenie zrobiła kwestia postawiona przez radną Henrykę Piwowar ze Stowarzyszenia Rodzina Polska, którą interesowało wyposażenie brukselskich biur unijnych — „Czy to prawda, że na trzecim lub na czwartym piętrze tego budynku mieści się komputer służący do ewidencji ludności na świecie, a w pierwszej rubryce pojawia się trzy razy szóstka, cyfra szatana?”*.

Pani Irena się zapieniła:

— Pora umierać! — wykrzyknęła. — Żyję i żyję, a ten świat coraz głębszy i gorszy. Jak szóstego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku ksiądz z ambony ogłosił, że wszystkie dzieci, które się tego dnia urodziły, są dziećmi szatana, to wstałam i wyszłam z kościoła. Minęło pięćdziesiąt lat i proszę — głupstwo jest wieczne, głupstwo końca nie ma. Pora umierać. I tak nic z tego świata nie będzie.

— Proszę się nie denerwować, pani Ireno! To tylko głupia baba.

— Głupia baba, łatwo powiedzieć. Ciągłe jest tych głupich bab i głupich chłopów jak mrówek. A mądrzejszych nie przybywa.

— Przybywa, przybywa... — uspokajałam ją, jak umiałam. Po raz pierwszy widziałam panią Irenę tak ożywioną. Przeważnie podrzemywała, kiedy jej czytałam, i nawet nie byłam pewna, czy słyszy, co czytam. A tu proszę, jednak słuchała. Pani Irena popatrzyła na mnie ironicznie i zażądała:

— Gdzie przybywa? Proszę przykłady i nazwiska, jak mówił pewien oficer UB, który mnie w czterdziestym szóstym przesłuchiwał.

— Przesłuchiwał panią? A za co?

— Kiedyś może ci powiem. Teraz daj mi jeden chociaż pozytywny przykład.

— No... , to nietrudne. Ja chociażby.

— Ty?

— Tak, ja. Moja babka nie ma nawet podstawówki. Mama ma podstawówkę, a ja mam ogólniak i idę... mam zamiar iść na studia.

— Twoja babka jest analfaberką? — spytała z rozbrajającą dociekliwością.

— Tak źle nie jest. Nauczyła się pisać, jak walczyli z analfabetyzmem. W pięćdziesiątym piątym czy szóstym. Chociaż moja mama prosiła studentów, by jej nie uczyli, bo mamusia taka dobra.

— Jednym słowem jesteś z awansu społecznego.

— Można tak powiedzieć. Więc ziarnko do ziarnka i ueziera się miarka. Ludzie mądrzeją. Z pokolenia na pokolenie.

— Akurat. To tak nie działa. Ziarnko do ziarnka i mamy dwa ziarnka. I tyle. Ja też jestem z awansu społecznego. Moja mama była praczką, a ja proszę... — machnęła ręką, pokazując otaczające ją wnętrze.

Mama pani Ireny praczką?! Nigdy bym nie pomyślała! Pani Irena robiła wrażenie damy od pokoleń. A to jej mieszkanie było cudem nad cudy, pełnym starych mebli i portretów, które brałam za rodzinne.

— No to sama pani widzi, że jest lepiej!

— Nic nie widzę! Ja mówię o głupocie ludzkiej. Nie wiem, skąd tych głupich się tyłu bierze.

— Z awansu, pani Ireno. Coraz nowe pokolenia wychylają łebki na świat.

— A wiesz, może coś w tym akurat jest. Ale ty nie jesteś głupia?

— Ja nie, i pani też chyba nie była?

— Nie. Byłam bardzo mądra. Szkoda, że nie mam dzieci. To by było już następne

pokolenie, to lepsze.

— Być może.

Zamilkłyśmy obie.

— Opowiedz mi o sobie — poprosiła po chwili.

Zastanowiłam się, a potem tak jakoś słowa same popłynęły.

I to nie była ułudzona wersja — szczerą byłam do bólu.

Źle ze mną — myślałam, opowiadając pani Irenie o ojczymie, o Remku i nawet o peep show. Jednak mówiłam, a ona słuchała. Czasem pomrukiwała pod nosem, czasem kiwała głową, czasem kręciła. Nie była senna, a jej spojrzenie było porażająco bystre i przytomne.

Skończyłam i nie wiedziałam, czy za chwilę z tekturową walizką po świętej pamięci tatusiu nie będę musiała wrócić na Brzeską, gdzie jest moje miejsce.

— To zabawne — wycodziła w końcu pani Irena. Nie wyglądała na specjalnie rozbawioną.

— Zabawne!?! — zachłysnęłam się oburzona. — Co jest w tym zabawnego?!

— Podobieństwo naszych losów. Ja też pewnego dnia roku pańskiego tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego znalazłam się w Warszawie z tobołkiem i bez żadnych znajomości. Nawet tekturowej walizki nie miałam.

— I jak pani sobie poradziła?

— No, ja nie myślałam o studiach. Chciałam się dostać na scenę. To wtedy była szansa awansu dla takich jak ja. Nie studia. Studia, nie... Teatr.

— I co? Udało się pani?

— Jak widzisz. Przed wojną byłam gwiazdą warszawskich kabaretów. Mężczyźni leżeli u mych stóp. Tracili dla mnie fortuny. To mieszkanie dostałam od jednego zakochanego pana. Powiedział: „Chodź, coś ci pokażę”. I zawiózł mnie tutaj, na Mokotowską. Dał mi klucze i powiedział: „Kup sobie wszystko, czego potrzebujesz. Na mój rachunek. Nie zabieraj nic ze swego poprzedniego życia”.

— Była pani szczęśliwa?

— Byłam. Czasami. Czasami nie byłam. Pamiętam, jak jechałam w trzydziestym siódmym czy ósmym moim zielonym bugatti przez Aleje Ujazdowskie i płakałam. Dziś już nie pamiętam dlaczego. Szofer za szybą prowadził limuzynę. Na ramionach miałam taką piękną etolę ze srebrnych lisów, na paluszku brylant wielki jak orzech laskowy, w rękę szyfonową pachnącą Mitsuko chusteczkę i ryczałam. Płakałam i płakałam, ale w końcu wytarłam porządnie nos i powiedziałam sobie: Irenko! Jesteś nieszczęśliwa. Ale jak ty luksusowo jesteś nieszczęśliwa. I uspokoiliłam się od razu. Tak to było. Miło było.

— To wszystko zdobyła pani dzięki mężczyznom? — zapytałam ciut bezczelnie, rozglądając się po wspaniałym, pełnym antyków wnętrzu.

Pani Irena nie poczuła się obrażona. Pokiwała głową i potwierdziła:

— Przeważnie. Kiedyś zakochani mężczyźni poczytywali sobie za honor ofiarować jak najwięcej kochanej kobiecie. Może chcesz zobaczyć moją kolekcję pozytywek?

Podniosła się i podpierając się kosturkiem ze srebrną rączką, poprowadziła mnie do wielkiej szafy. W jej wnętrzu zamiast wieszaków zamontowano półki, a na nich stała cudowna kolekcja grających przedmiotów. Największe wrażenie zrobił na mnie nocnik pozytywka. Kiedy się na nim zasiadało, grał. Istne szaleństwo! Był tam jeszcze grający pierścionek, szafeczka z karafką i kieliszkami, które się wysuwały przy dźwiękach muzyki, ptaszek śpiewający i wyskakujący z puzderka. I wiele innych cudów.

Ale to nie był wcale koniec.

Pani Irena wyciągała z opasłych intarsjowanych komód szufladę za szufladą i pokazywała

mi ich zawartość. W jednej miała kolekcję wachlarzy, w drugiej naporstków wspaniałej wprost roboty. To były prawdziwe cacuszka — wysadzone drogimi kamieniami, inkrustowane białym złotem, kością słoniową, masą perłową.

Miała też zbiór pieczętek herbowych, tabakierek, puzderek, miniatuerek.

Patrzyłam na to wszystko i czułam się jak Alicja w Krainie Czarów.

Nie śniłam nawet, że takie cuda istnieją. Pani Irena co i raz, pokazując jakiś przedmiot, opowiadała jego historię.

— Ta miniaturka przedstawia Delfinę Krasińską. Zobacz, ramka jest zrobiona z rosyjskiej emalii. To bardzo piękna technika. Ofiarował mi ją Jaś Tarnowski, a to dostałam od młodego Radziwiłła. Tego ołyckiego.

— Ołyckiego?

— No, z linii ołyckiej.

— Z linii ołyckiej?

— Wielkie rody miały różne linie, różne majątki; Radziwiłłowie wiedli się z Ołyki i z Nieświeża i... Rozumiesz?

Słuchałam tego jak bajki o żelaznym wilku.

— Nie boi się pani mi tego pokazywać? To są rzeczy bardzo wartościowe... — Zaczerpnęłam powietrza, a pani Irena mi kategorycznie przerwała:

— Potrafię rozpoznać uczciwego człowieka, gdy go spotykam!

No cóż. Przypomniał mi się niejaki Osiński i jego portfel, ale zmilczałam. Tylko lekko się zaczerwieniłam. Pani Irena usiadła w fotelu i wygłosiła mały referacik, którego wysłuchałam z należyтым szacunkiem.

— Moja droga, robiłam w życiu różne rzeczy. I złe, i dobre. Walczyłam. Boksowałam. Czasem robiłam jakieś drobne świństwa, jak to w teatrze bywa, ale zawsze starałam się w poważnych sprawach być w porządku. I byłam. Dzisiaj nie muszę się wstydić własnego życia. Nikomu świadomie krzywdy nie zrobiłam. Grzeszyłam, bawiłam się, cieszyłam życiem. Kolekcjonowałam mężczyzn i tabakierki. Przynajmniej mam co teraz wspominać i na co patrzeć. Życzę ci, byś i ty, gdy dojdiesz do moich lat, miała równie piękne wspomnienia i podobnie piękne rzeczy.

— Ja też bym chciała — przytaknęłam skwapliwie. — Czy ci wszyscy mężczyźni, którzy pani dawali te piękne rzeczy... Jacy oni byli?

— Uroczy, szarmanccy, hojni. Przeważnie.

— Przeważnie?

— Początki miałam trudne. Dyrektorzy teatrów, koledzy, sponsorzy... tak to się, zdaje się, nazywa teraz? Wtedy to byli mecenasi. Jak się już przedarłam przez tłum konkurentek, jak stałam się gwiazdą, to wybierałam najlepszych mężczyzn tamtej epoki. Kochali mnie, cierpieli przeze mnie, rozpieszczali mnie.

— Nie żałuje pani niczego?

— Chyba żartujesz? Czego miałabym żałować? Biedy i nędzy, z której się wyrwałam? Losu mojej matki, która tylko rodziła dzieci i stała całe dni nad balią? Tarę miałam w herbie i posagu. Tarę prawdziwą, a nie taką jak Scarlett O'Hara. Ale byłam waleczna jak ona i odniosłam sukces. Miałam wszystko. Miłość i przyjaźń. I sukces też. Więc walcz, Małgorzato, walcz. Bo jest o co się bić. O ciekawe, piękne życie. Niebanalne. A teraz to już idź. Jestem zmęczona — zakończyła zniechęca.

Zamknęła oczy i opuściła głowę. Wyszepotałam cichutkie „dobranoc” i powędrowałam do swojego pokoju. W głowie mi szumiało. Te wszystkie piękne rzeczy, które mi pokazała, i to wszystko, o czym mi opowiedziała, długo nie pozwoliło mi zasnąć.

Rozdział 13

12.09.2013. *Marcel*

Położyłem się na łóżku. Ręce podłożyłem pod głowę i pograżyłem się we wspomnieniach.

Jak mnie ta Mag kręciła. Nie do wiary!

W białej szacie, wystylizowanej na chińską, sunęła po wybiegu z gracją zapierającą dech w piersiach. Wstrzymałem oddech i obserwowałem ją jak zahipnotyzowany.

Jej ciemne oczy spokojnie omiotły salę i zatrzymały się na moment na moim sąsiedzie. Mięsień przy ustach zadrgał w półśmiechu, ale zaraz majestatycznie się odwróciła i odpłynęła za kulisy.

Czułem się, jakby ktoś rzucił na mnie czar. Patrzyłem zahipnotyzowany na opustoszałą scenę. Nie słyszałem burzy braw, która się zerwała. Widziałem tylko Mag, prowadzoną za rękę przez rozentuzjzjzowanego Ediego Spyroszka, kreatora tego pokazu.

Z odrętwienia wyrwał mnie głos mojego sąsiada, siwowłosego faceta przytulonego do kolumny:

— Jest niezwykła, prawda?!

— O tak! — potwierdziłem z głębokim przekonaniem. — To pana dziewczyna? — spytałem jadowicie. Nie byłem jeszcze do końca przytomny.

Siwy spojrział na mnie podejrzliwie i powiedział:

— W pewnym stopniu. W pewien sposób. W pewnym zakresie...

Bredził. Gapiłem się na niego tępo i usiłowałem pozbierać myśli. Jedno zrozumiałem: jego prawa do dziewczyny nie są oczywiste. Czyżby dzieliła się swoimi wdziękami? — przemknęło mi przez myśl. Miałem zamiar walczyć i wygrać. Przecież zawsze wygrywam. Uśmiechnąłem się do tego gościa równie czarująco, jak fałszywie i zmieniłem temat.

— Widział pan ostatnią premierę „Borysa Godunowa” w Wielkim?

— Niestety, nie.

— To powinien pan się koniecznie wybrać. Znakomity Paszkowski. Ten jego bas...

Wciągnąłem faceta w rozmowę i zaprosiłem na kolację. Chwilę się wahał, ale w końcu się zgodził. I powiedział To, na co czekałem:

— Tylko nie wiem, co na to Małgosia.

Miała na imię Małgosia. Tak zwyczajnie.

— Pójdzie z nami. Ja też nie jestem sam.

Odwróciłem się i poszukałem wzrokiem Edyty. Stała w grupie pań i zawzięcie się o coś z nimi sprzeczała. Machnąłem w jej stronę ręką; zaraz zaczęła się żegnać. W tym samym momencie znalazła się koło nas Mag. Wzięła swojego staruszka pod rękę i spytała:

— Jak wypadłam?

— Rewelacyjnie, fenomenalnie, znakomicie! — wykrzyczał siwy, a Mag, Mag uśmiechnęła się znowu prześlicznie, tym swoim lekko kpiącym półśmiechem i powiedziała:

— Tak właśnie myślałam.

Spojrziała wreszcie i na mnie. Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem. Spokojnie i taksująco. W tej chwili pojawiła się u mego boku Edyta. Wczepiła się w moje ramię jak tonąca

starszka i pocałowała mnie mocno i głośno w policzek. Bardzo głośno, by nie pozostawić żadnych wątpliwości co do łączącego nas związku.

Mag odwróciła się do swojego partnera.

— Idziemy?

A on, stary dureń, popatrzył na nią radośnie i powiedział:

— Wiesz, Małgosiu, my tu z panem prowadzimy bardzo interesującą dyskusję. Właśnie się zgadaliśmy, że pójdziemy do jakiejś knajpki. Co ty na to? Przyłączysz się?

Jeszcze raz zmierzyła mnie wzrokiem. A potem powiedziała:

— Sama nie wiem...

Wystartowałem.

— Pani pozwoli, że się przedstawię: Marceli Łuciata. A to moja dziewczyna, Edyta Marszewska.

— Miło mi. Małgorzata Habich.

Siwy jegomość wyciągnął rękę i powiedział:

— Józef Ochęduszek.

— No, to skoro mamy to za sobą, zapraszam państwa do... Carmen.

Zawahałem się, bo nie chciałem, by lokal był ani zbyt drogi, ani zbyt tani. Nie chciałem ich wystraszyć ani wprowadzić w zakłopotanie. Pokazać, że mnie stać na wszystko. Strategię uwodzenia trzeba wybrać, gdy się pozna fakty. Musiałem się najpierw zorientować, z kim mam do czynienia. Pewne incognito było konieczne. Tym bardziej że ani dziewczyna, ani pan Ochęduszek nie drgnęli nawet na dźwięk mojego nazwiska. Najwyraźniej nic im ono nie mówiło. Ciekawa sytuacja...

Carmen będzie akurat. Miłe wnętrza, dobre jedzenie, ceny nie za wysokie. Tak — Carmen.

— Nie, tam jest zbyt drogo i kuchnia kiepska — zaproponowała Małgosia.

Zatkało mnie — na sekundę zaledwie.

— To co pani proponuje?

— Może Montmartre?

— Okej. Dobry wybór. Ja oczywiście zapraszam. To się stąd powoli ewakuujemy.

— Czy państwo są samochodem?

— Nie...

Kolejny problem. Mój jaguar, słabostka mężczyzny w... średnim wieku, zdecydowanie nie nadawał się do pokazania. Nie wiem czemu, ale tak czułem.

Spojrzałem na Edytę.

— Ty przyjechałaś samochodem?

— Tak — wyszeptła spłoszona. Biedactwo. Nie rozumiała, co jest grane, ale wiedziała, że coś nie gra.

— Świetnie. To nas zawieziesz.

Otworzyła szeroko oczy, chciała coś powiedzieć, ale rozsądnie zamilkła.

Głupia to ona nie była. Może powinienem się był jej trzymać.

Ta kolacja.

Nie pamiętam jej specjalnie. Pamiętam Mag. Jak się śmiała, nachylała, jak zjadała ślimaki, jak piła wino. Gadaliśmy o muzyce, o książkach, o koncertach i wystawach. Było przyjemnie i tak inaczej niż zwykle. Żadnego nadęcia. Te tematy ich kręciły, to było ich życie. Pan Józef przesadzał trochę, jego sądy były ciut za ostre, egzaltowane, ale Mag tonowała go, uspokajała, przekonywała. Była wobec niego opiekuńcza i przekorna zarazem. Było widać, że bardzo się lubią, ale natura ich związku nadal pozostawała dla mnie tajemnicą. Wytarła mu sos

z krawata miłym i czułym gestem, ale poza tym... Sam nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Udało mi się dostosować do ich tonu i gadałem tak jak oni, co sędzę na temat ostatniej powieści Pilcha albo premierze w Powszechnym. Pan Józef budował piętrowe wprost anegdoty. Wszystko ze wszystkim mu się kojarzyło. Wiedzę miał doprawdy imponującą. A Mag wprost spijała z jego warg To, co powiedział. Chłonęła, komentowała i pytała. Była pod jego urokiem, ale chwilami robiła wrażenie jego uczennicy, a nie przyjaciółki. Byłem zdeorientowany, ale jedno już wiedziałem na pewno: jeśli ją zdobył, to intelektem. Najwyraźniej tym, co ją u niego kręciło, był jego mózg. Zaiste, dziwny przypadek.

Trochę spanikowałem. Jestem niegłupi, jestem mądry, ale mądry inaczej.

Ale to brzmi...

Głupio brzmi. No, jestem raczej technokratą, tak to się nazywa. Mój żywioł to biznes. A nie ostatnia książka Pilcha do k... nędzy!

Bąłem się. Wystraszyłem się, że nie dam rady jej wyjąć. Była jak zahipnotyzowana, zauroczona tym staruszkiem.

To mogło być trudniejsze, niż mi się wydawało. Ale i ciekawsze.

Edyta nie miała nic do powiedzenia, więc siedziała cicho i obserwowała.

Kiedy się znaleźliśmy u mnie w domu, powiedziała:

— Ale cię wzięła! Co z tym zrobisz? Co z tym zrobimy?

Nie była głupia i należało się jej trzymać.

Rozdział 14

12.01.2012. *Gosia*

Jaskinia pani Ireny zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Całe dwa dni myślałam tylko o tym, co mi pokazała. Co tam jaskinia! Szam! Gdybym tak ja mogła zdobyć taką fortunę, byłoby bosko.

Ale ja nie jestem gwiazdą kabaretu, tylko tancerką erotyczną. Kręcipupą.

Mówiąc delikatnie... bo niedelikatnie to...

Czy dzisiaj w ogóle są jakieś kabarety? Nie słyszałam.

Nie, to nie dla mnie. Peep show to sam dół drabiny, po której powinnam się wspinać... A na górze to raczej nie kabaret należałoby sobie postawić za cel, kombinowałam sobie — tylko faceta.

Jak tu znaleźć bogatego faceta? Bo wszystko się do tego, zdaje się, sprowadzało.

Studia. Cztery albo i pięć lat totalnej męki; potrzebna na to kasa, no i straszny zapieprz. I co na końcu? Jakaś posada. Lepsza czy gorsza.

A jeśli po prostu bezrobocie? Też możliwe. Facet. Bogaty facet. Target — facet.

Skąd się, na miłość boską, bierze bogatego kolesia?

Ten temat muszę przepracować. Tak sobie postanowiłam.

A potem spojrzałam w lustro i zobaczyłam swoje sine oblicze.

No cóż. Mam na to czas, niewątpliwie dużo czasu...

Odwróciłam się od lustra. Wpakowałam się do łóżka i zaczęłam czytać „O szczęściu” Tatarkiewicza.

I znalazłam tam takie zdanko: Mam to szczęście, że jestem nieszczęśliwy: tak może powiedzieć zarówno naród, jak pojedynczy człowiek.

Jakiś Sartre to powiedział.

To chyba głupek musiał być. Ten Sartre.

Szczęśliwy — bo nieszczęśliwy. Akurat. Jak ten w beczce. No, Diogenes.

Takie idee to są dobre w ciepłym klimacie — pomyślałam, jak przeczytałam o kolesiu, co mieszkał w beczce i był szczęśliwy. U nas Dworzec Centralny robi za beczkę. Czy kloszard może być szczęśliwy? Czy jak się nic się nie ma, można być szczęśliwym? Może i tak, pod warunkiem że jest się bezustannie naprany.

Jak to mieszkańcy podziemi dworca mają w zwyczaju.

I pod warunkiem, że inni też nic nie mają. Bo jak ja patrzę na te ciuchy, kosmetyki czy nawet po prostu książki, to od razu robię się nieszczęśliwa...

Takie zdania to tylko ktoś naprawdę bogaty mógł napisać.

Podzieliłam się tą głęboką refleksją z panem Józefem, który właśnie pojawił się w drzwiach mojego pokoju, pytając niepewnie, czy mi nie przeszkadza.

— To wcale nie jest takie głupie — powiedział ten boży człowiek, sadowiąc się na foteliku koło mego łóżka. — Szczęście jest takie płaskie...

— Proszę?! — wycedziłam, patrząc na jego rozwianą czuprynę i pocerowany na łokciach sweterek.

— Tak. Syci są często nudni, pozbawieni fantazji, wyprani z dążeń... Nieszczęście

czasem wzbogaca, duchowo...

— Coś się panu myli, panie Józefie! Syci to ci, co walczyli. Dlatego są syci.

— Nie wszyscy, dziecinko, nie wszyscy...

— Może nie wszyscy, ale większość. Pozbawieni dążeń to są ci, co nic nie mają. Wiem coś o tym.

Pan Józek głęboko się zamyślił. Skubał wargę przez kilka minut, nim powiedział:

— Ciekawe. Może jest w tym jakaś racja. Ja mam trochę dziewiętnastowieczne poglądy. Syty burżuj i tak dalej. Wiesz, Iwaszkiewicz gdzieś napisał, że szczęście jest zjawiskiem zbyt prymitywnym dla współczesnego człowieka.

— Zbyt prymitywnym? Chyba właśnie tę burżujską wizję szczęścia miał na myśli. A pan, czy pan czuje się szczęśliwy?

— Ja? Oczywiście! — wykrzyknął pan Józef. I potrząsnął z entuzjazmem siwą czupryną. Tak.

Wyglądał na szczęśliwego człowieka.

— Niczego pan nie pragnie? Nie żałuje? Żona, dzieci? No, nie wiem... Niczego panu nie brakuje?

— Mnie? Niczego. Ja nigdy nie chciałem mieć rodziny. Mnie zawsze wystarczała muzyka...

— Ale to chyba nie jest normalne. Czy pan kiedyś kochał?

Pan Józef popatrzył na mnie ze smutkiem.

Cholerka. Chyba zadałam mu zbyt osobiste pytanie. Ja to jestem!

Potarł ręką prawy policzek. Podciągnęłam się wyżej na łóżku i przyglądałam mu się z uwagą. Odniosłam wrażenie, że chce mi powiedzieć coś ważnego, coś osobistego.

Chwilę się wahał. A potem popatrzył mi w oczy i powiedział:

— Tak. Kochałem. Ale to było uczucie... niemożliwe do zrealizowania.

— Uczucie niemożliwe do zrealizowania? — zdziwiłam się. — Nieszczęśliwa miłość? Mężatka?

— Nie — powiedział pan Józef, patrząc mi w oczy. — Nie. To... był on.

— On? — wykrztusiłam. — On?!

— Tak. Pokochałem... i... to było bez sensu. Totalnie bez. Nie mogłem. Nie wtedy. Wiesz, rodzice, matka, Józia. Zresztą, ten... mój przyjaciel... nawet nie wiedział...

— I pan... się wyrzekł wszystkiego?

— Tak. Czasem tak trzeba. Bo inaczej nie można. To były inne czasy. Miałem muzykę.

— I to panu wystarczało?! Przez całe życie?!

— Tak. Jestem szczęśliwy. Kocham muzykę. Nie osiągnąłem wiele jako muzyk. Talentu mi nie stało czy szczęścia, sam nie wiem. Ale mimo to jestem szczęśliwy. Robię, co lubię. To dar. Największy. Prowadzę spokojne, uregulowane życie. Nie jestem szarpany niepokojem. Zrezygnowałem. Pogodziłem się. Znalazłem coś w zamian. Jestem szczęśliwy...

Szczęśliwy człowiek. Tak wygląda szczęśliwy człowiek. Spotkałam szczęśliwego człowieka!

Toż to nowy Diogenes — pomyślałam sobie. Wyrzekł się wszystkiego. Głośno jednak tego nie powiedziałam. A pan Józef zwrócił się do mnie:

— Czemu pytasz? Jesteś nieszczęśliwa?

Chwilę pomyślałam.

— Jestem szczęśliwa. Dobrze mi tu. Ale chciałabym mieć więcej. Takie mieszkanie, *for example*. Ciuchy. Samochód. Sukces. Jednym słowem, chciałabym odnieść sukces.

— Ty uważasz, że ciuchy i samochód to sukces? — Pan Józio zdziwił się niepomierne.

Też sobie wybrałam obiekt do zwierzeń. Akurat jemu musiałam to mówić. Źle coś ze mną. Mięknę. Słabnę. Instykt tracę. Papłę. Ale chcąc nie chcąc, musiałam ciągnąć dalej ten wątek, skoro już zaczęłam.

— No, chciałabym. Przecież to nic złego. Pani Irena ma tyle pięknych rzeczy. Jej się udało. A wyszła z takiej biedy jak ja — próbowałam się usprawiedliwiać.

— Pani Irena to była przede wszystkim świetna artystka! — powiedział z mocą pan Józef. Znakomita! A To, co ma, to pochodna tego, co robiła. Była perfekcjonistką! Pracowała od świtu do nocy! Flaki wypruwała z zespołu! A siebie po prostu katowała, by uzyskać jak najlepszy efekt.

— Taka była dobra?

— Najlepsza!

— Ale mnie mówiła, że wszystko dostała od facetów.

— Tak. Większość pewnie tak. Kiedyś były takie obyczaje.

Ale dawali jej, akurat jej, bo była wspaniała. Była cudowną, dowcipną, inteligentną kobietą. Wcale nie była taka piękna. Ale mężczyźni uważali ją za taką. Jej urok zniewalał.

— O tym mi nie mówiła. Mówiła o prezentach i jak dostała to mieszkanie...

— Wszystko prawda. Tylko niecała. Ci wielbiciele kochali jej talent, jej sztukę. Aurę sukcesu. A ten zawdzięczała ciężkiej pracy.

Pokiwałam głową niepewnie. To było jakby inne spojrzenie na kwestię kariery dzięki facetom. Powinam nad tym jeszcze pomyśleć.

A pan Józio, roztargniony pan Józio, jakby się ocknął. Podniósł się z fotelika, przeciągnął swój zbyt długi tułów i powiedział:

— Czas łózkować. Tośmy sobie ale pogwarzyli o sprawach rudymentarnych.

Wytrzeszczyłam oczęta. Zauważył moją minę i dodał:

— No, sprawach podstawowych. I jedną rzecz powinnaś pamiętać, skoro chcesz się piąć w górę: droga w górę jest często drogą w dół. Przemyśl sobie tę kwestyjkę. To nie moje. To stary, dobry Heraklit z Efezu. Różne są góry, różne drogi na nie prowadzące. A co Heraklit jeszcze powiedział? — zaatakował mnie znienacka, unosząc profesorsko do góry wskazujący palec. — Pytanie za sto złotych.

Roześmiałam się triumfująco.

— *Panta rhei* powiedział, wszystko płynie!

Really. Byłam z siebie dumna. Koszykowa zaczęła procentować.

— Tak. A co to oznacza?

— No, że, że... wszystko się zmienia? — spróbowałam.

— Tak, że wszystko jest zmienne. Na wszystko można różnie spojrzeć. I to samo często nie jest tym samym. Ale ja ci tu straszne sadzę sofizmaty, a ty na pewno chcesz spać! Dobranoc, córeczko.

— Dobranoc, panie Józefie. Dziękuję!

— Nie ma za co. Pa.

Pan Józef zniknął za drzwiami. Ja zgasiałam światło i pograżyłam się w myślach. A miałam o czym myśleć. *Really*.

2.02.2012. Gosia

Byczyłam się cały miesiąc. Choć może to za duże słowo: byczyłam.

Pracowałam jak mróweczka. Przeczytałam prawie całą bibliotekę pana Józia, połowę

biblioteki pani Ireny, siedziałam na Koszykowej, zatapetowana jak słup ogłoszeniowy.

Pani Irena pożyczyła mi jakiś kryjący preparacik, spod którego moje sińce w coraz to ciekawszych odcieniach nie prześwitywały zbyt. Tylko twarz miałam jak aktorka kabuki. To taki teatr japoński, w którym aktorki noszą dosłownie tynk na obliczu.

Moja wiedza, jak widać, postępowała do przodu. Postanowiłam zdawać na dziennikarstwo i czytałam głównie książki historyczne, polityczne i gazety.

Z panem Józiem gawędziłam codziennie. Na wszystkie tematy, nie tylko muzyczne. Gadaliśmy o książkach, o muzyce, nawet o polityce.

Niekiedy wieczorkiem porozmawiałam z panią Ireną. Było strasznie fajnie. Tylko ta kasa...

Zawartość mojego sejfku w pasku od spódnicy topniała w zastraszającym tempie. Jak tak dalej pójdzie, zostanę bez żadnego zapasiku. A jak wiadomo, zapasik jest konieczny. No bo jeśli będę musiała studiować i płacić za to? Albo nie będę miała kiedy pracować? W czasie sesji egzaminacyjnej na ten przykład.

Zapasik być musi. Nie ma to tamto, skoro musi, czas był najwyższy wracać do pipu i Sebastiana Rozumka. Takie nosił miłe nazwisko mój przyjaciel Sebek. Wpadł zresztą do mnie na Mokotowską z przyjacielską wizytą.

Pani Helenka, jak go zobaczyła w drzwiach, to zbladła. Myślała, jak mi potem szczerze wyznała, że to jeden z tych, co mnie pobili. Że przyszedł dokończyć dzieła.

Ciekawe zresztą, skąd jej coś takiego przyszło do głowy?

W każdym razie Sebek zrobił wstrząsające wrażenie na mieszkańcach Mokotowskiej.

Pan Józef wgapił się w niego tak, jakby zobaczył pierwszy raz podobnego faceta.

To chyba niemożliwe, że nigdy przedtem nie widział anabola?

Potem mi wyznał, że widział, ale nigdy z tak bliska.

Pani Józia pisnęła przeraźliwie, gdy wpadła na niego w korytarzu.

Ale Sebek robił wrażenie zadowolonego; takie rzeczy go szczerze cieszyły — zwłaszcza piszczące na jego widok staruszki. Lubił, gdy ludzie się go bali, po to właśnie rzeźbił sobie te poprzeczne i pionowe, tak to się chyba nazywa. Myślę o mięśniach. Podrapać się biedak nie mógł w plecy, bo mu przeszkadzały monstrualne sploty i zwoje. Coś za coś. Tanieczka go drapała.

Darł się: „Tańka, drap!”. A ona biegła i drapała tę biedaczynkę, prześlicznie wyrzeźbioną. Istna boża krówka.

— Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? — zainteresowałam się.

Popatrzył na mnie swoimi świńskimi oczkami chytrutko, uśmiechnął się półgębkiem, machnął łapką niedbale, zachichotał wyraźnie zadowolony ze swojej przemyślności i powiedział na jednym oddechu:

— Fajna chata, ma się sposoby, kurde... Kiedy wracasz do roboty? — I wyciągnął z plastikowej torby, którą przytargał ze sobą, pudełko ptasiego mleczka i jedną cytrynę.

Popatrzyłam na ten prowiant z osłupieniem.

— Co to?

— No, tego... chorym się przynosi takie tam... kurde...

— No, tak. Przynosi się... Dzięki.

— Nie ma za co! To kiedy wracasz? Bo ruch mamy, kurde, jak cholera, i klienci pytają...

— Sama chcę wrócić. Nie mam kasy...

— O, jak chcesz, to ci parę złotych... mogę...

Zatkało mnie. Przypomniałam sobie, jak nie tak dawno głodowałam, a Sebek ani grosika nie chciał sztachnąć. Proszę, proszę, ale zmiany...

— Nie, dziękuję. Dam sobie radę. Ciągłe mnie bok trochę boli, ale może od poniedziałku

bym spróbowała.

— To by było dobrze... Przyjadę po ciebie.

— No co ty...

— Przyjadę, a co się będziesz tłukła, kurde, po autobusach z połamanymi zębami. Będę o jedenastej. Oka?

— Oka.

W tym momencie pojawił się pan Józef, elegancko najpierw pukając. Obrzucił Sebka bystrym, zupełnie nieroztargnionym spojrzeniem, potem popatrzył na mnie i zapytał jak kamerdyner w angielskiej powieści:

— Może podać herbatę?

Spojrzałam na Sebka pytająco.

— Nie, dzięki, kurde, będę się już zwijał.

— Ależ proszę się nie krępować — zaświergotała pani Józia, wychylając się spod pachy brata, co było możliwe dzięki jej naprawdę mikrej posturze.

— Noo, może kawki bym, kurde, łyknął — wyraził życzenie Sebek i zaraz wjechał do pokoju stoliczek na kółkach z kawką, herbatką i szarlotką.

Sebek gapił się na to wszystko zdziwiony. Ja też. Co ich napadło?

Trochę się martwiłam, że zaraz się może będą chcieli przyłączyć do nas i wysłuchają nowin z życia codziennego peep show, ale ani pani Józefa, ani pan Józef więcej się nie pojawili.

Sebek wcinał szarlotkę i oblizywał paluchy. A miał co oblizywać — grube były jak kiełbasa zwyczajna i całe w duszonych jabłkach. Z szarlotki...

— Ale ty to masz dobrze — pojękiwał, siorbiąc kawkę.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Miałam dobrze.

— Wpadłem też, kurde, by ci, kurde, powiedzieć, że ten Kajtek dostał taki wpierdół, że ani ręką, ani nogą, kurde. Już on ci nie podskoczy... kurde...

— Dzięki — wyszeptałam wystraszona.

— Nie ma za co, kurde, obiecałem przecież.

No, istotnie. Obiecał. Miałam tylko cichą nadzieję, że nie stanę się przyczyną wojny gangów. Jakoś nie pasiło mi To, co tu kryć.

— A co w pipie?

— Spoko. Tania dwoi się i troi. Znalazła, kurde, jakąś Lenę na twoje miejsce, ale jom chłopaki wygwizdali, bo ruszała się jak, nie przymierzając, kurde, krowięta. Dno. Wywalilem na mordę pierwszego wieczoru, kurde. Masz straszne jeszcze sińce zielone. Zamalujesz to jakoś?

— Jasne, zamaluję. Nie martw się... kurde...

Przynudzał mnie Sebek jeszcze czas jakiś. Konwersacja słabo się kleiła, bo nie była ona jakby jego specjalnością. Co innego, gdyby trzeba było przywalić...

Ja świergotałam cokolwiek, gdy zapadały długie przerwy w rozmowie. W sumie jednak to było miłe z jego strony, że wpadł do mnie z wizytą. I to z cytryną nawet.

Wreszcie ciężko się podniósł, obciągnął dresik, przeciągnął się i zaczął się żegnać.

Odprowadziłam go do drzwi, przy których przypomniał mi raz jeszcze o poniedziałku.

Widać cenny ze mnie pracownik, skoro zainwestował we mnie całą cytrynę. No i mleczko, ptasie. Taaak.

8.02.2012. Gosia

Rano spróbowałam zrobić się na piękną. Wyszedł mi Zmierzch, wersja retro.

Kredowobłada twarz jak u jakiegoś wampira. Horror. Horror. Horror.

Nie przejdzie taka twarzyczka, nawet w naszym dennym pipie.

A tylko warstwa podkładu gruba jak gips zakrywała żółtozielone sińce. Byłam podłamana. Totalnie.

I pomknęłam do fachowca, czyli pani Ireny, która przedrzemywała w swoim fotelu. Kiedy jej zreferowałam problem, ożyła z letargu jak koń Borowczyka, gdy usłyszy pobrząkiwanie wiadra, w którym dostaje (z rzadka) wodę.

Najpierw zostałam usadzona przy toalecie z trzema lustrami. Potem pani Irena włączyła światło takiej mocy, że spokojnie mogła mnie poddać przesłuchaniu trzeciego stopnia.

Przyznałabym się do wszystkiego. Bez bicia. Poddała mnie jednak nie przesłuchaniu, lecz całej serii zabiegów, co jakiś czas przyglądając mi się krytycznie niezbyt zadowolona z osiągniętych rezultatów.

W końcu wykrzyknęła: — Już wiem, już wiem, już wiem!

I kilkoma szybkimi ruchami przerobiła mnie na Japonkę.

Skośne oczy i buzia w ciup.

Wyglądałam uroczo. Gdybym tak jeszcze nie miała metra siedemdziesiąt trzy.

No, ale to zgoła nieważna szczegółą. W naszym pipie detale są bez znaczenia.

Potem pomknęła do swoich opasłych komód, oczywiście to *licentia poetica*, słówko: pomknęła, bo raczej postukała, jednak jak na nią niezwykle chyżo.

W powietrzu zaczęły fruwać jakieś łaszki, halki, szmatki, które z dużym impetem wywalała na podłogę. Wreszcie wydała okrzyk triumfu:

— Jeeest! Przymierz!

W rękę trzymała szlafrok z najdelikatniejszego chińskiego jedwabiu, tak cieniutki, że można go byłoby zamknąć w jednej ręce. Kimono, prawdziwe kimono.

Wręczyła mi to чудо z bardzo zadowoloną miną. Przymierzylam. Był ciut za krótki, ale jak rzekłam, detale w pipie nie miały wielkiego znaczenia.

— Dziękuję, pani Irenko — wyszeptalam wzruszona. — Ale to za dobre do podłego pip szołu...

— Za dobre, oczywiście, że za dobre! Prawdziwy jedwab! Ale co tam! Bierz, niech ci służy. U mnie już nie ma szans, by ktoś to zobaczył, a tam tylu napalonych dżentelmenów.

— Pani Irenko, żadnego z nich nie nazwałabym dżentelmenem!

— Trudno. Wszystko psieje. Ślicznie wyglądasz, więc bierz i nie marudź, bo się rozmyślę.

Pani Irena widać miała jakieś złudzenia co do natury pipu — zdaje się, że uważała go za coś w rodzaju kabaretu.

Oczywiście był to kabaret, ale w zupełnie innym znaczeniu. Postanowiłam jednak jej nie wyprowadzać z błędu. A co mi tam. Nawet dobrze.

— To co, dobre to będzie? — zapytała.

— Tak, to znaczy... — zająknęłam się. — No, sam szlafrok to za mało do zdejmowania w tańcu, jakby...

W pani Irenie obudził się fachowiec.

Zmarszczyła czoło, pomyślała chwilę i znowu zanurkowała w swoich przepaścistych komodach. I wyciągnęła po chwili czarny seksowny gorset przybrany z lekka ukruszonymi strusimi piórami.

Przymierzylam. Wszystko byłoby okej, gdyby nie To, że miałam zbyt małe piersi.

— Eee... — powiedziała niewzruszona i niezrażona. — Zaraz Helenka wszyje ci poduszcзки. Przedsięwzięcie miałam jednak lepsze od ciebie — zakomunikowała z nieukrywana

dumą, patrząc na zapadające się na moim biuście dessous.

Teraz ja z kolei zamrugałam oczami, widząc jej zadowoloną minę.

Dziewcinka ona. Wciąż jeszcze.

Po godzinie, gdy poduszki zostały już wszyte, miałam genialny kostium. Z lustra patrzyła na mnie urocza japońska gejsza. Faceci oszaleją. Jak nic.

Nie zmywając makijażu, ubrana w gorsecik pod luźną sukienką, pomknęłam na spotkanie z Sebastiankiem.

Wieczór był sukcesem totalnym. Stęsknieni klienci powitali mnie entuzjastycznie w moim nowym emploi, nie bacząc na To, że kawałek przeze mnie wykonywany nijak nie przystaje do wymyślnego kostiumu i przede wszystkim charakteryzacji. No i ruszałam się na pół gwizdka. Ale wyglądałam spoko, co zostało docenione. A jakże...

Nad detalami postanowiłam jeszcze popracować. Pan Józef pewno mi znajdzie jakiś chińsko-japońsko-egzotyczny kawałek, przy którym będzie można zrobić striptiz, seksownie kręcąc pupą.

Rozdział 15

12.09.2013. *Marcel*

Kiedy wróciłem następnego wieczoru do domu, zmęczony jak wszyscy diabli, myślałem tylko o niej. Jak ją... Ranne spotkanie z ministrem niespecjalnie mi się udało. Był kompletnie głuchy na moje argumenty, ale mnie to nie wkurzyło. Nawet czułem dla niego pewien szacunek. Pilnował swojego czy tam naszego. Ja chciałem wyjąć cząstkę dla siebie. On nie chciał mi pomóc. Miał ze swego punktu widzenia rację. Kiedy indziej jego tępy upór, To, że przeszkadzał mi w realizacji moich planów, doprowadziłby mnie do furii. Ale wtedy, tamtego wieczoru, byłem spokojny i wyluzowany.

Pogodziłem się z klęską.

Z łatwością się pogodziłem, bo miałem Mag w zasięgu, jak mi się wydawało, ręki. Taka była dla mnie ważna. Długo oczekiwany deser.

Pomysł miałem taki: zmasowany atak na jej przyjaciela i wroga albo przyjacielskie przejęcie. Tym razem nie firmy, ale dziewczyny.

Byłem mistrzem w takich rozgrywkach i rozrywkach. Lubiłem to. Naprawdę lubiłem.

W wygodnym fotelu, z kieliszkiem jakże banalnej whisky, snułem plany. Myślenie to moja specjalność. Kłopoty nie.

Zaprzyjaźnienie się z jej przyjacielem to fraszka, a potem ją sobie wezmę. Po prostu.

Tak kombinowałem. Jakaś wspólna wyprawa do opery, jakaś wystawa być może, i ta śliczna dupeczka usiądzie mi na kolanach.

Tak. Na razie zawołałem Edytkę, pokazując gestem, co ma robić. Zamknąłem oczy i wyobrażałem sobie, marzyłem o Mag. Romantyk ze mnie. Bez dwóch zdań.

14.02.2012. *Gosia*

*Dienieg niet, i myśli niet,
tolko chuj rabotajet...
choczetsa jemu tiepla,
pust' by mnie odna dała...
oooooooo!*

*gdzież wy, bliadi?!
sosajetie diadi...*

— darła się Tanieczka jak nawiedzona, zrzucając z siebie kolejne łaszki.

Koleś gapiący się na nią tępym spojrzeniem nagle ożył i rozdarł się, jak nie przymierzając stara pierzyna:

— Ty kurwo! Co ty mi tu po rusku wyjesz? Tu Polska, kurwo, po polsku masz śpiewać.

— I rzucił się na nią z pięściami.

Sebek momentalnie zareagował. W jednej sekundzie złapał faceta za kark i wycedził:

— Spokój... kurde...

Ten, naprany, nie przestawał bluzgać i usiłował dostać się do Tani, wymachując łapami jak wiatrak.

Sebek, cóż to dla niego, podniósł go jak psiaka i płynnym ruchem pyrznął za drzwi. Tylko klapnęło, gdy błoto zalegające na naszym podwórku spod niego bryzgnęło.

No, ma on te mięśnie nie od parady, ten nasz Sebastian!

Tania, sponiewierana, wystraszona, szlochła w kącie.

Podeszłam do niej, położyłam rękę uspokajająco na jej plecach, ale się jeszcze bardziej rozryczała. Sebek rzucił szorstko:

— Nie maź się, kurde.

Chlipała dalej.

— Czemu on tak zaraz mnie... od ruskich kurew... Czy to co złego, że ja... *Ja dołżna...* Mam dziecko chore, *muż pjot*. Nie kradnę, nie zabijam, *tolko* zarabiam.

— Przestań już — uspokajałam ją. — To gnój, głupi gnój. Swołocz, nie przejmuj się...

— Może ja i *dołżna po polski piet'*...

— Lepiej by było — wychrypiał Sebek. — Po co im wiedzieć, żeś ruska!

— No, ale ja to mam po rusku naszykowane...

— No to co? Małgośka ci przetłumaczy.

— Ja?

— No, znasz ruski przecież.

— No, znam, ale to...

— Tłumacz, zaraz. Klientów nie ma, to pomóż Tańce. Nauczy się po polsku i spokój będzie.

Usiadłam w kącie i zaczęłam tłumaczyć. Jak to szło? Ta pierwsza zwrotka to był żaden problem:

Forsy i pomysłów brakuje,

tylko chuj pracuje...

ciepła trochę mu się chce,

choćby jedna dała się...

Ale refren... Zaraz, może tak:

oooooooo!

gdzieście, puty?!

wujkom ciągniecie druty...!

Wydeklamowałam Sebastianowi swoją poezję, strasznie z siebie dumna, bo mi to wyszło, ale się skrzywił.

— Słabe To, co to za puty?

— No, kurwy.

— Eee, kto tak mówi. Nigdy nie słyszałem. Inaczej to zrymuj.

Pan każe, sługa musi. Urażona w ambicji własnej, dalej tworzyłam.

Za minutę miałam nową wersję. Zawołałam Sebka.

— A tak?

oooooooo!

gdzie żeście, baby?

wuja trzymacie za chuja...

— Za mało erotyczne! — zawyrokował tonem eksperta literackiego.

— Za mało erotyczne?! Ocipiałeś? — jęknęłam.

— Tak. Jakie baby? Baby to som grube. Inaczej, kurde, wymyśl.

Cholerka!

— No, ja za poetkę się tu nie angażowałam. Powinieneś mi za to zapłacić.

Podrapał się w nos.

— No, spoko. Dam ci stówkę.

Aż mnie zatkało.

— Stówkę... — wycedziłam powoli, by nie widział, jak się ucieszyłam. — Nooo... skoro tak, to jeszcze spróbuję.

Po kwadransie miałam gotowe dwie wersje, ale odczekałam z godnością czterdzieści pięć minut, zanim wyrecytowałam je wpatrzony we mnie parce — Sebkowi i Tani, mojemu jury.

Wariant 1:

ooooooooo!

Gdzieście, putany?!

wujkom liżecie banany...

Wariant 2:

ooooooooo!

Gdzieżeście, laski?!

wujkom stawiacie kutaski...

— No, który wam się bardziej podoba?!

Słuchali z uwagą, jedno drapało się po nosie, drugie po tysej głowie.

To chyba miało im pomóc dokonać trafnego wyboru.

W końcu zdecydowali się na wariant drugi.

Putany były im nieznane.

Słowo, rzecz jasna.

Napisałam fonetycznie tekścik na kartce i Tania obiecała nauczyć się go w mig, czyli *na zawtra*. Ja zaś zainkasowałam miłą stóweczkę.

Ja, Małgosia, utalentowana poetka wiejska.

Tak, miałam więc za sobą debiut literacki. Sprawił mi on szczerą radość. Tworzenie poezji erotycznej. A może byłby na to zbyt?

Mogłabym napisać do domu. Pochwalić się. Oczywiście bez szczegółów. Całkiem mi się te tłumaczonka udały.

Kontenta z siebie, zaskomlałam, by Sebek mnie puścił do domku, bo i tak pies z kulawą nogą tu już od godziny nie zajrzał. Lało jak diabli.

Sebek w swej niezmiernie tego dnia dobroci przystał na To, ubrałam się więc tak szybko, jak pozwalały mi połamane żebra, i opuściłam miły przybytek, zostawiając Tanię siedzącą na parapecie okna i powtarzającą tekst mojego tłumaczenia: — Wuu-jkom liżecie baanany, wuujkom liżecie banany... — i Sebastiana czytającego „Men’s Health”. Luksusowy z niego ABS. Powiedziałabym — intelektualny.

Tak go Remuś zwie: ABS, Absolutnie Bez Szyi.

To był dzień. Czasami zdarzają się takie. Inne od wszystkich.

Stałam na przystanku autobusowym, nerwowo przebierając nogami w oczekiwaniu na autobus do centrum. Podeszłam do krawężnika, by spojrzeć, jaki to się zbliża powoli i ospale, jak tuwimowska lokomotywa, gdy czerwony mały samochodzik przemknął z szybkością meteoru i ochlapał mnie od stóp do głów. Stałam jak jaka kretyńka na chodniku, a woda spływała ze mnie cienkimi, tłustymi strumyczkami.

Otarłam nos, bo skapywały z niego powoli acz regularnie obrzydliwe błotniste krople na moją ongiś białą kurtkę.

Zamrugałam oczami i rozejrzałam się rozpaczliwie w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłabym się doprowadzić do stanu jakiej takiej używalności.

Dojrzałam kawiarnię. Zielony neonik świecił wesolutko na końcu czarnego tunelu ulicy, tuż przy jej rogu. W strugach deszczu, starając się omijać co większe kałuże, pobiegłam tam,

jakby mnie kto gonił.

Otworzyłam drzwi i znalazłam się w zupełnie innym świecie.

Było jasno i przytulnie. *Ujutnie, jak* mawia pani Irenka.

Uderzył mnie prosto w nos miły zapach gorącej kawy i ciastek. Poczułam, że jestem potwornie głodna. Aż mnie skręciło tam gdzieś w środku, w trzewiach.

Stojące przy ladzie kelnerki, świergoczące wesolutko, zmierzyły mnie, mokrą i utyłaną, ciekawym wzrokiem, po czym wróciły do swoich pogaduch.

Kilku klientów zatopionych w pogwarkach nie zwróciło na mnie żadnej uwagi.

Spytałam jedną z dziewczyn o toaletę i zamknęłam się w niej na dobry kwadrans.

Dużo nie dało się zrobić. Wymyłam twarz i ręce, trochę przetarłam włosy. Delikatnie osuszyłam z błota kurtkę i spodnie. Bałam się, że takie tłuste plamy mogą zostać na zawsze. To byłby straszny pech.

Mocno zmartwiona weszłam na salę, usiadłam przy stoliku i zamówiłam café latte i tiramisu. A co tam. Stać mnie. Zarobiłam przecież na poezji. Erotycznej.

Jakie to było pyszne! I poezja, i to całe tiramisu!

Doprawdy, nic tak nie cieszy, jak małe przyjemności w tym *molto* męczącym życiu. Wysznuwszy taką głęboką refleksję, rozparłam się wygodniej na krzeselku. Siedziałam i pojadałam ten deser powoli, trzymając na języku, by wystarczył na dłużej, piłam kawkę małymi łyčkami, jak dama jaka. Ach! Było mi dobrze! Jak dobrze!

Chwilo, trwaj!

Ta jednak nie chciała trwać. Moją małą sielankę przerwał jakiś chłopak, a może raczej mężczyzna już, bo miał ze czterdziestkę pewnie, ale ubrany był jak gówniarz albo artysta. Taki jakiś wygląd, bym powiedziała. Włosy długie, na nich wełniana czapeczka, fajna kurtka i spodnie jakieś takie przykrótkie. Jednym słowem, men trudny do przeoczenia, niemniej ja go wcześniej w tej knajpie nie zauważyłam.

Spytał:

— Mogę?

I nie czekając na odpowiedź, odsunął krzesło. Odpowiedziałam dobitnie:

— Nie mogę!

I zrobiłam wściekłą minę, ale ta nie sprawiła na nim najmniejszego wrażenia. Padł na krzeselko, wyciągając swój bardzo długi odwłok.

— Spadaj — wysyczałam mało dwornie. Prawdę mówiąc, sądziłam, że to jakiś klient mnie rozpoznał. Cała zjeżona, usiłowałam kolesia przepędzić wzrokiem. A ten nic, tylko się uśmiechnął i powiedział:

— Mam propozyszyn...

Trafiło. Kajtek, niezapomniany Kajtek stanął mi jak żywy przed oczami. Zerwałam się i warknęłam: — Won. Ale to już! Facet znieruchomiał.

— Daj spokój, co ty... Ale ostra jesteś. Ja nie mam złych zamiarów. Żaden podryw. Szukam dziewczyny do zdjęć.

— Porno?! — spytałam jadownicie.

Żachnął się.

— No co ty. Zwykłych zdjęć mody. To moja wizytówka. Agencja Matiesów, może słyszałaś...

Zaniemówiłam i popatrzyłam na wizytówkę. *Robert Frank — fotograf mody.*

— Chodzi ci o normalne zdjęcia? A gdzie ty mnie widziałeś?

— Ciebie? A gdzieś już pozujesz?

— Nie... Nie! No, ale teraz wyglądam potwornie, więc...

- Wyglądasz ślicznie. Masz to coś. Mówię ci, widzę cię...
— Widzisz mnie? Te sińce też?
— Tak. Ale to szczegóły. Ja się rzadko myślę. Mam oko — dodał chełpliwie.
— A co to miałby być za pokaz? Ja nie umiem chodzić. Na pokazie.
— Tu nie trzeba chodzić akurat. To będzie taka moda *en noir* w starej parowozowni.

Sesja zdjęciowa tylko.

— *Énoar*?

— Na czarno. Wszystko na czarno. Jak się sprawdzisz, to cię nauczymy chodzić.

I zrobimy ci portfolio.

— Port... co?

— Taki album ze zdjęciami, który musi mieć każda modelka.

— Aaa... — pokiwałam głową szalenie inteligentnie. — Czyżby...

Czyżby mi coś zaskoczyło?

— A co ty za to chcesz? — spytałam nieufnie.

— No, firma, dla której pracuję, będzie brała procent od twoich dochodów. Ale będziemy w zamian ciebie reklamować, no i dbać o twoje interesy.

— No a ty?!

— Ja nic, ja jestem sobie taki fotografik.

— Aha...

— No to jak? Masz ochotę się z tym zmierzyć?

— Jasne!

— No to w przyszły wtorek, ósma rano. Poczekaj, zapiszę ci adres. Właśnie szukałem dziewczyny, która by pasowała do mojej wizji. Miałem jedną umówioną, ale dała dupy. Poleciała na zastępstwo do Tajlandii. Nie mogę mieć do niej wielkich pretensji. Sama rozumiesz, Tajlandia. Ale kłopot. I nagle ty... Podobna do niej jesteś, ale... no, lepsza jesteś, lepsza... — nadawał jak karabin maszynowy, wgapiając się we mnie nieco denerwująco.

Słuchałam tej jego nawijki jak zahipnotyzowana.

— A ile płacicie? — Powoli wracałam do przytomności.

— No wiesz, te sesje w kraju są marnie płatne. Jakieś tysiąc złotych za cały dzień.

— To rzeczywiście marnie — zasepiłam się, podskakując w duchu z radości. Taka forsa! To musiał być mój naprawdę dobry dzień!

— No, ale pomyśl, jak się nadasz, to potem możesz wyjeżdżać, gdzie chcesz. Gwarantuję, że pojedziesz wszędzie. I do Tajlandii, jak Alicja, i na Teneryfę, i do Paryża. Gdzie tylko... Zwiedzisz świat. Taka praca otwiera możliwości. — Dalej nadawał jak nakręcony.

Gadaj zdrów — pomyślałam. Bajerant. Ale kiwałam łebkiem i słuchałam z uwagą.

Rozdział 16

15.03.2012. Gosia

Remuś się klócił z Tanieczką. Miał sierotka całe siedem dych i chciał całość, a Tanieczka się nie godziła. Miała swe zasady i była twarda niczym diament i równie ostra.

— Tańka, kurna! Nie wygłupiaj się! Całe siedemdziesiąt! Więcej nie dam, bo nie mam. Bądź człowiek!

— Ja nie człowiek. *Ja ženszczina rabotajuszczaja. Za siemdziesiąt nie daju, mogu minietku sdielat’.*

— *Minietka piat’ diesiat* kosztuje, a ja mam *siemdziesiąt’.*

— To ci *dwadcat’* oddam.

— Ale ja chcę całość! — marudził Jeremi jak jakie dziecko. — Zrób, zrób — żebrał. — Ja co potem dołożę, jak złom sprzedam.

— To sprzedaj i *wiernis’*. *Choroszo sdielaju, uwidysz...*

— Wiem, że fajnie i chcę teraz. Teraz mam ochotę, a nie... jak sprzedam. Bądź człowiek!

— Ja nie człowiek. *Niet!*

— Tańka!

— *Niet.*

— Tańka!

— *Niet.*

Wściekły Remek podszedł do mnie.

— Ale suka!

— Panie Remku, to brzydko tak. To interes jak każdy inny. Jakby jednemu dała taniej, to i inni też by chcieli.

— Ale ja bym jej oddał.

— Ja to wiem, ale ona nie. Twarda z niej sztuka. Prawdziwa ruska bizneswoman!

— Marnie to wszystko pomyślane! Czemu oko za oko, ząb za ząb, a dupa za pieniądze?

— Bo dupa najcenniejsza.

— Dupa cenniejsza niż oko? Dupa cenniejsza niż złoto?

— Panie Remku, zadziwia mnie pan. Czyżby pan Białostockiego czytał?

— Kogo?

— No, nic. Ja tak tylko... Właśnie czytam takiego jednego. „Sztuka cenniejsza niż złoto”.

— O dupę mu szło?

— No, nie do końca. Spadam, panie Remku, bo padam na glebę. Dobranoc!

— Dobranoc, pani Małgosiu. Chyba do Gęsi pójde.

— Jasne, panie Remku. Stara dobra Gęś. Nie ma to jak ona. Dobranoc.

Otworzyłam parasolkę i odeszłam w nocy mrok. A Remek potruchtał w drugą stronę, na stare kąty, na Brzeską.

W naszym mieszkanku ślicznie pachniało. Ciasto drożdżowe! Pani Helenka wychyliła się z kuchni.

— Zje pani, Małgosiu, ciasta z dżemem?

— Z przyjemnością.

Weszłam do siebie i zamknęłam drzwi. Była jedenasta, a te kobitki jeszcze się krzątały po kuchni; istne fanatyczki gotowania.

I dobrały się jak w korcu maku.

Ja byłam zmęczona jak pies. Zdjęłam buty i zaczynałam właśnie zdejmować spodnie, gdy rozległo się pukanie.

— Proszę — powiedziałam szybko, zasuwając suwak w spodniach.

W drzwiach ukazał się pan Józef.

— Witaj, Małgosiu, właśnie wróciłem z filharmonii. Byłem na koncercie Szekely’ego. Grał Albiniego. Kocham to. Takie było piękne, że tylko walić głową w klawiaturę. Szkoda, że nie mogłaś iść ze mną.

— Muszę pracować, panie Józku. Też bym wołała być z panem na koncercie. Ale na jutro załatwiłam sobie wolne.

— Świetnie, będą na Okólniku występować studenci szkół muzycznych. Moniuszko to będzie. I za darmo!

— Fajnie. Nie jest to bez znaczenia, co tu kryć... Muszę oszczędzać.

W tym momencie pojawiła się pani Józia z tacą, na której widać było talerz pełen świeżutkiego, żółciutkiego ciasta drożdżowego i dwa kubeczki parującej herbatki. Tudzież konfiturkę w miseczce, błyszczącą, czerwoniutką, że aż miło. Westchnęłam z lubością, gdy zaleciał boski zapach gorącego ciasta. Takie to było domowe!

Pani Józefa postawiła tacę na stoliku, pokręciła głową i powiedziała, patrząc na swego wichrzącego siwą czuprynę brata:

— Że też pani, Małgosiu, ma do niego cierpliwość!

— Ja go uwielbiam! — Zaśmiałam się. Pani Ziułka wzruszyła ramionami i odmaszerowała, uśmiechając się krzywo, a ja zwróciłam się do jej niepoprawnego braciszka: — Panie Józefie, proszę mi opowiedzieć o koncercie. Kto to Albinoni?!

— Dziecko! Ty nie wiesz, kto to Albinoni?! Straszne! Poczekaj, zagram ci...

— Panie Józku! Już noc...

— Co tam! Zagram ci cichutko, weź to ciasto i chodź.

O trzeciej w nocy, gdy wracałam do sypialni, nuciłam pod nosem „Adagio in g-minor”.

Było mi... błogo...

Życie z muzyką było cudem ofiarowanym mi przez samo życie.

Albinoni! A jutro Moniuszko! Kochałam Moniuszkę. Kochałam Rosjan — Borodina, Czajkowskiego, Rimskiego-Korsakowa.

Ja, supersknerus, kupiłam sobie mp4 i słuchałam, słuchałam, słuchałam.

Zapominałam przy tym o pracy w tym podłym pipie, o ciężkiej codziennej harówie, o brudzie, który mnie tam otaczał.

Żyłam. Tak żyłam, jak bym żyć chciała.

Przez tych kilka ukradzionych godzin z panem Józkiem, na koncertach czasami, w bibliotece każdego ranka.

Strasznie żałowałam tylko, że nic mi nie wyszło z tego pozowania. To mogła być ścieżka z Hadesu na świat.

Natyrałam się jak osioł — i nic mi nie zapłacili. Robert Frank, fotografik mody, zniknął z mojego życia jak sen jaki złoty, po zrobieniu mi paruset zdjęć w starej parowozowni. Zniknął, nie zapłacił i jedyne, co zyskałam na tej jednodniowej przygodzie, to fajne uczesanie, zrobione mi przez fryzjera z nim współpracującego. Właśnie zaczynałam zarastać. Drugi raz na tak drogiego fryzjera nie będzie mnie stać. A szkoda.

— Szkoda! — wzruszyłam się swoim losem, ziewnęłam i wsunęłam pod kołdrę.

No, jeszcze straciłam złudzenia, że mnie nie można orznać.

Nie dam się, dla zasady. Jutro do nich zadzwonię i pogonię tę całą kompanię tak, że im w pięty pójdzie. A ten Robuś zgubi te swoje przykrótkie porcięta — odgrażałam się i obiecywałam sobie, zwijając się w kłębek. — Zrobię im taką awanturę, że popamiętają na wieki wieków amen. Takiej wsi, jaką ja im wykręcę, jeszcze nie widzieli. Tak!

Nakręciłam się i zasnęłam.

Rozdział 17

12.09.2013. *Marcel*

Minęło południe, a Mag ani śladu.
Wszedłem pod prysznic i trochę się ożywiłem. Goły padłem na łóżko, którego rozmiary poprzedniego dnia ucieszyły mnie szczerze.
A potem... spędziłem z nią noc, szaloną noc.
Ach, ta Mag...
Kochałem ją chyba. Powinienem ją przykuć kajdankami do siebie.
Gdybym wiedział, ale nie wiedziałem.
Leżałem na tym wielkim barłogu sam, podniecony.
Boże, wszystko bym dał, żeby tu była. Gdzie ona, gdzież, i czemu mi się zmyła?
Nienawidzę babrania się we wnętrzu, ale chyba muszę pomyśleć, co jest, co było nie tak, że mi się tak paskudnie zmyła.
Zgodziła się tu przyjechać i wczoraj w nocy nie udawała, chyba...
Muszę być zdesperowany, jeśli tak kombinuję, co i jak.
Jak stara ciota.
A może zaraz wróci, wejdzie i...
Właściwie wierzyłem, że tak będzie.
Byłem zawsze najlepszy, chyba to zauważyła, do jasnej cholery?!

16.03.2012. *Gosia*

Jak postanowiłam, tak zrobiłam. Punkt dziesiąta rano wykręciłam numer agencji, która była uprzejma mnie orżnąć.
Przedstawiłam się i zaczęłam referować sprawę głosowi, ale nie dał mi dokończyć.
— Pani Małgosia... Habich!? No! Cóż my z panią mamy! Szukamy pani jak szaleni.
— Szukacie mnie?
— Tak, dała nam pani zły numer telefonu i zniknęła, a my tu mamy dla pani superzlecenie...
— Superzlecenie?! Zły numer?!
— Tak, Japonia, dwa tygodnie, katalog Volweidera — tyle pani powiem!
— Ło!... — pisnęłam, jakbym się urwała z Beverly Hills. Błędgo pojęcia nie miałam, o czym ona... katalog Vol... co to do cholery jest? — A pieniądze za tę sesję w parowozowni?
Niejasno podejrzewałam, że głos najpewniej usiłuje odwrócić moją uwagę od sprawy zaległej kasy. Węszyłam bajer.
— Aaa... za te zdjęcia do „Elle”? No właśnie. Leżą u nas. Na to liczyliśmy! Że pani sobie o nich wreszcie przypomni. To co, mam powiedzieć ludziom od Volweidera, że przyjmuje pani to zlecenie?
— Na czym by to polegało i jak płacą?
— No, siedem tysięcy dolarów, dwa tygodnie na Hokkaido, wyjazd trzeciego, powrót osiemnastego kwietnia.

Co tu kryć, usiadłam.

LALA! Nie mam paszportu! To była pierwsza myśl, która mi przemknęła przez głowę. Paszport!

— Tak — powiedziałam powoli. — To chyba okazja...

— Jasne. Zobaczysz pani Japonię, i dobrze płacą, i pani zaistnieje profesjonalnie. Ten katalog bardzo się liczy...

— Tak...

— To co, mam im powiedzieć, że się pani zgadza?

— Tak, proszę powiedzieć, że tak. Mogę wpaść do was po kasę?

— Oczywiście. Miło będzie mi panią zobaczyć. No i adres i telefon niech pani poda, na miłość boską!

— Okej. Zaraz u was będę.

Cholera, czy da się załatwić paszport w dwa tygodnie?!

Któryś maj 2012. Gosia

Oj!

Czasu nie miałam, by pisać. Żyję w jakiejś magmie i malignie. Już będzie miesiąc z czymś.

No, bo to było tak...

Pomknęłam wtedy do tej agencji, zainkasowałam kiesz i dalej pogalopowałam do fotografa, gdzie zrobiłam sobie zdjęcia, normalne, do paszportu. Wykonałam telefon do Sebka, że właśnie schodzę na zatrucie pokarmowe, i dalej biegiem do autobusu. Po kilku godzinach wylądowałam w Pleszewie w biurze paszportowym. Termin: miesiąc! Tego się spodziewałam. Bez złudzeń! Złożyłam papiery i pognałam do Eweliny, mojej kumpeli z odzieżówki, aktualnie studentki jakiejś takiej szkółki masowo produkującej zastępy czy może raczej hordy prawników w dziurze jakiejś.

Ale nie dlatego do niej pomknęłam, że ona tam, tylko dlatego, że jej tatuś to szef naszej miejscowej policji.

Ewelina siedziała sfrustrowana na rozgrzebanym tapczanie i dłubała w nosie, czytając prawo karne. Rudy kot leżący przy niej nawet nie podniósł powieki, gdy klapnęłam obok nich na kraciastym kocu. Bez żadnych wstępnych rozmówek zreferowałam jej mój problem. Wiedziałam, że z nią tak można. Dobra z niej dziewczyna.

Uwierzyła bez zastrzeżeń, że poznałam mężczyznę życia, który załatwił mi pracę babysitterki w Londynie. Tylko muszę się tam pojawić pierwszego. Bo inaczej nici i z pracy, i z romansu. Razem poleciałyśmy do jej tatki, który ciut marudził, ale obiecał pomóc. I pomógł.

1 kwietnia miałam w ręku paszport. Uhh!

Z tego Pleszewa, skoro byłam już tak blisko, pojechałam do domu, a tam nic się w ogóle nie zmieniło, zupełnie jakbym wyszła przed chwilą do Grzebałkiewiczowej na piwo i właśnie wróciła. Zardzewiała brona leżała na swoim miejscu, zapijaczony, z kilkudniowym siwym zarostem ojczym, w tych samych gatkach pewnie, siedział przy stole i żłopał miejscowe piwo o wdzięcznej nazwie Portowe.

Gdzie oni tu port widzieli?

— O! Przyszła ta kurwa, twoja córuchna! — uroczo, jak to on, zaanonsował moją wizytę mamie, która coś robiła na przygórku.

Wzdrygnęłam się.

Mama rzuciła się do mnie, a ja do niej. Naprawdę zapłakałam.

Tak mi się ciepłutko i bezpiecznie zrobiło w jej ramionach. Po chwili odsunęłyśmy się od siebie lekko zmieszane, zawstydzone okazaną słabością. Czy raczej uczuciem. No, przecież uczucie to słabość.

Wiem, tyle przecież wiem.

Mama odwróciła się, otarła łzy chustką do włosów, a potem powiedziała, spoglądając na mnie spod oka:

— No i co? Wróciłaś... nie udało ci się...

Aż mnie rzuciło. Ona zawsze taka sama. Z góry wie, że się nie uda.

— A właśnie że się mi udało! — odpaliłam.

Nie wyglądało na to. Z tego wszystkiego, z pośpiechu, w którym wyjechałam, nie miałam żadnych prezentów ani nic. A tu miarą sukcesu było zawsze pokazanie się, demonstracja tego, co masz, na co cię stać. Hojność to już niekoniecznie. Ci hojni, rzutcy byli traktowani z taką pewną pobłażliwością.

U nas na wsi z szacunkiem traktowano skąpych, nadętych i odstawionych. Hojni to głupki. Wiedziałam to aż nadto dobrze. Niemniej jednak znamiona sukcesu: ciuchy czy prezenty były nieodzowne, gdy się wracało z wyprawy po złote runo, z wielkiego miasta.

A przyjechałam tak jak stałam, w starych dżinsach, tych samych, w których wyjechałam, i z pustymi rękami.

No, błąd. Ale trudno. Jest jak jest.

Powiedziałam hardo, lekko podniesionym głosem:

— Tak wpadłam niespodziewanie, bo pilnie muszę paszport sobie wyrobić.

— Jedziesz szukać pracy?

— Nie! Pracę mam! — prawie krzyknęłam, ale mama nie zwróciła na moje słowa żadnej uwagi. Ona wiedziała lepiej. Nie udało mi się.

I co z taką zrobić?

Nic.

Napiłyśmy się herbatki, dała mi talerz zupy zacierkowej, którą zjadłam pod nieprzychylnym spojrzeniem ojczyma. Dzieci nie było. W szkole wszystkie. To mamie trzeba przyznać: szkoły pilnowała. I miała rację.

Zjadłam zacierkową i zaczęłam się żegnać.

Mama się zdziwiła, myślała, że wróciłam, przegrana, na zawsze.

Nic nie mówiłam ani o pracy modelki, ani tym bardziej o Japonii. Nie uwierzyłaby. To przekraczało jej możliwości poznawcze. Tak. Myślałaby, że kłamię. Po co mi to?

Wysłałam przed dom. Stanęłyśmy koło brony, na której stały, gapiąc się tępo, cztery zadziorne kury, pocałowałyśmy się trochę niezręcznie i wsunęłam mamusi w rękę stówkę. Jedną z tych zarobionych na pozowaniu. Przyglądała się jej z niedowierzaniem.

— Tylko ojczymowi nie dawaj — przykazałam surowo. — To dla ciebie i dzieciaków. Możliwe, że niedługo jeszcze wam przyślę. Ale na razie mogę dać tyle.

— Ale co ty, Małgośka! To i tak fura pieniędzy! Tobie też tam pewnie ciężko...

— Łatwo nie jest. Ale naprawdę nie jest mi źle. Mną się już martwić nie musisz. I jak co będę miała, to wam na pewno pomogę. A jakby co, jaka potrzeba, to piszcie albo dzwońcie, macie i adres, i numer telefonu.

Ten dom, pejzaż, mama, wszystko to mnie wzruszyło. Nawet ta okropna droga przez wieś z kałużami wielkimi jak rozlewiska Nilu. Pamiętam, jak siedziałam na tej drodze w maminych różowych galotach, grubych, zimowych, z nogawkami jak rury kanalizacyjne, miałam ze cztery lata — obsrałam się i czystych majtek nie było w domu, więc mama swoje różowe mi wdziała,

gumę podwiązała i puściła w plener. A ja myk, myk na ulicę, do ulubionej kałuży, i zamki budowałam, zapory, wały i zatoki rzeźbiłam w bloku czarnym, lepistym, mazistym. Kury się koło mnie wałęsały, kilka gęsi, czasem jak jakiś wóz jechał, to mnie starannie omijał. A samochody to wcale prawie nie jeździły. Kto by tam samochodem w żniwa jeździł. Wszyscy w polu, tylko ja bawiłam się samiutka w tej kałuży, w opustoszałej wsi, na środku drogi.

Ach, te wspomnienia...

Pocałowałam mamę i poszłam do babci. Babcia akurat kaczki karmiła, małe śmieszne kaczuszki w koszyczku się chowały. Babcia je luksusowo jajkiem siekanym żywiła, by piękne i zdrowe były. Ucałowałyśmy się i usiadłyśmy w wiosennym słoneczku na ławeczce przed chałupą. Pogwarzyłyśmy. Babci nic nie ściemniałam, tylko samą prawdę opowiedziałam. A babcia mruzczała i głową kiwała. Nie dziwiła się, nie wykrzykiwała, tylko mnie uważnie słuchała.

— No i co o tym myślisz, babciu? — spytałam cichutko.

— Dobrze to wszystko robisz, to myślę. Masz szczęście w życiu, ale i rozum. Zawsze to czułam. Myszy w rękawiczkach nie złapiesz, wiesz to. I przypuczuj się do tego modelowania, jak z tego taki chleb jest.

— Tak zrobię, babciu. Jak mi tylko ten paszport dadzą.

— Dadzą, dadzą. Muszą! Jutro pojedę do Smoliczowej, coś ona mi w życiu jest winna, jak ją z tej afery wyciągałam, gdy manko w geesie zrobiła. Jej szwagier jest starosta. Pogadam z nimi.

— Dobrze, babciu. Jak możesz, pomóż!

— Los, dziecko, wyciągnęłaś, ty pilnuj i ja przypilnuję — powiedziała babcia z powagą. Taką naszą rodzinną powagą. Mój ojciec też tak poważnie, deklaratywnie mówił. Ludzie z miasta inaczej zupełnie mówili. Niby To, niby tamto. Człowiek nie wiedział czasem, czego się trzymać.

U nas słowo znaczyło słowo. Lubiłam to.

Przypomniałam sobie o tym, jak babci słuchałam.

Chciałam jej dać ostatnią stówkę z tych trzech, co za pozowanie dostałam.

Jedną to mi bilet, zdjęcia i opłaty paszportowe zjadły, drugą dałam mamie, ale babcia mi tą trzecią wepchnęła z powrotem.

— A to mi po co? Nie potrze. Ty się obspraw, byś nam wstydu w tej Japonii nie robiła.

Ach, ta babcia.

Do Warszawy wróciłam taka jakaś rozmaślona...

Ale dobrze, że się z nimi zobaczyłam!

Nie wiem, czyja interwencja pomogła, ale paszport odebrałam w Warszawie w biurze paszportowym pierwszego kwietnia. I poleciałam.

W świat daleki.

Ja, Małgosia z Jagniątkowa...

Rozdział 18

22.05.2012. Gosia

Straszliwie zakuwam. Prawie nie śpię. Wzięłam wolne w pipie. Sebek po prostu dostał szału. Powiedziałam, że musi mi dać dwa tygodnie wolnego.

No, jak to usłyszał, to zsiniał. Darł się tak, że myślałam, że mu jakaś żyłka pęknie.

A ja nic. Twardo stałam naprzeciwko niego i nic nie mówiłam. Tylko mu w oczy patrzyłam.

W końcu przerwałam te jego wrzaski i wydusiłam przez ściśnięte gardło:

— Jak sobie chcesz. Mogę robotę w diabły rzucić. A konkurencja za dwa tygodnie mnie przyjmie z pocałowaniem w rękę!

Wtedy się zamknął i burknął, nie patrząc na mnie:

— No, rób jak chcesz. Ale uważaj, byś, kurde, nie pożałowała.

— Sebek... ja to... nie przeciwko tobie... Nie bierz tego do siebie... Ja po to tu pracuję, by studiować, zrozum mnie. Muszę się pouczyć do egzaminów, bo się nie dostanę.

— Spadaj i mie nie wnerwiał! Kurde! To firma! Co klienci powiedzą? To praca, kurde, a nie jakieś widzimisie...

— Wiem, Sebek, ale ja...

— Sp..., powiedziałem, kurde, i żebyś za dwie niedziele była z powrotem. Bo kogo wezmę. Nie jesteś takie, kurde, wykluj oczko, jak ci się, kurde, wydaje.

— Dzięki, Sebek. Jasne. Melduję się w poniedziałek. Masz to jak w banku.

Zakręciłam się na pięcie i wybyłam.

Za drzwiami odetchnęłam.

Przeszło. Było mi trochę głupio, ale musiałam. Sebek był wobec mnie spoko i bałam się tak z dnia na dzień robotę rzucać.

Miło było w tej Japonii, choć nie zarobiłam tyle, ile obiecywali, bo mnie tam różnymi kosztami obciążyli, ale, no, umówmy się, nie mogłam narzekać. Miałam ponad pięć tysięcy bagsów na koncie!

A jakże, konto sobie otworzyłam, zwalniając z pełnienia obowiązków sejfów mój pasek od spódnicy. I dolarowe otworzyłam, i złotówkowe, i miałam nawet śliczną niebiesciutką kartę bankomatową.

Wszystko to pięknie.

Ale wróciłam z tej Japonii i nic, cisza. Żadnych nowych zleceń. Może to mi się tak jednorazowo trafiło? I więcej nigdy? Nie wiedziałam. Zależało mi ciągle na robocie w pipie. Aby pojechać do Japonii, nakłamałam Sebkowi, że mi matka umiera i muszę jechać pilnie na wieś.

Niezbyt to chlubne, ale nie ma to tamto. Nie wierzę, że coś takiego mamie zaszkodzi.

Mus to mus. Uwierzył i puścił.

Jak tylko wróciłam, to się u Sebka zameldowałam. Nie miałam specjalnej ochoty, ale cóż, bałam się tak puścić dobrą w sumie robotę. Codziennie odrabiałam pańszczyznę, tańcząc — w stroju gejszy i bez — te swoje wygibasy, i wspominałam Japonię.

Chwilami mnie samej było trudno uwierzyć, że rzeczywiście tam byłam. Te wszystkie drapacze chmur, ten ruch, tłok, wrzawa, ci ludzie, tłumy ludzi podobnych do siebie jak mrówki.

Brak umiejętności porozumienia się, odczytania emocji, chociażby nawet z mimiki twarzy.

Nie czułam się dobrze w czasie tej podróży. Mało co rozumiałam.

Mój angielski To, umówmy się, niezłe dno. Choć przed wyjazdem mordowałam z Marcem na okrągło i gramatykę, i słownictwo, na początku kumałam słabo. Ale powoli, powoli, zaczęłam rozumieć, co do mnie mówią. Wieczorami w hotelu, luksusowym jak w jakiejś bajce albo filmie amerykańskim, siedziałam sama w pokoju i wkuwałam słówka, które poznałam tego dnia, i szukałam zwrotów, których nie rozumiałam. Reszta ekipy bankietowała, a ja przesłuchiwałam empetkę ze ściągniętymi kursami BBC, czytałam gazety znalezione w holu. Anglojęzyczne gazety. Ze słownikiem i zeszycikiem, w którym zapisywałam To, czego nie rozumiałam.

Mało zwiedzałam. W zasadzie nic nie widziałam. Byłam w stresie, skonana i zakuwająca. Może to i śmieszne. Może to i głupie. Ale tak było. Zeszycik i słówka.

Nic więcej.

Ewa, druga modelka wynajęta do zdjęć, radziła sobie świetnie.

No, ale ona już była w branży, tak to nazywała, siedem lat.

Weteranka. Ja, spłoszona, nadrabiałam miną, ale chwilami aż płakać mi się chciało, gdy nie rozumiałam, czego ode mnie chcą. Dzięki Bogu Ewa była obok, kochana, i jak mogła, tak ratowała mnie z opresji. A ja, zdesperowana, jak już wspomniałam, wkuwałam jak szalona podręcznik do angielskiego. W nadziei, że opanuję ten język w tydzień. No, góra dwa tygodnie. Śmieszne? Jasne, że śmieszne. Sama to wiem.

Ale dostałam czadu. Staralam się wszystko zapamiętać. Bezustannie kursowałam do Ewy i pytałam. Czy tak powiedzieć, czy inaczej. Jak jest reflektor, jak ustaw się, jak dalej, bliżej, niżej, wyżej. Tak i owak. Uff...

Jakoś ten wyjazd przewałam. Nie zwariowałam, co było niemałym sukcesem.

Pooszło...o...

Dzień, w którym wylądowałam na Okęciu, był jednym z najszczęśliwszych dni w moim życiu.

Stres, napięcie opadły i poczułam się jak przekłuty balonik. Na lotnisku wzięłam taksówkę, nie lada to rozrzutność, ale czułam, że nie dojdę do autobusu. Byłam kompletnie bez sił. Ja, wiejska dzioucha!

Powitano mnie w mieszkanku radośnie. Pani Helenka czekała z obiadem. Pani Józia z mnóstwem pytań, a pan Józio chciał mi koniecznie opowiedzieć o koncertach, które zaliczył w ostatnich tygodniach, o płytach, które kupił, o wystawach, które zobaczył, gdy mnie nie było, a ja powinnam koniecznie, i to najlepiej dziś, zaraz, no bo zamkną!

Genialnerewelacyjneinspirujące!!!

Przeprosiłam, podziękowałam za wszystko i zniknęłam w swoim pokoju.

Rozebrałam się jak w transie, rzeczy rzucając na podłogę. Było mi wszystko jedno. Wsunęłam się pod kołdrę i przespałam dwanaście godzin.

Obudziłam się i nadal byłam zmęczona. Ale jakby trochę mniej.

Wstałam powoli, powlokłam się do łazienki, wzięłam gorącą kąpiel i znowu padłam spać.

Po kolejnych sześciu godzinach snu odżyłam. Dostałam takiego kopa, takiej adrenaliny, że góry mogłabym przenosić. Zaczęłam jednak od zjedzenia gigantycznego obiadu.

Uszczęśliwiłam tym panią Józję i panią Helenkę.

Podsuwały mi coraz nowe kopiasto załadowane talerze, powtarzając bezustannie:

— W tej Japonii to pewnie okropne jedzenie!

— Jadłś tam pewnie wodorosty i te tam sushi pewnie tylko... Biedactwo!

Na zaprzeczenia czy nieśmiałe twierdzenia, że sushi nie jest wcale takie złe, nie zwracały uwagi, tylko zajęły się tematem jakiejś trującej ryby, którą Japończycy nagminnie jedzą. Nie próbowałam nawet nic już mówić. One wiedziały lepiej. One wiedziały wszystko, a ja, milcząc i kiwając głową, że tak, pewnie tak, wcinałam pyszne, rzeczywiście, zraziki z suszonymi prawdziwkami, specjalnie na moją cześć przygotowane.

Kochane były — i one, i zraziki! A Japonia niech spada ze swoim sushi.

Dobre, bo dobre, ale zraziki...!

Podarowałam tej całej gromadce z Mokotowskiej japońskie filiżanki do herbaty. Kupiłam cały serwis, sześć sztuk. Były potwornie drogie, nie żałowałam jednak. Chciałam im wszystkim ofiarować coś naprawdę pięknego! Ten serwis był najpiękniejszy, i taki, taki... japoński. W śmieszne pagody. Chryzantemki. Różowo-czarno-złoty. Naprawdę niezwykły. Egzotyczny jak trza...

Potem poszłam do pani Ireny. Opowiedziałam jej o mojej podróży.

O poczuciu obcości i zagubieniu. O strachu, że sobie nie dam rady, i o bezustannych problemach językowych.

— To co teraz, Gosiu? — spytała poważnie, gdy skończyłam.

— Nic. Życie idzie dalej. Wracam do pipu.

— Masz rację. Póki nie masz pewności...

— No właśnie, nie mam. Pójdę na jakiś superintensywny kurs angielskiego. Skończę z chałupniczą nauką z Mareczkiem.

— A gdzie on jest? Dlaczego nie przywiózł cię z lotniska?

— Nie zawiadomiłam go. On nawet nie wie, że byłam w Japonii. Powiedziałam, że jadę na wieś.

— Żartujesz?!

— Nie, dlaczego? Po co mu wiedzieć? Jeszcze by mi gadał, przeszkadzał. Czego oczy nie widzą...

— Daleko zajdziesz. Twarda jesteś.

— Na to liczę. Tak. Tylko nie taka twarda, jak być powinnam. Ale się staram! Pan Józio tu mać. Heraklita mi takiego podrzucił, że mi zaburza nieco mój prosty, wiejski ogląd świata!

— Heraklita?!

— Taką myśl, niewątpliwie bardzo złotą. To tak szło: Droga pod górę jest często drogą w dół.

— Niegłupie...

— Ano nie... Myślę o tym trochę.

— I co z tym zrobisz?

— Przepraczę jakoś. Może mi się uda, tak boczkim, boczkim, ale jednak pod górę, a nie w dół i... nie rozczarować pana Józia.

— Nie stoczyć się? Nie spsiec, tak mentalnie?

— Nooo, coś w tym guście... Pan Józio jest moim ratunkiem. Wzorcem z Sevres. Ten pip to straszne miejsce, pani Ireno. Brudzi. Czy to bardzo głupie?

— Nie. Pamiętam takie zdanko, które często mówiła moja dama do towarzystwa, teraz by się rzekło asystentka, Ewa Pohorecka. Ona była z bardzo dobrej rodziny, kompletnie zrujnowanej w czasie rewolucji w Rosji. Zatrudniłam ją u siebie; organizowała mi podróże, hotele i tak dalej.

Bez niej bym zginęła. Miła dziewczyna. Zginęła w czasie wojny.

— Ale co ona mówiła? — przypominałam pani Irencie zagubiony wątek.

— Aaa, właśnie. Więc Ewa często powtarzała taką mądrą myśl swojej babki, którą się zresztą opiekowała z wielkim poświęceniem. To tak brzmiało: *Ce n'est pas le comment mais le*

pourquoi de vivre, qui fait notre bonheur. W luźnym tłumaczeniu to znaczy, że o szczęściu człowieka nie decyduje, jak żyje, ale do czego dąży. Pasuje, prawda?

— Tak. To mądre. Ale czy obejmuje też pracę w pipie? Raczej tu chodzi o biedę. I próbę wyjścia z niej. Czy religię... — zastanawiałam się na głos.

Może powinnam iść na filozofię. Ta moja skłonność do dzielenia włosa na cztery...

— Wiesz, Gosiu? — rzekła żwawym głosem szanowna pani Irena na zakończenie naszej rozmówki. — Jesteś moim ulubionym serialem!

Jęknęłam.

Dobre sobie. Serialem. Może brazylijskim nawet. Tylko potrzeba tu jakiegoś Don Estebana albo co...

Rozdział 19

12.09.2013. *Marcel*

Oplotłem Mag misterną siecią. Kosztowała mnie ona. Dużo kosztowała. I to kosztowała nie kasę, jak by się zdawać mogło, ale kosztowała czas, którego od zawsze nie miałem.

Czas jest dla mnie najcenniejszy. Resztę mogę sobie dokupić. Czas też sobie kupuję w pewien sposób, ale akurat w wypadku Mag tego zrobić nie mogłem. Musiałem sam, osobiście się koło niej pokręcić.

Wykonałem jeden i drugi telefon do pana Józefa. Zaprosiłem go na koncert fortepianowy Paulicha. Bilety były bardzo drogie, oczywiście jak dla niego.

Dla mnie nie stanowiło to problemu, rzecz jasna.

Wymyśliłem bajeczkę, że Edyta nie może...

Ucieszył się. Posłuchaliśmy koncertu, lekko skrępowani swoim towarzystwem. Nie bardzo wiedziałem, jak z nim gadać.

Koncert był rzeczywiście dobry, wart zainwestowanych w bilety pieniędzy, bez bólu więc wytrzymałem te półtorej godzinki, a potem zaprosiłem pana Józefa do średniej kategorii knajpy, zgodnie z przyjętą zasadą, aby nie przegrzać, i wdałem się w gawędę. O tym i owym, szparko zmiierzając w kierunku jedyne interesującego mnie tematu, czyli Mag.

Po długich seriach okrzyków i wykrzykników na dowolne tematy dowiedziałem się, że mieszkają razem. To znaczy w jednym mieszkaniu na Mokotowskiej. Mag wynajmowała tam pokoik.

Pomyślałem: super. Nie ma kasy, kupię ją sobie.

Studentka. A jakże, te są najłatwiejsze do wyjęcia i najzabawniejsze w sumie.

Miałem ja tych studentek! Nawet nie wiem ile.

Siedziała na przykład jedna taka dziumdzia w Europejskim i się uczyła. Jak wiadomo Europejski to miejsce, w którym studentki się uczą. Całymi gromadkami. Wystarczyło podejść i była moja.

Podpytywałem pana Józefa dalej. Ale poza tym, że ma słuch muzyczny, gust i intuicję, niewiele się dowiedziałem. Studiowała dziennikarstwo.

Odwiozłem tego starego wariata do domu i już wiedziałem, gdzie Mag mieszka. Piękny dom, dobry adres.

Taka kamienica to niezła lokata.

Następnego dnia wynająłem jednego poręcznego kolesia, z którego usług zdarzało mi się niekiedy korzystać, by się tam, pod tą chałupką, zaczął i dziewczynę poobserwował.

Łaził za nią tydzień.

Dostałem na wydruku komputerowym wypunktowane, co też ona porabiała przez ten tydzień. To były cztery punkty.

Dzień po dniu:

UW, biblioteka, dom, koncert. I jeden dzień sesja zdjęciowa. Tyle.

Żadnych tam randek, klubów, nic. Nie wiedziałem, czy to dla niej normalny tryb życia, bo tak w ogóle to normalne na pewno nie było.

Uznałem, że dość się naczekałem, koleś dał mi cynk, gdzie ona jest, i wpadłem na nią pod

biblioteką. Przypadkiem, oczywiście.

Uśmiechnęła się do mnie ślicznie, jak to ona, i zgodziła się pójść na kawę. Zaczumowaliśmy w Karmie na placu Zbawiciela. Zapadliśmy w miłym kąciku i wziąłem się za czarowanie. Tym razem radziłem sobie lepiej i trzeba przyznać, że bawiłem się z nią nieźle. Ja historyjkę, ona historyjkę. Ja jedną anegdotę, ona inną. Jakbyśmy grali na fortepianie na cztery ręce. Spojrzenia, uśmiechy.

Dawno z nikim nie było mi tak miło.

Wróciłem do domu przestraszony. Serio. Żadne tam zakochiwanie nie leżało w moich planach. Podobała mi się, chciałem ją przelecieć. Uwolnić się od obsesji, pobawić się i pa, pa.

Wyglądało, że nie będzie to takie łatwe i proste. Mogę przy tym oberwać. Ale nie mogłem jej sobie odmówić. Więc jak jaki dureń zadzwoniłem do niej następnego dnia i zaprosiłem na premierę w kinie. Nic wielkiego. Miałem akurat zaproszenie na biurku. Zgodziła się.

Znowu było śmiesznie. Gadała jak najęta. Marszczyła czoło w taki zabawny sposób. Cały czas konwersowałem z nią i ją obserwowałem.

Chciałem jej aż do bólu.

Po kolacji zaproponowałem drinka u mnie. Spojrzała uważnie i powiedziała:

— Z chęcią.

Mało nie podskoczyłem. Tak łatwo poszło!

Zatrzymałem taksówkę i pojechaliśmy do mojego mieszkania.

15.07.2012. Gosia

Nie znałam tylko jednej odpowiedzi. Nie wiedziałam, co to biskwit.

Biała nieglazurowana porcelana.

Teraz już wiem.

A tak, proszę ja państwa, wszystko pięknie napisałam. I zostałam przyjęta na trzy, a co mi tam, wydziały!

Zdawałam na dziennikarstwo, historię sztuki i muzykologię.

Wszystkie te miłe instytuty pozytywnie oceniły moje wiadomości.

Stałam przed listą przyjęć na uniwerku i oczom własnym nie wierzyłam. Wszędzie się załapałam. Na dzienne! Jagniątkowo górą!

I co z tym fantem zrobić?

Osiółkowi w żłoby dano.

Wieczorkiem na Mokotowskiej odbyło się przyjętko. Ja postawiłam szampana, a pani Irena tort mocca. Pychotka!

Zaczęliśmy gadać, co z tego wziąć.

— Dziennikarstwo — powiedziała kategorycznie pani Irena. — Będziesz miała ciekawe życie. Tak jak Durczok!

— Muzykologię — zawyrokował pan Józef. — Pomyśl, jak rozwiniesz swoją wiedzę o suflecie!

Spojrzałyśmy na niego zdumione.

— Tfu, no, ja tak zawsze nazywam pogłębienie wiedzy. To z filmu „Sabrina” z Bogarde’em i Hepburn. Audrey. Tam taki hrabia...

— Jóźeczkuu... — powiedziała napominająco pani Ziutka i pan Józef zrezygnował ze streszczania nam filmu, ale przy muzykologii dalej obstawał.

— No, tylko muzykologia! To takie ciekawe! Gosiu!

— Ale historia sztuki też nie jest wcale zła — przerwała mu obcesowo pani Józefa.

— Muzyka muzyką, ale inne dziedziny też są ciekawe. Dlaczego Gosia miałaby się ograniczać tylko do muzyki? Powinna wziąć się za coś bardziej praktycznego...

— Rozsądne słowa. — Pani Irena pokiwała głową. — A poza tym kogo ona pozna na tej muzykologii? Samych gejów!

— Co też pani mówi, pani Ireno! — oburzył się pan Józef.

— Prawdę mówię, takie kierunki przyciągają gejów.

— Eee... A historia sztuki? Myśli pani, że nie?

— Nie wiem. Ale to zdecydowanie szerszy kierunek niż muzykologia. Tylko co z pracą po nim?

— No, chyba kiepsko.

— Właśnie. Musisz być pragmatyczna, inaczej przepadniesz! Dziennikarstwo. Tylko dziennikarstwo. Daje pieniądze, władzę i ciekawe życie. Tak. No i ciekawe znajomości. Pozdawałaś sobie, pięknie. Ale teraz praktycznie trzeba pomyśleć.

— Praktycznie? Ty, Irenko, robisz Gosi krzywdę takimi radami. Nic tak nie niszczy osobowości jak podejście praktyczne. Tylko ludzie niepraktyczni osiągają sukces! Pozwalają sobie na większą kreatywność! Są wolni i szczęśliwi. Nie można być praktycznym. To zgubne... w szerszej perspektywie! — wykrzyczał pan Józef, strasznie zaperzony.

— Bieda gorzej niszczy, a pewną politykę należy w życiu stosować, a nie iść tak na żywioł. Za własnym marzeniem. To nie te czasy, Józiu — zripostowała pani Irenka.

— Bieda? Przecież może być po muzykologii wszystkim: nauczycielką, no, krytykiem, no! Wcale nie musi być biedna — wspomogła brata pani Józefa.

Nauczycielka — czy tego właśnie chciałam? No? Może by było miło. Miła pani od muzyki...

Pani Helenka się nie wtrącała. Jadła tort, donosiła herbatkę i tylko słuchała, jak pozostała trójka się kłóci na zadany temat: co też ja powinnam ze sobą mądrego zrobić w życiu.

— To może połączyć? — wymyślił pan Józio. — Na przykład muzykologię z dziennikarstwem? Wtedy rzeczywiście miałaby o czym pisać. Krytyk muzyczny. Ja jej wszystko powiem. Albo rzecznik prasowy, albo i książki mogłaby pisać...

— Książki? — powtórzyłam z niedowierzaniem.

— A właściwie, czemu nie? Wszystko jeszcze możesz. Zobacz tę tam, jak ona, Masłowską. W twoim wieku przecież. To, co sobie zaplanujesz i o co powalczysz, to będziesz miała.

— Tak. To, co włożysz, to wyjmiesz. To proste — przytaknęła pani Irena tonem pełnej aprobaty.

— To, czego szukasz, znajdziesz — dorzuciła pani Helenka.

— A o muzyce to nie mogłaby pisać? Ona już dużo wie. Ja jej powiedziałem! — wpadł w słowo swoim paniom pan Józef.

Śmiać mi się chciało, gdy tak się kłócili.

Ja już wiedziałam, co zrobić. Postudiuję muzykologię, bo kocham muzykę, i dziennikarstwo, bo praktyczniejsze. Tak sobie postanowiłam i tak zrobiłam.

Ku wielkiej radości pana Józeczka.

No, ale kochałam tego faceta, pisałam już? Miłością czystą.

12.09.2013. Marcel

Poszło łatwo.

Mag uśmiechała się, jak to ona. Przeszła cały mój apartament.

Był to właściwie penthouse położony na siódmym piętrze, ostatnim, bardzo przyjemnego apartamentowca zbudowanego na obrzeżach parku. Było tu cicho jak na wsi, a równocześnie wszędzie blisko. Wnętrza robiła mi Ewa Lotowska.

Było na co popatrzeć!

I Mag popatrzyła.

Z kieliszkiem w ręku spacerowała od obrazu do obrazu, od rzeźby do rzeźby.

Spodobał się jej zielony aubisson, rozpoznała co to.

Potem zatrzymała się na dłużej przy moim ulubionym obrazie Łarionowa — abstrakcyjnym przedstawieniu wiązki światła.

— Ooo!? Doobre...!

— To Łarionow. Lubię go.

— Nie słyszałam nigdy. Kto to?

— Rosyjski abstrakcjonista. Oni są u nas mało znani, ci rosyjscy abstrakcyjniści. W Kraju Rad nazywało się to łucyzm albo rajonizm. Te kawałki. Rusczy zawsze wszystkiemu musieli nadawać własne nazwy.

— Wiem.

— Mam tego więcej.

I zaprowadziłem ją do mojej sypialni, gdzie rzeczywiście wisiało jeszcze kilka obrazków rosyjskich futurystów. Przywiozłem je kiedyś z Moskwy jako część rozliczenia takiej, jak by tu rzec, dość szemranej transakcji. Potem to dopiero nabrało ceny. Mnie kosztowały te obrazki tanio jak barszcz.

A później, już za prawdziwe pieniądze, dokupiłem jeszcze kilka i byłem chyba jedynym w Polsce właścicielem niewielkiej kolekcjki ruskich abstrakcji. Smakowita rzecz w środowisku znawców i snobów.

Mag popatrywała na nie z prawdziwym zainteresowaniem.

A ja tokowałem jak najęty, serwując jej te bzdety, które wiedziałem o abstrakcji i futuryzmie na użytek gości. Przeważnie panienek, no bo te obrazki miałem w sypialni...

Zerkałem przy tym na łóżko. Jakby tak...

Jak, i czy teraz? Czy może jeszcze poczekać?

Położyłem rękę na jej ramieniu. Jakby tego nie zauważyła. Spojrzała na mnie tak jakoś i nie zdzierżyłem. Nagle objąłem ją i pocałowałem. Miała miękkie usta, chętne, podatne. Pogłębiłem pocałunek i ręka zaczęła mi wędrować. Mag poddawała się temu spokojnie, nie kręcąc się i nie wrywając. Opadliśmy na łóżko. Abstrakcyjniści zniknęli nam z oczu, a my pogrążyliśmy się w konkrety. Zsunąłem jej bluzkę i zacząłem pieścić piersi. Były śliczne. Sterczące, zadziorne. A ona była uległa i słodka. Gładziła mnie po szyi i przyjmowała moje pieszczoty z lekkim westchnieniem rozkoszy. Zsunąłem jej spódniczkę i majteczki. Zatopiłem się w tych miłych słodkich zakątkach. Mag cichutko jęczała, czasem jakby lekki spazm rozkoszy podrywał ją do góry, ale reflektowała się, i wygięte w łuk ciało poddawało się chętnie wszystkiemu, czym ją obdarzałem.

Wsunąłem się w nią dość szybko. Była gotowa. Gorąca i rozpalona. Ja podniecony do granic wytrzymałości. Zacząłem wolno, a potem coraz szybciej się w niej poruszać. Mag coś krzyczała, nie słyszałem co, pędziłem ku wybawieniu, zatopiony w niej do granic zapomnienia.

Gdy szczytowałem, szczytowała i ona, jej głośny krzyk złączył się z moim spazmem ulgi.

Była moja. Miałem ją.

Rozdział 20

30.08.2012. Gosia

— Pani Małgosiu, nie mogę tu wpisać Małgosia, bo tych Małgoś mamy już a mamy. Poza tym to ł jest trudne do wymawiania. Wpiszę pani Mag albo Meg — klarowała mi pani Nina, główna macherka w agencji Matiesów.

Wciągała moje dane do ichniej bazy.

— Mag? Może być Mag, może być Meg. Mnie jest wszystko jedno. I tak to tylko pseudo. Nieważne. Małgosia to nie Mag. A Mag to nie Małgosia — podsumowałam ku zdziwieniu pani Niny. Ale tak było.

Ta Mag to zupełnie inna osoba. Chciałam, by tak było. Małgosia chodzi z panem Józiem na koncerty i studiuje, czy będzie studiować, z zapalem muzykologię. A Mag, o! Mag to osóбка z zupełnie innego świata.

Modelka i dama. Którą gonią, co prawda, z kąta w kąt. Która pracuje ponad siły. Ale co mi tam. Byle płacili, a mogę być wszystkim.

A to robili. Miałam tych pokazów i zdjęć tyle, że zaczynałam myśleć poważnie o porzuceniu Sebastianka. Zrobiłam się modna. Parę pokazów, kilka sesji fotograficznych i środowisko uznało, że mam to coś. Może i miałam, a może nie? Grunt, że pracowałam i mi za to płacili.

Nie były to sumy oszałamiające. Trzysta, pięćset złotych. Dziewczyny z branży marudziły. Ja byłam zadowolona. To lżejsza, miłsza praca niż w pipie.

A płatna znacznie lepiej. No i wyjazdy. Miałam nadzieję, że będą następne, a nie tylko ta jedna Japonia...

Od miesiąca bezustannie nawalałam Sebkowi.

W końcu doczekałam się.

Gdy kolejny raz zaczęłam jęczeć o wolne, powiedział twardo, patrząc mi w oczy:

— Koniec! Albo tu pracujesz na cały gwizdek, albo spadaj. Dostyc tego!

— Okej, Sebek, masz rację — podchwyciłam ochoczo. — Spadam, dzięki za wszystko. Było mi tu dobrze. Ale rzeczywiście nie wyrabiam. Matka chora, bezustannie dzwoni o pomoc. Wróć na wieś. Tak będzie lepiej.

— No, szkoda cię. Ale sama rozumiesz — mitygował się Sebek, już nie tak groźnie i twardo.

Z niego był porządny chłopak. Naprawdę spoko. — Ty już właściwie tu nie pracujesz. Prawie cię nie ma w robocie. Ale jak się z tym załatwisz, to wracaj!

— Dzięki, Sebek. Jasne. Wróć, jak tylko wyjdę z tego młyna. Od razu, gdy to się skończy.

Wiedziałam, że nie wrócę. Nigdy. To było dla mnie oczywiste. Już byłam dalej. Ale po co to mówić. Tak jest milej.

Sebastian Rozumek był w porządku kolesiem. I Tania też.

Wycalaowałam się z nimi serdecznie. Tania popłakała, a i mnie się oko zaskliło. Pip nie pip, ale to moje warszawskie początki. Gdybym tej roboty nie znalazła, wiązałabym teraz snopki

w Jagniątkowie. Ani chybi.

Odjechałam tramwajem z Pragi w kierunku centrum. Miałam nadzieję, że nigdy już tam nie wrócę. Robiła się ze mnie modelka, wzięta modelka, topowa modelka... Tylko brakowało, by mnie kto w tym pipie przyuważył!

W ramach akcji pod hasłem „Pani Jola zmienia swoje życie” zerwałam też z Mareczkiem. Prawdę mówiąc, był on w moim życiu tak jakoś słabo obecny. Niby czasem się ze sobą przespaliśmy, ale z rzadka. Ja ciągle czasu nie miałam. A i ochoty. Wyglądało na To, że ze mnie niespecjalna fanatyczka seksu. Mało się widywaliśmy, bo czasu nie było. Tak zwyczajnie. Ja zaharowana, on zalatany. Jak oznajmiłam, że to koniec, Marek coś tam skamuczał, ale wytłumaczyłam mu, że nasz związek to nie to. Nie kocham go, tylko lubię, bardzo.

I takie tam duperełki mu nawijałam na osłodę.

On też mnie nie kochał. Czułam to. Czegoś w tym wszystkim brakowało.

Kleju może, jak mówiła moja babcia. Kleju nie było. I tyle. Dlatego rozstanie tak nam łatwo poszło.

W rok akademicki weszłam już jako panienka wolna. Pod każdym względem. Teraz z tych cytryn powinnam zrobić lemoniadę.

Tak jak mówiła babcia.

Ostro wzięłam się do roboty. Babci należy słuchać.

29.11.2012. Gosia

Trzeba sobie powiedzieć, że z tymi cytrynami przesadziłam. Życie ostatnio dawało mi pomarańcze słodkie i ogromne kuszące.

Na początku października spędziłam trzy tygodnie w Paryżu. Prezentowałam futra i okulary słoneczne. Nawet było fajnie. A w wolnych chwilach biegałam od Luwru do Grande Palace.

Popatrzyłam w oczy tej panience Leonarda. Nad głowami Japończyków.

Dzięki Bogu, że oni niedużi!

Byłam wszędzie, gdzie być należało. Zabrałam się nawet do francuskiego. Tak na wszelki wypadek. Trzy tygodnie to malutko, ale coś tam z niego jednak zdołałam załapać. A i angielski mi się rozwijał w ostrym tempie. Nie ma to jak mus.

Wróciłam do Polski pełna wrażeń i nowych wiadomości. Zaliczyłam też kilka znaczących wystaw, między innymi retrospektywę Maxa Ernsta.

No, ale nie ma nic za darmo, w szkółce zgubiłam kompletnie rytm.

Siedziałam ciągiem w bibliotece jak jaka mniszka i zakuwałam.

Na zajęciach zaś jak na tureckim kazaniu. Tylko mnie brzuch bolał, żeby moja ignorancja się nie wydała. Wszystko notowałam skrzętnie, szczególnie To, o czym nie miałam bladego pojęcia. Ci ludzie wokół! Te dzieciaki wiedziały wszystko. Tak mi się przynajmniej zdawało. Pokończyły różne szkoły muzyczne, a co ja, wiejski burak po odzieżówce, podkształcony przez pana Józia? Nic nie kminiam.

Sorry. Znaczy — przepraszam. Nie rozumiałam.

Obiecałam panu Józefowi, że popracuję nad swoją polszczyzną. Jak on to rzekł? Jest zanadto kolokwialna.

Miał rację.

Zmieniałam życie i środowisko. Język też powinnam, choć łatwe to nie jest.

No, ale popracuję nad tym. Czułam w sobie moc, jak bohaterowie „Gwiezdných wojen”

nie przymierzając. Ale ta moc pochodziła od ciężkiej pracy i zakonnego niemalże stylu życia.

Pozwalałam sobie na jedno: chodziłam na koncerty. Prawie co wieczór, nie patrząc na pieniądze, biegliśmy gdzieś z panem Józkiem.

On zawsze wiedział wszystko o wszystkim. Co, gdzie, kiedy.

Mahler? A jakże! Strawiński? Proszę bardzo. Cesaria Evora — jak najbardziej. Dzięki niemu łykałam wiedzę wielkimi haustami. Staralam się zresztą wybierać te koncerty i przedstawienia operowe, które przystawały do programu pierwszego roku muzykologii. Ale oczywiście nie była to reguła.

W każdym razie byłam napasiona wiedzą muzyczną. Chłonełam ją wszystkimi porami.

Głos groszkowy, nuty filowane, technika piano — uczyłam się tego każdego wieczora, gdy pan Józeczek z charakterystyczną dla siebie emfazą omawiał To, co widzieliśmy. Ja zaś tylko słuchałam. I się tym wszystkim cieszyłam. Panem Józkiem, muzyką i mną, w tym nowym moim życiu. Tak. Podobałam się sobie w tej mojej świeżej życiowej roli studentki, modelki, melomanki. Łapałam wszystko z zachłannością jamochłonu. Czy one są zachłanne? Jamochłony?

Nawet nie wiem, ale powinny, z taką nazwą!

Pożerałam wiedzę, wchłaniałam jak gąbka.

Za te parszywe lata na wsi. Za szemraną odzieżówkę. Za wszystko.

Utonęłam w muzyce. To było oczyszczenie, moje katharsis.

Pan Józef też tak miał. Może to nas połączyło?

Z dziennikarstwem natomiast było cieniutko. Kułam jak głupia, by nadrobić zaległości i nieobecności. Na roku byli być może fajni ludzie, ale miałam problemy z zaprzyjaźnianiem się. Gdy ja brylowałam w Paryżewie, oni się poznawali.

Byłam outsiderką. Snułam się po korytarzu, zagadywałam, ale jakoś nie udawało mi się z nikim zbliżyć.

Moim przyjacielem był pan Józio, a przyjaciółką pani Irena, z którą odbywałam konferencje przy okazji czytania. Dogadałyśmy się i podczytywałam jej ostatnio Czechów:

Kunderę, Hrabala, a nawet pocziwego starego Haška.

Gdzieś przeczytałam, że Czesi są nieźli. I rzeczywiście.

„Postrzyżyny” Hrabala czytałam nawet dwa razy. Nie wiem, ale w tej książce było światło...

Bredzę? Może, ale tak to czułam. Ja z Jagniątkowa. A wszystko wokół to ład nieznan. Do odkrycia.

Czytałam też pani Irencie co tydzień „Politykę”. Z niej wyciągałyśmy, co warto czytać lub zobaczyć. Pani Irena skrętnie zapisywała na karteczce, co chce, bym jej kupiła, i to robiłam. Wracałam do domeczku z nową książką Akunina czy Mendozy. Albo płytą Krall czy chociażby Olejniczaka. A potem czytałyśmy albo słuchałyśmy.

Pani Józefa z kolei biegała do biblioteki publicznej, gdzie bez skrupułów korumpowała miłe panie szarlotką roboty pani Helenki. Tej szarlotce nikt nie był w stanie się oprzeć. Wszystkie nowości najpierw odwiedzały nasz dom, a dopiero potem poznawali je inni czytelnicy, pozbawieni talentów pani Helenki.

W każdy piątek był mój dyżur lektorski u pani Ireny. W inne dni czytała pani Józefa i jej braciszek. Zawsze, gdy kończyłam lekturę, na stoliczku pojawiała się herbata i zaczynało się gadanko o dawnych czasach, o jej kochankach, o antykach, które były chyba większą miłością pani Ireny niż jakikolwiek koleś z jej przeszłości.

Słowo koleś zresztą zostało wykluczone. Pani Irena też orzekła, że mówię slangiem, i tępiła u mnie chwaścioro językowe bezwzględnie.

Nienawidzę drętowego języka! — broniłam się.

Pokłóciłyśmy się o to ostro. Ale się poddałam. Mądra ze mnie panienka. Nie kłóć się. Jak mówiła pani Irena, kłóć się tylko kucharki. Damy oponują. Ale nawet nie oponowałam. Miała rację. Poparł ją zresztą pan Józef, wezwany do roli arbitra, i zaproponował, by miast gostków i koleśków wymyślać neologizmy, rodzaj autojęzyka. To była fajna zabawa i kupiłam to.

Podskakiwacze, śliniacze, przylepki, zbereźniczki, odlotki — tak nazywałam wszystkich startujących do mnie menów, tfu! panów. Była to wstępna, od razu niestety negatywna klasyfikacja. Jakoś nikt mi do gustu nie mógł przypaść.

Bardzo mi się ten gust ostatnimi czasy rozwinął. Tudzież język. Wszystkie emfazy, elukubracje, adnotacje, konotacje i konteksty, profuzje zasysałam jak pompa wybierająca wodę ze studni u nas w Jagniątkowie. Z wizgiem. I zaraz popisywałam się na studiach, mówiąc *en passant* o kontekstach i konotacjach w twórczości Elgara czy Enescu.

Poza tymi miłymi domowymi rozrywkami pracowałam jak szalona. Miałam wzięcie jako modelka. Chcieli mnie. Nigdy nie odmawiałam. Póki biorą, trzeba korzystać.

Jak mówiła Ewa, z którą byłam w Japonii: to zawód motyla.

Sama to wiedziałam i starałam się jak najwięcej zarobić.

Ubrałam się przy okazji świetnie. Miałam dostęp do czadowych ciuchów za mały grosz.

Kupowałam To, co mi pasiło.

Tfu! Podobało! To, co mi się podobało.

Granicami naszego świata jest nasz język. To bez przerwy powtarza mi pan Józio. Ale przecież używając języka literackiego i, no, slangu, niech im będzie, wzbogacam swój sposób wyrażania. Czasem tak myślałam, nie wiem, czy słusznie, gdy wracałam do swoich starych wyrażonek i zaraz obrywałam za nie po głowie.

Było mi dobrze. Życie miałam jak w bajce.

Tylko byłam ciągle samotna. Pan Józef był moim jedynym przyjacielem płci, cóż, męskiej?

Mężczyznę mojego życia, no, chyba można tak powiedzieć?

Z jednej strony było to piękne, ale z drugiej żalodne.

Miałam tego pełną świadomość.

3.12.2012. Gosia

Była sobota. Spałam jak zabita. Poprzedniego wieczoru dałam się namówić Robertowi na taki mały bankietek w Profuzji. Piliśmy przez cały wieczór whisky postawioną przez jakiegoś podskakiewicza i śpiewaliśmy ruskie piosenki, siedząc na tych ich gigantycznych łózkach. Wcześniej była ulewa monstre i zalało ten cały magazyn czy kotłownię, w której mieścił się klub. Podłogę szczelnie pokrywało błoto, a my taplaliśmy się w łózkach, oparci o brudne poduchy.

Dekadencja na miarę czasów.

Tak to zgrabnie określił Robert, mój odkrywca.

Ucieszyłam się, gdy go spotkałam na sesji zdjęciowej. Miałam do niego sentyment i bez problemu dałam się wyciągnąć na imprezkę do klubu.

Dla urozmaicenia tej mojej monotonii.

Gdyby nie Robert, to tkwiłabym dalej w pipie. A tak... proszę... Ciągnę jak wodę mineralną Chivas Regal w klubie dla gejów!

Ciągle mnie to zadziwiało.

Miałam nieusuwalny syndrom prowincji. Sama sobie nadziwić się nie mogłam. Mówiłam do siebie: Cholerka! Ja tu?!

Byłam już kompletnie naprana, gdy napalony podskakiwacz, sponsor znaczy, zaczął mi pchać rękę pod spódnicę i głaskać nogę. A potem wziął rękę, co go odpychała, moją rączkę, wsadził sobie do ust i zaczął mi, wariat chyba, paznokcie obgryzać. Fuj!

Wyrwałam się i odskoczyłam, rozlewając na wszystkich trunek zacności wielkiej, jak by rzekł pan Józinek.

A Robert:

— No co ty?

— To ty! — powiedziałam błyskotliwie niewątpliwie, bełkotliwie jednak, bo byłam sfazowana totalnie.

— Bądź miła dla Grzesia. Grześ dużo może.

— Jasssneee... — rzekłam. — Może sobie sam... — i tu rzuciłam ordynarny greps tak, że wszystkim wokół uszy zwiędły. Mnie nie. Odplynęłam. W nocy mrok. Starając się zachować kierunki wertykalne. Czyli iść prosTo, sztywno wyprostowana. Z godnością.

Jedną rzecz sobie bowiem obiecałam: nie będę się puszczać. Tak mam.

Nie. Jeśli już, to mądrze się sprzedam. Tak.

12.09.2013. *Marcel*

Rano tamtego kwietniowego dnia podniosłem zasną powiekę i zobaczyłem wystający spod kołdry czubek łebka z chmurą czarnych loczków.

To była Mag. Spała, oddychając lekko, tuż obok mnie.

Dostałem To, czego chciałem. Ją.

Przeciagnałem ręką po oczach i czole, brodzie z nieogolonym zarostem.

Staralem się zignorować, zbagatelizować To, co czułem.

Bo byłem przepełniony czułością. Tak jakoś miło przebiegał ten seks z Małgosią.

Była taka chętna, przylepna, przytulna i pieszczotliwa.

Zachowywała się jak miły koteczek, tak jakby mnie kochała.

To, co się wczoraj między nami rozegrało, to było jak akt miłości.

Jakby dwoje ludzi, którzy się długo szukali, wreszcie się odnalazło. Sam nie wiem, dlaczego miałem takie odczucia.

Zupełnie przecież nonsensowne.

Dlaczego widok czubka jej głowy przepełniał mnie czułością?

Może zaczynałem się starzeć?

Bzdura.

Zerwałem się z łóżka i pogałem do łazienki. Zimny prysznic wygoni głupie myśli i głupie ciągoty.

To niezawodna metoda.

Chętnie bym wyłuskał Małgosię spod tej kołdry i jeszcze raz w niej zanurkował, ale nie mogłem sobie na to pozwolić. Miałem za niecałą godzinę spotkanie z szefami Petroleum ITC.

Kiedy wyświeżony i ubrany wynurzyłem się z garderoby, zobaczyłem Mag w mojej wczorajszej koszuli smażącą jajecznicę w kuchni. Właściwie to zapach mnie przygnał do pomieszczenia, które w zasadzie nie służyło do niczego, bo jadałem na mieście albo w firmie.

Niemniej jednak miałem zawsze podstawowe produkty, bo taką miałem umowę ze sprzątaczką.

Pilnowała, by zmieniać zawartość lodówki. Czasem coś w przelocie łyknąłem.
A tu proszę — mała gospodyni.
Niespecjalnie mi się to podobało. Źle wróżyło. Te, co gotują, próbują zacumować na dłużej. Nie gustuję w małych gosposiach. Wolę twarde dziwki.
Mag musiała coś wyczuć, bo tak jakoś półgębkiem powiedziała:
— Byłam strasznie głodna...
— Nie, nie, no jasne, w porządku! Tylko się spieszę...
— Dla ciebie też usmażyłam!
Chciałem już powiedzieć, żeby zmiatała, bo muszę lecieć, ale się wstrzymałem.
Ta jajecznicza wyglądała naprawdę nieźle. A pachniała jeszcze lepiej.
Byłem głodny.
Jak wilk. Spojrzałem na zegarek. No, kwadrans jeszcze mogłem sobie darować.
Usiedliśmy przy stole w niszy śniadaniowej pełnej kwiatów i roślin. Wymysł Lotowskiej, nie mój. Najbardziej wątpliwa część wystroju tego mojego dość ascetycznego wnętrza. Te hibiskusy i bzy nie były w moim guście, ale prawdę mówiąc, zaakceptowałem projekt, specjalnie mu się nie przyglądając. Czasu nie miałem. Lotowska była *the best* i wierzyłem, że To, co zrobi, będzie i estetyczne, i funkcjonalne. Będzie najlepsze.
Było.
Tylko ta wnęka śniadaniowa z widokiem przez przeszklone szyby na niebo, i te rośliny jak w tropikach, na dodatek wymagające podlewania. To było trochę z innej bajki. Machnąłem jednak ręką. Zrobiła, jak zrobiła.
Mieszkałem w tym. Designe i te sprawy. Trzeba, by wyglądało. Człowiek wpada w takie pułapki, jak ma dużo kasy.
Bez, którego kilka krzaków miałem w doniczkach w jadalni, kwitł jak w czerwcu i przepełniał powietrze czymś radosnym, jakąś zapowiedzią wiosny, szczęścia i czegoś zupełnie nowego.
Przy tej całej Mag robiłem się patetyczny. Romantyczny i głupkowaty. Teraz jasno sobie to uświadamiam. Ale wtedy... Wtedy były jakieś niejasne tylko przeczucia, zwiady i majaczenia.
A może marzenia...
Tak jakoś było miło.
— Chcesz grzankę? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, zsunęła na mój talerz wysmażoną na patelni kromkę chleba. Chyba nie zauważyła tosterka.
— Ale cholesterol! — jęknąłem.
— Cholesterol? A co to? — spytała.
Roześmiałem się. Rzeczywiście. Co się będę dziś cholesterolom przejmował.
Jedliśmy i opowiadałem Mag, jak się zimą pędzi bez, by kwitł.
— To zupełnie proste. Trzeba go tylko przez chwilę przemrozić jesienią, a potem wnieść do domu i spokojnie czekać, aż puści liście i kwiaty. Tylko konieczne jest kilka dni na mrozie. A potem samo... Gosposia mi tego pilnuje...
— Ślicznie pachnie! Chciałabym coś takiego mieć w domku — rozmarzyła się.
— Chciałabyś? Nie ma sprawy — rzekłem, zadziwiając sam siebie. — Ubieraj się szybciotko, to cię podrzucę, gdzie tam chcesz, razem z tym bzem.
— Dasz mi go?!
— Tak... i nie tylko bez bym ci dał, ale...
— Wiem, spieszysz się — wyszeptala mi w ucho i przywarła do mnie całym ciałem. A potem zaczęliśmy się całować. Aż straciłem oddech. I chęć, by wyjść. Ale musiałem. Z trudem, z wielkim trudem oderwałem się od Małgosi, klepnałem ją w kragłą pupę

i przykazałem, by się migiem ubrała.

Za niecałe pięć minut była gotowa. Sięgnąłem po donicę bzu i wymaszerowaliśmy z mieszkania, śmiejąc się do siebie.

Rozdział 21

27.12.2012. Gosia

Święta przeszły. Pan Józef się rozchorował. Leżał w łóżku i był okropny.

Jęczał, marudził, biadał i histeryzował. A my wszystkie trzy latałyśmy koło niego jak anioły miłosierdzia. Kompicik, czółko otrzeć, lekarstwo podać, poduszczkę poprawić. A pan Józeczek nic, tylko labiedził:

— To koniec, Małgosiu! Czuję to wyraźnie. Już z tego nie wyjdę.

— Panie Józefie, lekarz powiedział, że to lekka grypa.

— Lekka!?! Może ona i była lekka. Teraz to już mam na pewno zapalenie płuc. Czuję, jak się duszę. Słyszysz, jak mi rzezi w płucach? — jęczał i zanosił się potwornym kaszlem.

— Panie Józiu, mniej by pan kasłał, jakby pan nie jadł flegaminy garściami.

— Mniej jadł flegaminy?! Przecież lekarz mi kazał!

— Ale nie garściami!

— Przecież nie biorę garściami! Tylko trochę więcej, niż zapisał, bo się gorzej czuję. Jak był lekarz, czułem się lepiej, to mi mniej zapisał — dowodził z nieodpartą logiką.

— Tak nie wolno, panie Józku! Zabiorę panu opakowanie.

— Zabierzesz? A jakim prawem? Ja nie dziecko. Mogę sam o sobie stanować. Oddaj w tej chwili tę flegaminę!

— Panie Józefie! Niech pan się uspokoi. *Piano*. Nic nie zabieram. Tu, proszę, ma pan herbatkę, antybiotyk, proszę łyknąć i się przespać... Tak będzie najlepiej.

Ciężkie to było — choroba pana Józia. Był jak dziecko. Niesforne dziecko. Ale kochane.

6.01.2013. Gosia

Kupiłam czerwone majtki.

Na szczęście.

Dziewczyny masowo sobie kupowały po pokazie bielizny, twierdząc, że to przynosi farta w miłości. Kupiłam. Czułam się samotna i wyobcowana. Miałam bliskich ludzi, kochanych ludzi obok siebie. Ale jakoś tak tęskniłam za czymś więcej. Może to hormony? Przed nimi trudno podobno uciec. Na pewno hormony. Nic innego to być nie mogło. Chemia. Człowiek jest chemią, to właśnie ostatnio wyczytałam. Jesteśmy totalnie zdeterminowani na skutek genetyki i chemii. Okropna, przerażająca wizja, że my nic, tylko nami...

Przesiedziałam więc w tych czerwonych stringach cały Nowy Rok.

Przed telewizorem przesiedziałam. Oglądaliśmy na dvd kreskówki. Ze zdrowym już panem Józkiem, wiecznie zakatarzoną panią Józefą, podsuwającą nam grzaneczki, barszczyk i ciasTo, panią Helenką i niedowidzącą panią Ireną, która pytała wciąż i wciąż:

— Co on zrobił, ten kaczor? Co powiedział? Cofnijcie, bo nie dosłyszałam...

Oglądaliśmy królika Bugsa, którego wszyscy oni wielbili. Ja zresztą też.

Ale... no, co tu mówić albo pisać.

Miałam pewien niedosyt. Sylwester z kaczorem Daffym i królikiem Bugsem.

Czy o tym marzy dziewczyna, gdy...

8.03.2013. *Gosia*

Spyroszek syczał jak jaki wściekły wąż: — Nie tak, nie tak!

Dagmara, długonoga i długoszyja modelka, z męką w oczach i przyklejonym uśmiechem usiłowała wykonać perfekcyjnie figurę baletową, jaką wykombinował Piękny Edi. Ćwiczyliśmy już trzy godziny w dzikim tempie i ciągle coś się chrzało. Ja traciłam zajęcia z prasoznawstwa na dziennikarstwie. Kolejne straty nie do odrobienia, a sesja tuż tuż.

Zaczynałam mieć stracha, że położę egzaminy.

Ale byłby obciach. Powinnam siedzieć kamieniem i notować, bo opuściłam już chyba trzy czwarte zajęć.

Ale, sorry Batory, tego pokazu nie mogłam odpuścić!

Był świetnie płatny i prestiżowy.

Miała być pierwsza dama, a to znaczyło, że będą wszyscy.

Edi i Matesowa zabiliby mnie, gdybym odmówiła.

Zmotywowany do działania zapowiedzianą wizytą prezydentowej Edi związał się, kręcił i katował dziewczyny.

Mnie jakoś się nie czepiał.

Ale musiałam tkwić i czekać, aż wszystko osiągnie stan perfekcji.

Serce mnie bolało — tam zajęcia, kolejne zajęcia szlag trafiał. Tu stałam i patrzyłam, jak inne się męczą. Nawet poczytanie w przerwie nie było możliwe.

No, ale nie można ciastka zjeść i go mieć — jak mówiła moja babcia kochana. Ach!

Coś za coś. Płacili!

12.03.2013. *Gosia*

Stałam za kulisą, ubrana w białą-złotą tunikę, wykreowaną na wzór japońskiego kimona. Niezła była, ale ani się umywała do białej kreacji, którą miałam włożyć na koniec pokazu. Coś te egzotyczne klimaty mnie prześladowają.

Moja kolej.

Wysłałam, drobiąc stopkami tak, jak życzył sobie tego Wielki Ed.

Szło mi nieźle, bo widziałam, rzecz jasna, spektakl Mordasińskiego w operze, z którego bezczelnie zrzywał nasz geniusz. No, może się inspirował. Zależy, jak na to spojrzeć. Łaskawie czy nie.

Sypniewska tak właśnie poruszała się po scenie.

To było według mnie totalnie bez sensu na pokazie mody, gdzie sednem jest ruch i zmiana, a ja nic, tylko tuptałam. Powoli, bo inaczej nie da się tuptać.

Trudno. Pan każe, sługa musi. Grunt, że płacą, i to nieźle.

Przetuptałam, co tam miałam do przetuptania, muzyka grzmiała i dudniła jak nadchodząca złowieszcza burza.

Może nie jest to takie złe — myślałam sobie, tuptając. — Tworzy kontrast to tuptanie. Tu pioruny, a ja tuptam. Przypomniałam sobie wierszyk z okresu wojny, który wyrecytowała mi pani Irenka: „Po Berlinie sobie tuptam, patrzę trup tu, patrzę trup tam”.

Jakoś się do mnie przyczepił i tuptając, powtarzałam go sobie mechanicznie jak katarynka. I tuptałam, tuptałam. Od początku wybiegu do końca.

Edi, mimo że pajac, miał wycucie. Na pokazie jakimś cudem zniknęło tandeciarstwo,

które, jak mi się zdawało, wyczuwałam na próbach.

Sala była cicha i skupiona.

Brało ich! Nie było słycać rozmów i szmerów.

To był dobry znak! Będzie chyba sukces!

Sukces! Czadowo!

Wróciłam za kulisę i wzięłam ze sztenkera kolejną białą suknię. To, co miałam na sobie, zrzuciłam na ziemię i przy pomocy garderobianej, asystentki właściwie, pani Marty, wdziałam zwiewne cudo.

— Szybciej, szybciej! — pogańał nas spocony Ed.

Miał obłęd w oku i kompletnie mokry podkoszulek.

Piotrek, wizażysta, podbiegł do mnie i usiłował w biegu zmienić mi makijaż na bardziej pastelowy. Z białą chińską ślubno-królewską kreacją taki lepiej współgrał niż poprzedni w kolorze cyklamenu.

Dziewczyny w amoku szukały butów, spinek, pasków.

Każdy detal był przygotowany, ale z nerwów wszystko znikało z zasięgu wzroku.

„Diabeł ogonem nakrył” — mawiała w takiej sytuacji moja babcia.

Po chwili paniki wszystko się znajdowało i pokaz bez wpadek i zakłóceń szedł dalej, do przodu, tak jak powinien.

Był to obłęd ściśle kontrolowany, można powiedzieć twórczy, i gdy nadszedł mój czas, stałam gotowa.

Zamknęłam oczy i biernie poddałam się zabiegom Piotra.

Potem je otworzyłam, ale nie miałam nawet chwili, by spojrzeć do lustra.

Marta i Piotr zlustrowali mnie wnikliwie, kiwnęli równocześnie głowami, i piękna i eteryczna popłynęłam przez scenę, ścigana jednym tylko reflektorem.

Powoli, z gracją, przesuwalam się raczej, niż szłam, z lekkim półuśmiechem i spojrzeniem jak za mgłą. Miałam to opracowane aż do ostatniego detalu.

Wyglądałam tak, jak miałam wyglądać, jak księżniczka z bajki, jak ktoś, kto powrócił z zaświatów, z innej rzeczywistości.

Tak mi przykazał Edi i taka właśnie byłam, gdy przesuwalam się po deskach wybiegu niby zjawa. Towarzyszyła mi narastająca głucha muzyka instrumentów perkusyjnych.

Doszłam do krańca sceny i nieprofesjonalnie, ale miałam nadzieję, że też niepostrzeżenie, poszukałam wzrokiem pana Józia, którego zaprosiłam na pokaz, by podziwiał mnie w roli Księżniczki Turandot.

Nie śpiewałam co prawda, ale przecież byłam nią w jakiś tam sposób.

Przy ostatniej kolumnie zauważyłam rozwianą siwą czuprynę i przez mgnienie oka, gdy reflektor dozwolił mi widzieć, zobaczyłam jego rozanielony wyraz twarzy.

Uśmiechnęłam się do siebie i tam wewnątrz, w głębi, zrobiło mi się ciepło na sercu.

Wyglądał tak jak zawsze, gdy słucał muzyki. Było dobrze. Udało się!

Zawróciłam do kulisy, gdzie po sekundzie zmaterializował się koło mnie Edi, już przebrany w świeży podkoszulek i sportową marynarkę.

Podał mi rękę i pofrunęliśmy razem przez wybieg, spokojni i uśmiechnięci, witani huraganem braw.

Sukces!

Czułam to!

Triumf! Wszystkie twarze zwrócone na nas! Huk oklasków. To było to coś, co jest warte może nawet więcej niż pieniądze, jakie dostawałam.

Staralam się iść tak, by nadmiernie nie eksponować siebie.

W ostatnim wejściu Edi był najważniejszy.

To jego pięć minut.

Pan Józef klaskał jak szalony. Aż mu siwe włosy powiewały.

Dobrze, że miałam tu kogoś bliskiego.

Pierwsza dama też biła brawo, uprzejmie się uśmiechając. Podobało się jej!

Muszę o tym opowiedzieć mamie i babci. Poproszę o zdjęcia z pokazu i zawiozę na wieś.

Ale będzie!

Może mama wreszcie uwierzy, że mi się udało, gdy zobaczy na zdjęciu, czarno na białym, że pierwsza dama bije mi brawo.

Po pokazie rozmalowałam twarz, włożyłam džinsy, sweterek i poszłam szukać pana Józia. Stał ciągle przy tej kolumnie, a przy nim jakiś, no, nie koleś ani gość, po prostu jakiś pan. Bardzo elegancki, ubrany w świetny garnitur, może nawet Armaniego, koszula rewelacyjnie dobrana i ekstrawagancki krawat w wysmakowanym odcieniu amarantu. Ten amarant to może był przefajnowany, ale ogólnie — nieźle!

Duża forsa, na pierwszy rzut oka. Nauczyłam się już rozpoznawać marki i pieniądze.

Wcale pożyteczna wiedza.

To jeden z bonusów bycia modelką: znajomość cen, rzeczy i jakości.

Nie demonizowałam tego tak jak wiele osób z branży, ale... wiedziałam, znałam, rozpoznawałam.

To była jakość najwyższa. Na rękę miał coś, co wyglądało na patka, a jakże, złotego, a buty miał chyba robione na zamówienie. Nigdy takich nie widziałam. Naprawdę z klasą!

Miły uśmiech, zbyt mięsisty nos, ale w sumie przystojny, zdecydowanie przystojny. No, no...

Okazało się, że zaprzyjaźnił się z panem Józiem tu i teraz, przy kolumnie.

Szybko się dogadaliśmy, by coś wspólnie przekąsić, z nim i z jego dziewczyną, niejaką Edytą, która się błyskawicznie przy nas zmaterializowała, zaznaczając ostentacyjnie swoje prawa do obiektu.

Pan Józio był zachwycony, bo Marcel — miał na imię Marcel — znał się na operze.

Rzeczywiście, znał się.

Jednak to nie opera go najbardziej kręciła, ale ja. Pożerał mnie wzrokiem.

Tak to się chyba nazywa. Aż chwilami było mi głupio. Kiedy coś mówił, patrzył, jak reaguję. Wtapiał się w moje usta, oczy, taksował biust. Czułam się naprawdę nieswojo, mimo zaprawy w moim pocziwym pipie i na wybiegu.

A ta jego Edyta to po prostu skrętu kiszek dostawała. Gdyby mogła, podała mi cyjanek, strychninę albo jakie inne świństwo.

Słowem, mord w oku.

Jedyną osobą niezadającą sobie sprawy z zaistniałej sytuacji był mój dobry, kochany pan Józio. Gadał o Verdim, o rzadko spotykanych *voci verdiana*, głosach verdiowskich. Podniecał się tematem, perorując, Marcel zaś słuchał, kiwał głową z aprobatą i równocześnie gapił się na zarys moich piersi pod zbyt może obcisłym sweterkiem.

Nie, nie! To jego spojrzenie było oblepiające, nie sweterek.

Nie wiedziałam, że mogę zrobić takie wrażenie na facecie.

Udawałam, że tego nie widzę, i gwarzyłam jakby nigdy nic. Było milutko. Dobre jedzenie. Napalony jegomość z pełnym portfelem w roli sponsora.

W sumie bardzo udany wieczór.

Rozdział 22

27.03.2013. Gosia

Sesja. Moja pierwsza sesja egzaminacyjna — i to na dwóch wydziałach jednocześnie.

Titanic. Tylko tak to się da określić. Od początku byłam skazana na klęskę. Nie wiem, czy miesiąc w sumie biegałam na zajęcia.

Jedynym ratunkiem była praca własna, czyli w panicznym strachu kucie w bibliotece.

Nie miałam zaprzyjaźnionych koleżaneczek, które by mnie poratowały notatkami. Trochę notatek, ale tylko trochę, wyłudziłam od takiego jednego Kacpra na dziennikarstwie i od Huberta na muzykologii. Niestety, orły to oni nie byli, ale że się na mnie trochę napalali, to się podzielili.

Dziewczyny niespecjalnie chciały mi pożyczać.

Jedna, jak ją poprosiłam, popatrzyła na mnie, jakbym w jakimś afrykańskim narzeczu mówiła. Potem powiedziała coś od rzeczy, że jest głodna czy jakoś tak, i ze szklanym wzrokiem wbitym w leżącą na bufecie zeschniętą kanapkę oddaliła się w jej kierunku.

Ale zdzira!

No więc sesja. Zdałam w pierwszym podejściu pięć egzaminów, a zglebiłam sześć. Taka proporcja. W zasadzie pół na pół...

I tak uważam, że nieźle.

Płynnie, z marszu, zabrałam się do nauki na poprawkowe, wzbogacona nieco wiedzą, czego wymagają, i nowymi wymamionymi notatkami. Po egzaminach koleżeństwo okazało się chętniejsze do pomocy.

A ja, mały podły wiejski spryciulek, przeczytałam wszystkie listy z wynikami egzaminów i starannie zakonotowałam w pamięci, co kto dostał.

Postanowiłam zaprzyjaźnić się z najlepszymi. Muszę politykować. Trzeba mierzyć w górę.

Klarowałam to pani Irenie, która z aprobatą kiwała głową.

— Wiadomo, że chodzić nie będę regularnie. Póki mnie chcą na tych pokazach, to niestety, ale najpierw praca, a potem hobby. Bo te studia to hobby! Pieniądze są gdzie indziej.

Mądra stara siwa sowa, pani Irena, zgadzała się ze mną w każdym punkcie.

Jej wieloletnie doświadczenie wskazywało, że kasa jest najważniejsza. Pan Józio oczywiście by się z tym nie zgodził.

Dlatego wywnętrzałam się właśnie przed panią Ireną, pewna jej aprobaty.

— Muszę sobie coś mądrego wymyślić na dalsze życie. Nie wiem co!

— Nie panikuj. Czas zawsze przynosi rozwiązania.

— Tak, wiem. Moja babcia też tak zapodaje. Poczekam. Pewnie mi się jaka myśl jeszcze urodzi. Życie jak morze, może coś wyrzuci na brzeg.

— Nie martwisz się egzaminami?

— Nie. Miałam to wkalkulowane. Straty muszą być. Jak się martwię, to patrzę na swój wydruk z konta i wiem, że jest okej.

— Mądra dziewczynka! Poczytamy?

— Poczytamy. Co pani powie, pani Irenko, na jakąś prozę polską? Co my tu mamy...

Rylski Eustachy, Tokarczuk Olga... Mówi to coś pani?

— Nic a nic!

— To do dzieła! Trzeba niszczyć luki w wykształceniu. — Zachichotałyśmy jak dwie małolaty. Zapadłam się w wysiedzianym fotelu i otworzyłam książkę. Pani Irena zamknęła oczy i sprawiała wrażenie, że śpi.

Ale to był tylko pozór. Słuchała. Uważnie słuchała. Jak zawsze.

10.04.2013. Gosia

Spotkałam dziś takiego jednego kolegę pana Józia.

Tego, bardzo jak się zdaje zamożnego pana, który się z nim zaprzyjaźnił na pokazie kolekcji Ediego.

Marcela.

Zaprosił mnie na kawę. Chętnie poszłam. Byłam go ciekawa. Pan Józio peany wygłaszał na jego temat.

Pierwsza konstatacja, jaka mi się nasunęła: ma zgrabny tyłek.

Druga: I poczucie humoru.

Opowiedział mi pyszną anegdotę o swojej babce i prababce.

Babka na początku naszego wieku wyszła za męża i wyszła z podróży poślubnej do swojej matki dramatyczną depeszę:

„Mamo! Mój mąż żąda ode mnie rzeczy na które nie mogę pozwolić! Co robić?!”.

— I co jej matka odpisała? — zapytałam.

„Pozwól, pozwól...”.

Zaczęliśmy się śmiać.

Miły facet, tylko jak dla mnie ciut stary. Ale ma ochotę mnie wyjąć.

Robi to ładnie i zgrabnie, ale niespecjalnie on w moim guście. Ma jakieś czterdzieści albo i więcej lat. W sumie stary zgred.

Opowiedział jeszcze jedną historię. Tym razem o dziadku, który podróżował ze swoim przyjacielem bankierem po Włoszech. Bankier w hotelu wpisał się do księgi gości: Bankier Rosenberg ze swoim lekarzem. W następnym hotelu dziadek Marcela pierwszy podszedł do znajdującej się w recepcji księgi i dokonał wpisu: Doktor Łuciata. Ze swoim bankierem.

Fajna historyjka.

Tylko że ją znałam.

Gdzieś to czytałam. W książeczkach pana Józia. Dotyczyło, zdaje się, doktora Leo.

Bajerant z tego Marcela. Ale miły.

Chwilę się zastanawiałam, ale złe mnie podkusiło i zrewanżowałam się dowcipem, który niedawno rozpracowaliśmy z panem Józefem i panią Irenką.

Zaserwowałam w domeczku kawał usłyszany na studiach i okazało się, że to dowcip z taaaką brodą. Opowiedziałam go teraz Marcelemu z całym kontekstem.

— Siedzi góral z gaździną na przyzbie, a obok nich bawi się w kałuży utyłane jak święta ziemia dziecko. Góral chwilę mu się przygląda i mówi do żony: „To co? Myjemy czy robimy nowe?”.

Marcel się głośno zaśmiał. Popatrzyłam mu w oczęta i powiedziałam:

— Fajne, prawda? Panu Józiovi też się spodobało, ale już słyszał tę historyjkę w takiej wersji: Siedzi na plaży Wałęsa ze swoją Danką i patrzą na babrające się w błocie dziecko.

Prezydent mówi do małżonki: „To, co Danko? Myjemy czy robimy nowe?”.

— Taaak — skwitował Marcel. — Nie tylko filmy mają swoje nowe wersje. Dowcipy też.

— Jasne! Ale to nie koniec.

— Nie?!

— Nie! Opowiedziałam jeszcze ten dowcip pani Irencie, ale i ona знаła ten kawał. W przedwojennej wersji: Pijany rotmistrz wraca do domu, woła dzieci, liczy i gdy liczba mu się nie zgadza, idzie do sypialni dorobić. Nic w przyrodzie nie ginie, Marcelku. Nawet dowcipy. Zmieniają właścicieli i dekoracje, sam tylko greps pozostaje...

— Czyżbyś do czegoś piła? Dlaczego mi to opowiadasz? zaniepokoił się Marcel moim znaczącym tonem głosu. Nie mogłam sobie odpuścić, by go troszkę nie ukłuć.

Przybliżył twarz do mojej i popatrzył mi w oczy. Uśmiechnęłam się do tych jego wielkich błyszczących czarnych ślepiów i powiedziałam takim moim specjalnym gardłowym głosem na specjalne okazje:

— Nooo, wieesz, ja dość dużo czytam. Gdzieś czytałam historyjkę z doktorem i bankierem w roli głównej. Baron Kronnenberg i doktor Leo, o ile pamiętam...

— Zdemaskowany! Przyznaję się bez bicia. Ale to nie ze snobizmu! Gdy historyjkę osadzisz w bliższych realiach, brzmi lepiej. *Chapeau bas!* Jesteś pierwszą osobą, która mnie zdemaskowała jako łgarza zawodowego. Mój dziadek był stróżem. Przyznaję bez bicia.

— Mój też. W pegeerze.

Zaczęliśmy się śmiać jak para wariatów. Dwoje dzieci stróża. Wnucząt.

Miło było. Miły był ten Marcel.

Rozdział 23

12.09.2013. *Marcel*

— *Rien ne va plus* — skrzeczał krupier, tak jak wszyscy krupierzy na całym świecie. Był stary i dość szpetny, co już nie było typowe. Ostatnio raczej śliczne dziewczyny zatrudniają w tym fachu, by przyciągały klientów.

Postawiłem na czarne, wróżąc sobie przy okazji — odnajdzie się czy nie odnajdzie ta moja paskudna Małgosia.

Wypełzłem z nory, czyli mojego hotelowego lokum, i powędrowałem do położonego nieopodal hotelu kasyna.

Było pustawo. Wystrój taki sobie, ale miałem ochotę oderwać myśli od Mag i całej tej głupiej miłosnej afery. Jej zniknięcia.

Niespecjalnie mi się udawało, po zakamarkach mózgu bezustannie tłukła się myśl o niej. Nie mogłem się skupić. To było natręctwo, obsesja.

Przeszkadzało mi to. Chciałem się od tego uwolnić.

Wymyśliłem kasyno.

— Może mi pan postawić na dwadzieścia trzy? — spytała stojąca obok seksowna Mulatka w ostrozielonej sukience, podając mi ruchem nieznoszącym sprzeciwu okrągły żeton. Musnęła przy okazji moją dłoń tak, że nie mogłem mieć żadnych wątpliwości co do jej intencji.

Położyłem żeton i obserwowaliśmy oboje z uwagą kręcącą się kuleczkę. Dwadzieścia sześć. Przegrała.

Zmarszczyła brwi i zajrzała mi w oczy, robiąc tragiczną minę. Uśmiechnąłem się i spytałem, podsuwając niebieski żeton, który miałem w ręku:

— Może jeszcze raz?

Odpowiedziała radosnym uśmiechem i mój żeton powędrował na stół.

Nie miała szczęścia, podobnie jak ja. Znowu przegrała.

Może jednak miała, bo zaprosiłem ją na drinka do baru.

A przecież o to chyba jej chodziło.

Piliśmy ze dwie godziny, gadając o byle czym, zanim dobrze wstawieni nie powędrowaliśmy do hotelu, gdzie bez żadnych oporów dała się poprowadzić do mojego pokoju.

Mag nie było. Jakoś wiedziałem, że jej nie będzie. Miałem taką pewność, nie wiadomo z czego wynikającą.

Przerznąłem tę Mulatkę o wdzięcznym imieniu Anais na tym samym łóżku co wczorajszej nocy Mag. Ostro, brutalnie, gwałtownie. Podobało jej się.

Musiała być miejscową kurwą szukającą klientów w kasynie, bo nie protestowała, gdy podałem jej zwitek banknotów, żegnając się z nią po dwóch godzinach mniej więcej.

Dochodziła siódma. Mag nie było od dziewiątej rano.

A może się utopiła?

Tak. Po prostu.

Nie.

To niemożliwe. Świetnie pływała. I na pewno nie weszłaby do morza.

To przytomna panienska. Bardzo przytomna.

Pamiętam, jak któregoś dnia, gdy już byliśmy razem z miesiąc, usłyszała moją rozmowę z Robertem, asystentem, o akcjach Elwitrimu.

Następnego dnia Robert zobaczył ją w banku, u Delińskiego, zaprzyjaźnionego z nim maklera. Kupowała.

Była niegłupia. Bystra. Sprytna. Inteligentna i urocza.

Kochałem ją.

A ona to wykorzystywała. Dyskretnie, ale jednak. Później często coś do niej mówiłem o moich biznesach, specjalnie, by skorzystała.

Nie brała ode mnie prezentów. Nie naciągała mnie. Lubiła być ze mną w łóżku. Tego byłem pewny.

Wykorzystywała mnie, wyciągając ode mnie informacje. Wiedzę. Na to była pazerna wielce. Podobało mi się to. Chętnie się z nią dzieliłem. Podzieliłbym się z nią nie tylko tym. Chciałem, by miała łatwiej.

Czas jakiś temu postanowiłem kupić jej samochód. Małego rozkosznego citroena, na którego widok zabłyśły jej oczy.

Przecież to było doprawdy śmieszne, by moja dziewczyna szła się po tramwajach i autobusach.

Zabrałem Małgosię do salonu i pooglądaliśmy niby tak dla żartu różne modele. Wyciągnąłem kartę kredytową i zarządziłem, by dla pani zapakowano istne чудо w kolorze żółtka, z wszystkimi możliwymi bajerami.

Sprzedawca uśmiechał się od ucha do ucha rad z transakcji i dowcipu.

Wszyscy wokół byli zachwyceni. Taka romantyczna sytuacja!

Kazałem jeszcze włożyć za wycieraczkę śliczną herbacianą różę.

Ja, nieuleczalny romantyk, jak wiadomo.

Poprosiłem Mag, by ją przyjęła razem z autkiem.

A ona co?! Myślałem, że się na mnie rzuci z radości. Podziękuje!

Zacznie mnie całować tak, jak czasem to robiła. Po prostu obsypie mnie całusami jak radosne dziecko, które dostało wymarzoną zabawkę. Właśnie tak się zachowywała, gdy pokazałem jej świeżo zdobyte, bo nie kupione, bilety na występy Eleny Saguskinej w Teatrze Wielkim. Trzy bilety, bo nie zapomniałem o kochanym przez nią, a i przeze mnie lubianym, co tu kryć, Józku.

A tu, tym razem, nic. Popatrzyła na mnie tylko tymi swoimi sarnimi oczami i powiedziała:

— Nie. Nie chcę go.

Zbaraniałem.

— Dlaczego nie?!

Wydęła wargi i wyszła.

Była mądra, a nie chciała takiego miłego drobiazgu.

Nie rozumiałem jej. Kompletnie. I może tu tkwił problem.

Rozdział 24

11.04.2013. *Gosia*

Wrzuciłam nazwisko Marcel Łuciata w wyszukiwarkę google'a w bibliotece na Koszykowej. Człowiek poinformowany może więcej, tego nas uczyli na żurnalistyce. Popatrzmy. Co my tu mamy?

„Marcel Łuciata urodził się w 1958 r. Absolwent prawa Uniwersytetu Warszawskiego, doktoryzował się w 1985. W 1994 r. przekształcił kontrolowane przez siebie firmy w holding. Po przejęciu kolejnych firm Łuciata Holding SA stał się jedną z największych w Polsce prywatnych grup kapitałowych i trzecim co do wielkości prywatnym polskim inwestorem.

W latach 1993—2000 grupa Łuciata Holding zainwestowała ponad 10 mld zł.

W ubiegłym roku łączny przychód firm, w których Łuciata ma udziały, przekroczył 12 mld zł. Majątek Marcelego Łuciaty szacowany jest na 5 mld zł. Marceli Łuciata jest przewodniczącym rad nadzorczych Łuciata Holding, Elwitrimu, OBiR Stoczek, Pol Agro Complex, spółki Domy Wrocławskie, Jaguara Auto Polska, a także członkiem rad nadzorczych w TORE Banku i Polserwisie. Jest na 9. miejscu w rankingu 100 najbogatszych Polaków tygodnika «Wprost»”.

— Cholerka! — zaskowyczałam z wrażenia. Ale mi się trafił kolega! Co tam kolega!

Kochanek! I sam mi wpadł w łapki. Żadnych sieci intryg i namierzań. Mam w życiu szczęście. Bóg mnie lubi! Bez dwóch zdań!

Wydrukowałam sobie to milutkie Marcelkowe cv i pomknęłam prawie biegiem na Mokotowską. Do pani Irenki. Potrzebowałam konsultacji.

— Nieźle, zupełnie nieźle — wycedziła moja mistrzyni i nauczycielka, słuchając życiorysu mojego lubego. — Rzeczywiście nie najgorzej. I tak sam wpadł ci w ręce? No to masz szczęście, mała. Z tego można zrobić całkiem miły użytek.

— Jak? Mam się za niego wydać?! To nie będzie łatwe. To inteligentny facet, a poza tym odbywa się na niego na pewno polowanie, i to z nagonką...

— Więc ty nie poluj.

— Jak to?

— Nie poluj. Pozostań sobą i bądź ponad. Rozkochaj go i zaprzyjaźnij się z nim. A potem rób, co chcesz!

— Co chcesz? To znaczy co?

— Możesz go oskubać, możesz go doprowadzić do ołtarza, możesz zająć w ciążę, by ci do końca życia — no, prawie — płacił alimenty, możesz zrobić dużo różnych rzeczy. Możesz też się z nim zaprzyjaźnić, pokochać go. Musisz się tylko poważnie zastanowić, czego właściwie chcesz. Co do niego czujesz. Facet sam wpadł ci w łapki. Masz szczęście, mała!

17.04.2013. *Gosia*

Głowa mnie bolała. Miałam myślenice jak nigdy w życiu. Taki men!
To, że dziany, widziałam od pierwszej chwili. Te detale — zegarek, buty, krawat. Pisałam już.

Gdy zaprosił mnie do siebie, zgodziłam się bez większych ceregieli.

Podobał mi się, był niegłupi, mogłam się od niego co nieco nauczyć, no i miał kasę. Jak wielką, wtedy jeszcze nie wiedziałam.

Nie spodziewałam się, że aż taką, dopóki w jego mieszkaniu nie zobaczyłam tych kilku Malczewskich, dwóch Żaków i jednego Brandta.

Wtedy właśnie zorientowałam się, że ta kasa jest znacznie większa, niż początkowo myślałam. To nie był żaden tuzinkowy dość bogaty biznesmen.

Tak się nad tym zamyśliłam, gapiąc się na abstrakcyjny obraz radziecki, że prawie nie zauważyłam, jak się do mnie zaczął dobiegać.

Potem — prawie, prawie natychmiast — wciągnęło mnie, co tu kryć.

Wiedział, co robić z kobietą.

W przeciwieństwie do Marcuszka. Miękkam w jego rękach i po prostu się rozplywałam.

Dawno się nie kochałam, ale to nawet nie było to.

Był po prostu dobry. Wciągał mnie i wyciągał. Falowałam. Znikałam, gubiłam się i na chwilę wracałam na powierzchnię. To było zupełnie niezwykle, jak morze. Płynęłam wraz z nim gdzieś, gdzie nigdy nie byłam. Czasami chciałam się wydostać, wyzwolić, uciec, a potem wracałam do niego, i chciałam tego więcej i więcej.

Zapomniałam o realu, kasie i tego rodzaju duperelach, dałam się porwać, prowadzić, zatraciłam się kompletnie.

Miałam orgazm.

Wielki wspaniały orgazm.

Pierwszy raz w życiu.

To było jak trzęsienie ziemi. Początek nowego świata.

Mało Marcelemu nie podziękowałam. Prawie się popłakałam. Przytuliłam się do niego i chciałam mu oddać To, co mi dał. Odwzajemnić się. Zaczęłam go pieścić z takim entuzjazmem, jak nigdy nikogo.

Poczułam, że jestem jakąś całością, że jestem pełnowartościową kobietą.

Miałam orgazm!

Nie musiałam już udawać, grać. Zrobił mi to. Dał mi to.

Przedtem myślałam, że no, że ze mnie suka. „Suczki znają sztuczki” — to piosenka Bayer Full, takiej kapeli disco polo. która u nas w wiosce miała szalone wzięcie.

Udawałam. Zawsze udawałam. Z Markiem i jego poprzednikami. Znałam sztuczki.

Lubiłam seks, ale... nigdy...

To mi jednak niszczyło relacje z facetami, byłam zawsze jakoś obok. Tu nie musiałam grać, było mi tak dobrze, byłam naprawdę szczęśliwa. Wreszcie doszłam do kresu.

Poprzednio, z innymi, zabawa zawsze kończyła się dla mnie za wcześnie.

Marcel.

Sama nie wiedziałam, co do niego czuję...

Następnego dnia rano, po tym genialnym seksie, pierwszym w moim życiu orgazmie, cała w skowronkach i głodna jak wiewiórka na wiosnę, pożeglowałam do kuchni, usmażyłam jajecznicę i czekałam, aż Marcelek wynurzy się z łazienki.

Przyszedł tak słodko pachnący, wyświeżony, że miałam ochotę, głupio się nawet przyznać, no, zgwałcić go, natychmiast zaciągnąć do łóżka, by mi powtórzył raz jeszcze To, co się wczoraj zdarzyło, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Oszalałam, zdaje się.

Gapiłam się na niego jak sroka w gnat, jak głodne dziecko w Sudanie na bochenek chleba.

Musiałam jednak sobie i jemu odpuścić. Spieszył się, drań.

Zjedliśmy razem śniadanie, jak jakaś para zakochanych czy coś. Dał mi bez, śliczny,

biały, kwitnący w doniczce bez, i odwiózł do domu.

Tak mi jakoś było słodko. Romantycznie.

A następnego dnia powędrowałam do biblioteki. I zobaczyłam To, co zobaczyłam.

Marcela akurat nie było, gdzieś pofrunął w interesach, a ja musiałam obmyślić strategię.

To, co o nim przeczytałam, całkowicie zmieniało postać rzeczy. Nie mogłam się tak po prostu jak jaka głupia w nim zakochać.

Niestety, strategia była konieczna.

Za duża stawka. Nie wolno pozwolić sobie, by po prostu niosła mnie fala.

Szkoda. Było tak miło. A tu trzeba znowu walczyć i grać.

Czasami byłam już tym zmęczona.

Rozdział 25

16.05.2013. *Gosia*

- Małgosiu! Czy mogłabyś zawieźć te papiery do firmy? Ja muszę mknąć na lotnisko.
- Nie bardzo. Mam egzamin.
- Ale to pilne! Małgosiu!
- Egzamin też jest pilny.
- Ale ja już powiedziałem Kindze, że to przywieziesz. Bardzo cię proszę!
- Okej. Zawiozę.
- Małgosiu! Ten Poleski to straszny skurwysyn, ale mi na nim zależy. Czy mogłabyś wyglądać oszłamiająco i być dla niego miła na dzisiejszej kolacji?
- Jakiej kolacji?!
- No, w Habanerze, nie mówiłem ci?
- Nie.
- Okropnie jestem zakręcony. Dziś o dziewiątej.
- Nie mogę.
- Czego nie możesz? Wyglądać?
- Wyglądać mogę. Ale nie być na kolacji. Mam jutro referat.
- Małgosiu... To ważne. On będzie z tą swoją bezsensowną Ulką. Musisz być, by ją zneutralizować. Bez ciebie nie pogadamy...
- Nie mogę. Muszę się uczyć.
- Poczysz się później. Masz tu dwa tysiące, kup sobie coś ekstra.
- Dziękuję, ale nie potrzebuję. Włożę niebieską sukienkę, w której byłem w operze w zeszłym tygodniu.
- Niebieską?! Nie chcę cię obrażać, ale to szmata.
- Szmata?
- Tak. Szmata. Byle co. Moja kobieta musi mieć klasę. Weź kasę, nie marudź mi głupio, i coś sobie kup. Może Prady, Escady albo czyja wiem... No, ty powinnaś się znać na tych fatałachach. Jak coś widzisz fajnego na pokazie, to sobie po prostu kupuj.
- Ale ja nie mam...
- Wiem, że nie masz. Wyrobię ci kartę kredytową i będę ją spłacał.
- Ale ja nie...
- Nie marudź. Inna by mnie w rękę...
- Co?!
- W rękę pocałowała!
- Mam cię pocałować?!
- Nie, nie masz. Tylko ubierz się przyzwoicie na wieczór. Chyba dużo od ciebie nie wymagam?
- Ale ja mam sesję i muszę się uczyć.
- Poczysz się później. Dziś jest ta kolacja.
- Ale ja...
- Mówiłem już, nie marudź. Inna...

Tak to wyglądało. Wynieś. Przynieś. Pozamiataj. Chodź na party, bądź miła dla pana, chodź do łóżka, weź kasę i kup sobie, nie marudź, nie mam czasu, nie zwracaj mi głowy z łaski swojej... Egzaminy? Później.

Zero ciepła, czułości, troski. Wzrok nieobecny. Myśli gdzie indziej.

W łóżku było znakomicie. Ale jak z niego wyłaziłam, to czułam się jak kurwa. Dobrze płatna, trzeba przyznać. Teoretycznie.

Bo starałam się brać od niego jak najmniej. On to tak podawał, że mnie mdliło. Nie patrzył na mnie. Tylko wydawał polecenia.

A jak zapinał koszulę, to myślał już o czymś innym. Odpływał.

Byłam jego przedmiotem seksualnym. Tak czułam. Gumową lalką. Niczym. Chciał mi dawać kasę, bo nic innego mi nie dawał. Nie miał nic do dania. Nie miał czasu nawet rozmawiać.

Wiecznie się spieszył, skądś wracał, dokądś wyjeżdżał.

Był, a jakby go nie było.

Szklana ściana, absolutnie nieprzemakalny. Każdą próbę zmiany układu przerywał krótkim: Daj spokój, nie marudź, przecież widzisz, jak ciężko pracuję!

Widziałam, ale miałam tego po dziurki w nosie. Chciało mi się wyć. Głośno i przeraźliwie. Może gdybym zawyła, to zwróciłby na mnie uwagę?

A może powiedziałyby: Małgosiu, nie teraz. Później. Zawyj później.

Musiałam z kimś o tym pogadać. Padło, oczywiście, na madame Irene.

Siedziała zakutana w swój czarny szal i podrzemywała.

Jak zwykle.

Opadłam bezwładnie na stojący naprzeciwko jej fotela pluszak i zaczęłam nadawać gwałtownie i dramatycznie:

— To kompletne dno! Upadek! *Shit* Pani Irenko! — Otworzyła oczy i zaczęła się we mnie wpatrywać. — Ten facet chyba nawet nie wie, jak ja wyglądam. Znaczy się, wiem, że wie, jak się ubieram. Nieodpowiednio! Ciągłe mi każe jakieś łachy kupować, wciska mi kasę, wczoraj dał mi kartę kredytową. Robi... właściwie już zrobił ze mnie zwykłą kurwę...! — I zaczęłam chlipać jak Maria Inez w brazylijskim serialu.

Ja, facetka, co miała uwieść bogatego kolesia, wycisnąć jak cytrynę i odzeglować w dal siną. Siedziałam i lkałam jak jaka głupia. Jak mu się znudzę, to wodę po mnie spuści w klozecie i nawet nie zauważy, że mnie nie ma. Będzie już jakaś inna. Inne ciało. Bo jestem tylko ciałem. Marcel jest autystycznym, hermetycznym, psychopatycznym draniem!

Pani Irenka przerwała potok mej wymowy krótkim i energicznym:

— Przesadzasz.

— Ani trochę. On ma syndrom płacenia. A jak płaci, to wymaga. Całuje mnie tylko w łóżku. Nawet się dziwię, że tam. Mógłby przecież w ogóle. Całowanie nie wnosi nic do sprawy.

Pani Irena uniosła wysoko brwi.

Pokiwałam ponuro głową i patrząc jej w oczy, kontynuowałam swoją krwawą story. Historyję biednej wszeteczniczki zagonionej w kozi róg. Tygrysa, co został schrupany przez wilka, którego miał pożreć.

Tak to widziałam.

Kompletne fiasko!

— Poza tym on zawsze albo pracuje, albo gdzieś idzie lub jedzie.

— Może powinnaś się postawić? Porozmawiać z nim?

— Jak? Jego nie interesuje nic, co mnie dotyczy. Moje egzaminy, na które zresztą nic nie umiem, bo łączę z nim na jakieś debilne party. Mam zdać później, bo mam być piękna i pięknie

wyglądać. A, i pachnieć też pięknie. Wszystko pięknie. Jestem gadżetem. Jego kolejnym gadżetem z długiej serii ślicznych panienek, które miał przez krótką chwilę.

— Przed wojną panowie też mówili do pań: *Tais toi et soi belle*. Ale nie do mnie. Ja byłam Irena Górecka. To było coś! Może powinnaś...

— Nie wiem, co się mówiło przed wojną, ale teraz jest inaczej, ja chcę czegoś innego, a ten facet jest zwykłym cyborgiem!

— A jak wam jest w łóżku?

— W łóżku? Super! To jedyne miejsce, gdzie się odnajdujemy i mamy pełne porozumienie. W łóżku go kocham. A on jakby mnie. Jest czuły i miły, dba o mnie...

— Jeśli daje ci pieniądze, czy to takie nieszczęście? Grzeszysz...

— Chyba pani żartuje! Nie jestem putana! Niechby dawał, chętnie wezmę, ale niechby on mnie zauważał, lubił! Marcel tylko pieniądze potrafi dać, nic więcej...

— Czy ty lubisz tego Marcela?

— Lubię. Stąd problem. Wydaje mi się kompletnie porąbany i zagubiony. Jak dziecko w lesie czy mgle. Podoba mi się fizycznie. Mam ochotę go przytulać, gadać z nim. Ciągłe w myślach prowadzę z nim rozmowę. To śmieszne! W myślach! Ten facet żyje jak głupek. Kupuje te swoje gadżety — płyty, książki, obrazy — i składa w nadziei, że kiedyś poczyta, posłucha, popatrzy. Gosposia mu to wnosi do składziku, a on kupuje nowe, wciąż nowe, wciąż nowe... Ma cztery samochody, jeden lepszy od drugiego. Ale nie wiem, czy je odróżnia, bo jak nimi jeździ, to myśli o tych swoich interesach. Jest kompletnym głupkiem. A ja to pieprzę!

— Gosiu, uważaj, co mówisz! Czyli brakuje ci...

— Przepraszam. Jego mi brakuje... Najzwyczajniej w świecie. Ja go nie mam. Nie wiem, co myśli, jak myśli, czego chce. Jak pytam, to mówi, że długo by tłumaczyć. Patrzy na mnie, jakbym wyszła przed szereg. Uzurpowała sobie lub próbowała sobie uzurpować do niego jakieś nieprzynależne mi prawa. Ja... go chyba kocham... i... chciałabym, żeby on mnie...

Pani Irena pokiwała siwą głową.

— Takiego egzemplarza to nie miałam. Przed wojną pracoholizm nie był w modzie. A ty jesteś ciągle taka młoda, jak widać za młoda na taki układ. On pewnie właśnie tego nie rozumie...

— Niechby i pracował! Niech! Ja rozumiem, że musi. Nabrał tyle tego, to musi pilnować. Ale gdyby dla mnie poświęcił cokolwiek... Pogadał ze mną, podał mi herbatę, gdybyśmy poszli razem na spacer. Nic. Zero świadczeń. Jeno seks i kasa. W tenisa gra z kolegami dla relaksu i biznesu. Z nimi też gada o biznesach, dupach i tenisie. Nie czyta nic poza papierami. Nie kocha nikogo. Poza kasą. A może tym motactwem biznesowym. Tak. Motactwo jest dla niego najważniejsze. Kasa jest wtórna.

— To co chcesz zrobić?

— Nie wiem. Nie mogę być z cyborgiem. Czuję się jak śmieć. Jeślibym brała od niego kiesz, czułabym się jeszcze jak kurwa. Staram się nie brać. Ale on ciągle żąda, bym wyglądała! Nie stać mnie na takie ciuchy, jakie Marcel chciałby na mnie widzieć. Ja do tego dokładam!

— Dokładasz?! Żartujesz? — Tu panią Irenę naprawdę trafiło. Ze zgrozą przyglądała mi się jak jakiej bakterii pod mikroskopem.

— Wcale nie żartuję. Utraciłam poczucie humoru. Przynajmniej w kwestii Marcela. Co ja mam zrobić?

— Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

— Jakbym babcię słyszała. Tak właśnie jest. Ja miałam go wyssać do ostatniej komórki, rozkochać i złupić, a potem rzucić jak psa. A jest odwrotnie. Jestem zakochana i złupiona. Ja! Może, aby wykonać plan choć w części, powinnam go rzucić? Zanim on rzuci mnie? Zależy

mi, by mnie zauważał, aprobował, lubił. Kupuję sobie ciuchy, by był zadowolony, by mu się podobać. Za swoje ciężko zapracowane pieniądze, które, jak matka Gęś kapustę, miałam na co innego. Na studia, na mieszkanie może w przyszłości... Robię To, co on chce, a co mi wcale nie pasuje. I histeryzuję, bo czuję, że nic dla niego nie znaczę i zaraz mnie zwolni z pełnienia obowiązków. Jak spotka jakiś lepszy model, nowszą panienkę. Nie mogę się do niego przebić. Niczym. Dowcipem. Intelktem. Czymś umysłowym, nie fizycznym. On jest fizyczny! Szklana ściana. Niedostępny męski umysł.

— Próbowałaś z nim pogadać?

— Jasne. On nie ma czasu. Jemu na mnie wcale nie zależy...

— To co zrobisz?

— To ja się pani zapytuję! Co ja mam zrobić?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. A co chcesz zrobić?!

— Pieprzyć to w cholere!

— Małgosiu! Nie wyrażaj się i nie bądź głupia. Nie rzuca się mężczyzny, który ma takie pieniądze i pozycję!

Prosta prawda.

Byłam głupia. Lubiłam go, a nawet może i kochałam...

Za co? Nie wiem. Ale tak było. Może to ta jego niedostępność mnie kręciła. Wciągała. Może. Chciałam się przez nią przebić. Chciałam, by mnie kochał.

A on mnie tylko przelatywał. Musiałam skończyć z tym badziewiem. Tu i teraz. Zanim będzie za późno.

Zanim stoczę się kompletnie, na samo dno, idąc pod tę górę.

Rozdział 26

23.05.2013. *Gosia*

— Płońsk! Nigdy mnie już nie zobaczą w tym Płońsku! — oznajmił pan Józef, rzucając płaszcz na podłogę.

Pani Józia, która także właśnie weszła do mieszkania, podniosła go, strzepnęła i powiesiła na wieszaku.

Pan Józef postąpił krok w głąb korytarza i rzucił z szyi swój jedwabny szal w tureckie wzory. Pyrgnął go niedbałym gestem na krzesło, wykrzykując przy tym groźnym głosem:

— Nas nie potrzeba uczyć!

Jego siostra wzięła szal z krzesła, złożyła starannie i schowała do szuflady.

Pan Józef zaś z takim rozmachem i furią cisnął teczkę z nutami na stolik stojący pod lustrem, że aż kilkanaście białych kart spłynęło na podłogę.

Pani Józefa z niezmaconym spokojem nachyliła się i zaczęła je zbierać.

Przyklękłam przy niej, by pomóc, i przerażona zapytałam szeptem:

— Co się stało?!

— W Płońsku go obrazili!

— Jak?

— Pojechaliśmy koncertować, ja, Józio i Dragalski, baryton — relacjonowała cichutko, zerkając na wzburzonego braciszka, który szamotał się właśnie z butami. — Po koncercie jakiś miejscowy meloman zgłosił publicznie reklamację. Oznajmił wszem i wobec, że, jak się wyraził, traktujemy muzykę tylko „pekuniarnie”.

— Jak? Co to znaczy?!

— Że nam niby chodzi tylko o pieniądze, że się nie staramy! Gorzej już chyba Józia nie można obrazić!

— Czemu tak powiedział?

— No, właśnie, tu jest pies pogrzebany. Ten typek stwierdził, że Dragalski nie wziął pod koniec arii górnego C, a więc zlekceważył Płońsk! Ni mniej, ni więcej!

— Ooo! Przecież Dragalski to baryton!

— Józeczek usiłował temu panu wytłumaczyć, że barytony z natury rzeczy nie mogą atakować takich dźwięków. Ale grochem o ścianę. Meloman skwitował te Józiove tłumaczenia wykrzyknieniem: „Już my w Płońsku sami wiemy, co można i nie można. Nam nie trzeba tłumaczyć” — i odmaszerował, machając łapami. Straszny skandal! Wszyscy się pokłócili, na widowni i w foyer. A Józeczek się wściekł. Strasznie! Jego posądzić o lekceważenie publiczności i o pekuniarność! Sama wiesz przecie, on się zawsze tak stara. Spala się po prostu.

Pan Józio zniknął w salonie, skąd po kilku chwilach zaczęły dobiegać przeraźliwie głośne akordy. Grał „Rewolucyjną”.

Może się uspokoi.

Wieczorem wpadliśmy na siebie w kuchni. Robiłam właśnie sobie herbatkę, w myślach jednak powtarzając rodzaje czcionek drukarskich.

Uczyłam się w pełnym oblędzie, by nadrobić braki, ale na pogawędkę z panem Józefem zawsze miałam ochotę.

— Przeszło panu?

— Tak. Kompleksy prowincjonalne. Józia ma rację. Nie powinienem w ogóle się tym przejmować, wytłumaczyła mi to. Jednak trochę przykro...

— To ciężka praca, takie objazdy prowincji z recitalami?

— Ciężka, ale bardzo miła. Przeważnie...

— Miał pan już takie historie, panie Józefie?

— Książkę mógłbym napisać. Kiedyś przyjeżdżamy do takiego miasteczka na koncert, a tu nie ma fortepianu. Organizator mówi radośnie: „Myślałem, że przywieziecie ze sobą!”.

— No i co?

— Nic. Zaproponował mi, bym w takim razie zagrał Chopina na akordeonie, bo akordeon to oni mają. Albo kiedyś jeden z konferansjerów zapowiedział: „A teraz najciekawszy otwór Grażyny Tacewiczówny...”. Cała sala tak wyła ze śmiechu, że grać z Ziutą nie mogliśmy. Przeważnie jest jednak bardzo miło... Nie tak jak dzisiaj. A co u ciebie?

— Kuję?!

— A romans?

— Dennie.

— Marcel to mądry człowiek. I tak lubi muzykę...

— Tylko jest zbyt zajęty, by mieć czas dla kobiety. Dla muzyki zresztą też.

— Może powinnaś mu to jakoś wytłumaczyć. Pokazać swoje potrzeby.

— Eh! Ciągle próbuję, ale on w tej materii jest głuchy i ślepy. On mnie nie kocha. Przywykł do warszawskich panienek, którym zależy tylko, by im płacił czy kupował, by je zabierał na galę czy imprezy i by pokazywali je w mediach. A mnie to wszystko nie kręci. Ja... się w nim zakochałam. Idiotka ze mnie?

— Dlaczego zaraz idiotka? Kiedyś to musiało przyjść. Na każdego przychodzi. A ty jesteś młoda, śliczna i wrażliwa. Marcel jest interesującym mężczyzną. Może chcesz, bym ja z nim pogadał?

— Nie. Nie będę się ośmieszać. Czy można dorosłemu, aż za bardzo dorosłemu mężczyźnie coś wytłumaczyć, czegoś go nauczyć? Takemu, co ma władzę i pieniądze?

Popatrzyłam w niebieskie oczy pan Józefa pytająco, a on uciekł mi wzrokiem. I zrobił minę. A ta mina mówiła jasno: raczej nie...

Rozdział 27

12.09.2013. Marcel

Małgosia wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, po drodze zawadzając stopą o kant fotela. Podskoczyła i złapała się za palec u nogi. Rzuciła okiem w moją stronę, czy widzę, jaka z niej niezgraba. Uśmiechnąłem się do niej i przewróciłem na plecy. Podłożyłem ręce pod głowę i spokojnie czekałem, aż wróci na swoje miejsce przy moim boku. Po chwili trzasnęły drzwi toalety i Mag pojawiła się zawinięta w ręcznik kąpielowy i lekko pokremowana. Stare dobre małżeństwo. W niedzielny poranek. Ot co. Tacy byliśmy. Żadne tam orgie. Miły, przyjemny, urozmaicony seks i śniadanka we dwoje.

Takie sceny migały mi przed oczyma. Miło było. Tak...

Było miło. Chciałem mieć ją przy sobie.

Gdzie ona jest? Jasna cholera!

Nie będę tu siedział w tym pokoju i czekał na nią jak jakiś głąb. Coś się musiało stać. Albo może po prostu kogoś spotkała i się zagadała?

Postanowiłem przejść się po okolicy i poszukać jej. To czekanie mnie zabijało!

Było idiotyczne. Dawno powinienem wziąć się ostro do szukania.

A ja co? Szlajam się po kasynach i przelatuję jakieś tanie panienki.

Idiota ze mnie! Z Małgosią cały czas postępuję jak głupek. Tak mam.

Nie wiem czemu. Przecież ona na pewno by mnie nie zostawiła.

Tak sobie. Po prostu.

Lubiła mnie.

Nagle zdałem sobie z tego sprawę. Małgosia naprawdę mnie lubiła.

Może nawet kochała?

Nie wiem, przedtem tego nie widziałem.

Teraz, w tym pokoju, w jednej chwili, w jednym błysku poznania zrozumiałem. Przypomniałem sobie jej spojrzenia.

Gdy się uderzyła w stopę, gdy miałem kłopoty, gdy jej coś kazałem, czegoś się domagałem, gdy z nią dyskutowałem. Gdy się buntowała.

A potem skruszona do mnie wracała. Zdałem sobie sprawę, że to nie moja kasa ją przy mnie trzymała. Małgosia naprawdę mnie lubiła.

Lubiła mnie.

A ja ją.

Tak było. I nie zostawiłaby mnie, ot tak sobie.

Coś musiało się stać...

Aż podskoczyłem z niepokoju. Nie wystawiła mnie, nie porzuciła, jak podejrzewałem w swoim egoizmie, egotyzmie, w swoim autyzmie.

Ciągle mi to zarzucała i miała rację. Nie miałem nigdy dla niej czasu. Zawsze mi się wydawało, że są ważniejsze i pilniejsze sprawy. A z Małgosią się dogadam, odrobnię to zaraz, za chwilę, jak się uporam, jak skończę.

Ciągle jednak pojawiały się jakieś nowe problemy i wyzwania. A Małgosia była na

końcu, na samiutkim końcu ważności moich spraw.

Tak jak zresztą wszystkie moje kobiety.

Nigdy nie miałem dla nich czasu. I dla niej też. Tylko ona jedna się buntowała. Tamte znosiły to spokojnie. Dlaczego?

Może były starsze, doświadczone, bardziej wyrozumiałe. Może bardziej zdesperowane.

Może im nie zależało tak bardzo na mnie, jak zależało Małgosi? Może zależało im inaczej?

Stawiałem sobie pytania. Jedno po drugim.

I rozważałem odpowiedzi. Ważyłem je.

Nie miałem do tej pory czasu, by o tym pomyśleć, by pomyśleć dłużej o moich relacjach z kobietami. One po prostu były. Przy mnie i dla mnie. Małgosia też.

Poświęcałem jej jakieś przelotne chwilki, lekkie pasażyki w dniu codziennym.

Kiedy myślałem o Mag, na usta bezwiednie wypelzał mi uśmiech. Takie ciepłko rozlewało się po sercu, gdy przypominałem sobie, jak się uśmiechała, dziecinnie złościła, jaka była zabawna i bystra w kontaktach z moimi nadętymi partnerami, jak oni wgapiali się w nią z zawiścią i pożądaniem. A ona nie zwracała na nich żadnej uwagi, tylko popatrywała na mnie spod oka, czy widzę, jakie robi wrażenie, jak wygląda, czy bawią mnie jej żarty.

I kiedy dostrzegała w moich oczach błysk aprobaty, cała się rozświetlała i była jeszcze piękniejsza, błyskotliwsza, zabawniejsza.

Gdy sobie to wszystko przypominałem czy uświadomiłem, po raz pierwszy naprawdę się wystraszyłem. Że jej się coś stało, że ją straciłem.

A nie, że mnie zostawiła i ośmieszyła, że się wydurniam, siedząc sam w pokoju hotelowym na jakiejś głupawej Martynice, porzucony przez panienkę.

Cały czas sobie wmawiałem, że nic złego jej się nie stało.

Spotkała pewnie jakieś towarzystwo i wdała się w gawędę. Ona lubiła sobie pogadać z ludźmi. Z portierem w moim domu, z moim kierowcą, z Kingą, moją sekretarką.

Takie miała trochę gminne maniery. Koleżanka wszystkich. No, ale robiła to z wdziękiem. I, w zasadzie, to u niej lubiłem.

Była bezpośrednia. Bezpretensjonalna.

Małgosia była po prostu dobra. Gdybym jej to powiedział, rzuciłaby pewnie we mnie butem. Nie ma większej obelgi dla kobiety niż nazwać ją dobrą kobietą.

Ale Małgosia była tak zwyczajnie, po ludzku, dobra...

Przypominałem sobie naszą scysję o Wojtka.

Dlaczego ja wtedy tego nie widziałem?

Wiem.

Myślałem o Polreco. Tak. Głowę miałem zaprzątniętą fuzją z nimi.

Nie w głowie był mi Wojtek, mój kierowca.

Kombinowałem właśnie, jak najlepiej przeprowadzić transakcję i czy mogę mieć pełne zaufanie do ekspertyz, które dla mnie zrobiło Centrum Watsona, a ta mi głowę zawraca:

— Ten twój Wojtek ma jakiś poważny problem...

— Jaki Wojtek?

— Twój szofer.

— A, ten. Skąd wiesz?

— Widzę po nim.

Zastanowiłem się przez moment, ale po niedługiej chwili wypadło mi z pamięci, co do mnie mówiła.

Miałem tyle spraw na głowie. Ważniejszych.

Nie mogłem pamiętać o każdej pierdole.

A Małgosia z uporem godnym lepszej sprawy następnego dnia wróciła do tematu:

— No i co z tym Wojtkiem?

— Jakim Wojtkiem?

— Twoim kierowcą.

— A co ma być? Czeka.

— Rozmawiałeś z nim?

— Tak.

— No i co?

— Nic.

— Nie ma problemu żadnego?

— Jakiego problemu?

— No przecież ci mówiłam. To o czym z nim rozmawiałeś?

— O pogodzie, że ładna. Co mi mówiłaś? Nie pamiętam...

Wkurzyła się jak cholera. Popatrzyła na mnie wściekłym wzrokiem i odmaszerowała, trzaskając drzwiami niezbyt grzecznie. Wzruszyłem ramionami. Co się czepia, smarkula. Czy ona myśli, że ja mam na głowie tylko jakiegoś Wojtka? Wariatka!

Zadzwoiłem do niej wieczorkiem, by wpadła. Odmówiła. Nie, to nie. Niech spada.

Wpadła Edytka i było miło.

Ale Edytka to nie Małgosia. Czemuś chciałem Małgosi.

Rano zagaiłem Wojtka. Czemu niby taki jakiś przygnębiony.

Popatrzył na mnie jak na raroga. Nigdy o jego prywatne sprawy nie pytałem. Po co mi konwersować z personelem?

Jazda samochodem to jedna z niewielu chwil ciszy i spokoju, jakie mam. Mogę pomyśleć, zrelaksować się. A nie gadać o pierdołach z kierowcą. Niektórych odprężają takie właśnie gadki szmatki, mnie nie. Czy to grzech?

No więc zagadałem. Wojtek zdębiał. A potem powiedział z szacunkiem:

— No, szefie, że też pan zauważył. Jest sprawa!

— Jaka? — spytałem średnio zainteresowany i w gruncie rzeczy zły, że jest coś na rzeczy i będzie mi głowę zawracał.

— Taka, że tacy dwaj przyszli, jak stałem pod Polreco, wsiedli do auta i spytali, czy lubię Urszulkę.

— Urszulkę? Jaką Urszulkę? — Co on mi tu gada? Nagle mnie to jednak zainteresowało.

— Urszulka to moja córeczka. Nieślubna, ale lubię gówniarę rzeczywiście. Sprytne to i przylepne. Skąd te palanty się o niej dowiedziały, za Chiny nie wiem.

— No i co chcieli?

— Bym im mówił, co tu, u pana w samochodzie, się gada. I papiery żebym kopiował, jak pan teczkę zostawi — wypalił Wojtek.

— Powiedzieli, skąd są?

— Nie. Tylko napomykali, że z agencji czy coś. Nie pokazali legitymacji. Pytałem, to powiedzieli, że ciekawy niech wsadzi nos do kawy. Dowcipni tacy... Ale ja tak sobie myślę, że gdyby oni byli z agencji czy policji, toby mnie Urszulką nie straszili.

Zamyśliłem się. Może miał rację, a może nie. Cholera wie...

— To co zrobimy z tym fantem, szefie?

— Jest pan pewny, że nie mamy jakiejś pluskwy w samochodzie, panie Wojtku?

Wojtek aż podskoczył ze strachu.

— Pluskwy? Rany! Nie pomyślałem o tym. Mogli słyszeć, że ja panu gadam!

— Niech pan nie panikuje, panie Wojtku. Gdyby mieli pluskwę, toby nie potrzebowali pana straszyć. Ale trzeba to zaraz sprawdzić.

Spojrzałem na zegarek. Już musiałem iść do Polreco. I to szybko.

— Proszę mnie wysadzić jak zwykle przed Polreco, a pan niech jedzie na Nowowiejską siedemnaście, tam ma biuro taki pan Zbyszek Olędzki, bardzo poręczny koleś. Fortuna ta firemka się nazywa. Mały szyldzik z boku. Pan mu powie, żeby sprawdził samochód. Pod kątem. A potem proszę po mnie przyjechać. Okej?

— Okej.

— Resztę sobie omówimy, jak wyjdę z tej pieprzonej narady.

Tak wyglądała historia z Wojtkiem. Gdyby nie Małgoś, to bym Wojtkę nie spytał. A on może nie zdecydowałby się mi powiedzieć. Przez dwa dni milczał, wiercił się, wzdychał i myślał, co zrobić. Zapytany wprost, powiedział.

I dzięki temu dowiedziałem się, że ci z Polreco grają nieczysto. Aż tak nieczysto. Bo że nieczysto, to i tak wiedziałem. Jam nie dziecko.

Zbyszek, dzięki Bogu, nie znalazł pluskwy. Wysłałem Urszulkę z jej mamusią na trzytygodniowe wakacje do Grecji, by na razie zeszyły z oczu.

Zbyszek Olędzki zaczął się na tych dwóch, gdy przyszli znowu do Wojtkę. Namierzył ich i dowiedzieliśmy się, że to nie ABW, tylko, tak jak podejrzewałem, ludzie Polreco. Kamień spadł mi z serca. Jedna rozmowa i ich zneutralizowałem.

Wojtkowi dałem sowitą premię. Zasłużył. Czyli, mówiąc ogólnie, happy end.

No... tylko ja zostałem z nadąsaną Gosią.

Zadzwoiłem do niej jakby nigdy nic, zaprosić ją na kolację do Belvedere. Tylko we dwoje. A niech! Zainwestuję, by wiedziała, że ją lubię. Odmówiła, wykręcając się nauką.

No to pojechałem na Mokotowską. Rzeczywiście, siedziała w pokoju i kuła jak smarkula jaka. Wzruszyła mnie. Od razu chciałem ją przelecieć, tam, wśród tych jej skryptów i notatek.

Dostała szału. Zupełnie jej nie rozumiałem. Tak. Przecież do niej poszedłem. Jak jaki student. A ona nic. Pokajałem się, skoro tego chciała. Opowiedziałem o Wojtku, że go szantażowali. I pochwalilem się, że wysłałem małą Wojtkę do Grecji. To jej się spodobało, tak jak myślałem. Pochwaliłem ją za czujność.

Tylko na mnie popatrzyła tak jakoś.

I się uśmiechnęła. Lekko kpiąco.

Ale wcale nie chciała iść na kolację, nie chciała się kochać na skryptach.

Chciała się uczyć. Dała mi buzi i wypchnęła za drzwi. Z obietnicą, że musimy porozmawiać. Taka była. Niepokorna i kłopotliwa.

Rozdział 28

10.06.2013. *Gosia*

Znowu sesja. Nie wiem, w co ręce włożyć. Czy raczej co czytać. Co pilniejsze, co ważniejsze. Poza tym pochlastałam się żdziebko z Marcelem. I to mi trochę przeszkadza skupić się na nauce. No bo jeśli on naprawdę się obrazi? Jeśli to koniec? Staram się o tym nie myśleć.

Ale nie bardzo mi się to udaje.

14.06.2013. *Gosia*

Nie obraził się. Przyszedł i chciał mnie przelecieć. A niech go...

Wkurza mnie na okrągło. Ale dobrze, że się nie obraził. On jest jak dziecko. Nedorozwinięte. Może powinnam studiować pedagogikę specjalną?!

22.06.2013. *Gosia*

Marcel się pieni. Tęsknię do niego jak opętana, ale nie mam czasu.

Ta sesja to być albo nie być. Muszę się przeturłać, żeby nie wiem co.

27.06.2013. *Gosia*

Finito. Ostatni egzamin. A jak i czy zdałam, to się dopiero okaże. Idę spać.

Ach! Chciałabym mieć tu przy sobie jakiegoś ciepłego Marcelka. Ale może lepiej, że go nie mam. Przynajmniej się wyśpię...

1.07.2013. *Gosia*

Marcelkowi odbiło i chciał mi wcisnąć jakieś autko. Śliczne zresztą.

Nie wzięłam. Postanowiłam nic od niego nie brać. Może głupio, bo powinnam brać, co daje. Tyle mi po nim zostanie. Ale postanowiłam nic nie brać i nawet autka odmówiłam. Niech mu to da do myślenia. Innej metody nie ma. Przynajmniej ja nie znam.

Pan Józio orzekł, że to jedyna droga, by Marcel mnie zauważył.

Robić, co się da, na opak. Pani Irena z kolei powiedziała, że to najlepsza droga, by stracić Marcela — utrudnianie...

No, ale jak nie utrudniam, to jakby mnie nie było. Nie zauważa mnie.

Gdy mu odmówiłam tego autka, to dwa dni mi się bacznie przyglądał i bardziej skwapliwie o mnie zabiegał. Taki był milutki i niepewny, czego chcę i co zamierzam. Do czego zmierzam. W co gram. Aż mi się serce grzało. Porąbany mam z nim układ, to pewne. Może to

wysoka cena — uwaga Marcelka za autko. Ale widziałam, że go niepokoję, że zaprzętam jego myśli, że nie jest mnie pewien. Zrobiłam szczelinę w tym jego murze nieczułości, pewności siebie, obojętności.

Naprawdę było mi z tym dobrze, mimo że trochę autka szkoda. Takie było piękne! Chciałam je. Ale bardziej chciałam, chcę Marcela. Mam pokrętny tok myślenia. Czasem sama siebie nie rozumiem. Coś we mnie pękło.

Wolę faceta niż samochód. Czy to nie głupie?

Choć z drugiej strony, pocieszam się, musiałabym ten samochódzik utrzymywać.

No i nie mam prawa jazdy.

Ani nawet czasu, by je zrobić. Głupstwa plotę. Tak. Ale ja chyba głupia jestem. Tak podejrzewam ostatnio.

Jutro lecę do Nowej Zelandii. Mam zlecenie od agencji Elite.

Nowa Zelandia. Piękne miejsce. Tam kręcono „Władcę Pierścieni”.

Trzy tygodnie bez Marcelka.

Ciekawe, czy mnie całkiem zapomni i znajdzie sobie jakiś nowy model?

Łatwiejszą niż ja panienkę. Może nawet młodszą. Stać go, to pewne.

Serce mnie boli. Nie wiem, jak bym to przeżyła.

Ale muszę lecieć. Potrzebuję zarobić nieco grosza.

Mam oblane trzy egzaminy. Zdam je jesienią. Nie podchodziłam do dwóch i też mi zostały na jesień. Ale ogólnie nie wyszłam źle na tych studiach. Innym poszło gorzej, mimo że nie pracowali tak ciężko jak ja.

Chciałabym w przyszłym roku jednak mniej trochę pracować, a więcej się uczyć...

Jak wrócę z New Zeland, pojedę do domu. Do Jagińtkowa. Tak postanowiłam.

12.09.2013. Marcel

W szybkim tempie obleciałem wszystkie miejsca, w których już dzisiaj byłem i szukałem Małgosi: plażę, restaurację, basen. Nie było jej. Spytałem recepcjonistę. Był już nowy, nie ten ze śmiesznym wąsikiem, który przywazył ją wczoraj, gdy przyjechaliśmy.

Ten jej nie kojarzył i nie widział. Powiedziałem, że zaginęła moja przyjaciółka i chciałyby pójść na policję. Zapytałem o najbliższy posterunek.

Coś musiało się stać. Nie mogła zniknąć tak bez słowa.

Kiedy spytałem o posterunek, zimny pot oblał mnie całego.

Poczułem jakąś nieuchronność tego, co mnie czeka. Straciłem ją.

Straciłem na zawsze.

Stało się coś strasznego. Wiedziałem to na pewno. Nie mogłem się dłużej oszukiwać.

Musiał się Mag coś przydarzyć i to coś naprawdę bardzo, bardzo złego.

Najgorszego.

Recepcjonista zaczął mówić, przekonywać mnie, bym się jeszcze wstrzymał z zawiadaniem policji, bo być może mademoiselle znajdzie się niebawem.

— Tu tyle pokus — dodał znacząco. — Po co wywoływać skandal?

Głupi palant. Małgosia nie ulegała żadnym pokusom. Na pewno nie.

To przyzwoita dziewczyna. Powinienem dać temu obleśnemu draniowi w zęby, od razu poczułbym się lepiej, ale miast tego zażądałem rozmowy z dyrektorem hotelu.

Portier zaprowadził mnie do eleganckiego szafirowego gabinetu, położonego na tyłach całego tego rozległego kompleksu budynków. Szło się tam i szło po krętych, pachnących

nowością korytarzach.

Gabinet był pusty. Opadłem na rattanowy fotel i nałamię sobie wody mineralnej, którą zaproponował mi recepcjonista.

Nie miałem siły myśleć. Opanowała mnie kompletna beznadzieja. Nie czułem głodu, pragnienia. Nic.

Za oknem zapadał zmierzch. Małgosi nie było już prawie jedenaście godzin.

Po mniej więcej pięciu minutach, w czasie których wpadałem w coraz głębszą depresję czy histerię, a może raczej mieszaninę obu tych stanów, w pokoju pojawił się zażywny jegomość w nienagannym błękitnym garniturze, jasnoniebieskiej koszuli i perfekcyjnie dobranym krawacie w lekką szarobłękitną kratę. Już od progu wyciągnął do mnie rękę, ubrał twarz w profesjonalny uśmiech typu *say cheese* i przedstawił się z pewną emfazą jako Maurice Jacques Derigny, dyrektor hotelu.

— Czym mogę służyć? — zapytał lekko zachrypniętym głosem i wbił we mnie baczne spojrzenie swoich, jakżeby inaczej, błękitnych oczu.

Zreferowałem po raz wtóry sprawę.

Zatroskał się.

Nie chciał skandalu, afery. To szkodziło interesom. Radośnie zakomunikował mi, że zaraz, za chwilę rozwiążemy ten problem, i sięgnął po słuchawkę telefonu. Wlepiłem w nią wzrok.

Tak był sugestywny w tej swojej pewności siebie, a ja tak wymęczony, że byłem skłonny przypuszczać, że za pomocą tej słuchawki i tego, co do niej powie, tu zaraz, za chwilę, Małgosia zmaterializuje się, cała i zdrowa.

Derigny coś tam zakomenderował, coś, czego nie rozumiałem, i po krótkiej chwili pojawił się hotelowy detektyw, któremu po raz kolejny musiałem opowiedzieć swoją odyseję.

Byłem już naprawdę zmęczony całym tym dniem i powtarzaniem tej historii.

Ogarniało mnie coraz większe znużenie. Upał, alkohol i stres spowodowały, że byłem spowolniony, bezwolny i drętwy. Nawet mówienie sprawiało mi trudność.

Ten upał był nie do zniesienia. Cała sytuacja była nie do zniesienia.

Strużki potu spływały mi po czole. Pod pachami miałem mokre plamy. Wyglądałem jak jakiś robot po ciężkim dniu. Spieczona wargi i suchy język. Czułem się tak, jakbym był martwy.

Detektyw — wielki, gruby i czarny — o niewymyślnym nazwisku Jones wylewał się z za ciasnego garnituru i pocił jak hipopotam na brzegu Nilu, ale słuchał uważnie, skupiony. Gdy skończyłem swoją story, spokojnie i metodycznie zaczął mnie wypytywać.

W jego oczach czaiła się inteligencja. Podświadomie nabrałem do niego zaufania. A może po prostu chciałem już zrzucić na cudze barki cały ten problem z Małgosią.

Nie miałem pomysłu, gdzie jej szukać. Nie miałem też sił.

Najlepiej niech zajmie się tym ten Jones. Ja muszę odpocząć. Coś zjeść. Przespać się. Powinienem się przespać.

Odpowiadałem z trudem na zadawane mi przez tego czarnucha pytania. Sama artykulacja zdań sprawiała mi trudność. Mówiłem nieskładnie. Rozpadłem się, tak to wyglądało.

Pytał, czy się pokłóciliśmy, czy Małgosia mogła coś sobie zrobić, czy miała tendencje samobójcze, czy nie była czasem w depresji, czy brała narkotyki, czy piła.

Szkoda, że mnie nie spytał, czy się szlajała. Dałbym mu w pysk, choć nie wiem, czy miałbym siłę podnieść rękę. Widziałem świat za mgłą. Może zacznę płakać. Byłem pijany.

Zmęczony. Załamany. Ja, twardy zawodnik. Rekinek. Hienka.

Skupiłem się jednak i starałem odpowiadać grzecznie i wyczerpująco na te wszystkie przygnębiające pytania. Czy miała paszport, pieniądze, czy zniknęły jakieś ubrania.

Po zakończeniu krótkiego przesłuchania Jones wraz z dyrektorem poprosili mnie, bym nie zawiadamsiał policji. Na razie. Do jutra. Zgodziłem się z łatwością. Nie wiem, czybym zniósł kolejne opowiadanie całej tej historii na miejscowym posterunku. Czuję, że uszło ze mnie powietrze.

— Najpierw — powiedział dyrektor — Sigismondo...

Na dodatek czarny detektyw miał na imię Sigismondo. Sigismondo Jones — naprawdę pięknie.

A więc *monsieur directeur* powiedział:

— ...Sigismondo poszuka mademoiselle, a dopiero jak to nie da rezultatów, zgłosimy na policji zaginięcie panny Habich.

Zgodziłem się. Na wszystko bym się zgodził.

Sigismondo Jones wyglądał na sprytnego kolesia. Może coś wymyśli mądrego. Ja byłem wyprany z wszelkich pomysłów.

Wręczyłem Jonesowi Małgosiny paszport ze zdjęciem, na które zerknął i skomentował: — Niezła — i cały spocony wytoczył się z gabinetu dyrektora.

Kiedy ubyło w pokoju Jonesa, zrobiło się w nim jaśniej, przestronniej i chłodniej.

Ale też pustawo i smutno.

Dyrektor, zafrasowany i jakiś zdeprymowany, zapytał:

— Czy mogę panu jeszcze jakoś pomóc?

Czuję się jak ostatni głupiec. Mądrym dziewczyny nie nawiewają.

— Niech pan ją znajdzie. Albo ten Siggy. Dam mu niezłą gratyfikację, proszę mu to przekazać — wycodziłem zły, jakby to on był winien, że jej nie ma.

Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem, trzaskając z całej siły drzwiami.

Cholera! Gdzie ona jest? Co się stało?! Może powinienem zadzwonić po tego palanta detektywa Putkowskiego?! Nie miałem lepszego pomysłu.

To, że pomyślałem o nim, najlepiej świadczyło, w jakiej byłem desperacji, w jaką wpadłem panikę. Chciało mi się spać, byłem wykończony, ale przecież nie mogłem ot tak sobie paść do łóżka i zasnąć, gdy Małgosia... gdy nie wiadomo, co z Małgosią. Pomyślałem, że niewielki spacer przywróci mi do życia. Powlokłem się na plażę. A tam siłą woli, ostatnim rzutem na taśmę zmobilizowałem się do szybkiego marszu. Postanowiłem wypocić z siebie i stres, i alkohol.

Znad ciemnego już morza wiał chłodny wiatr. Nie było ludzi. Nogi grzęzły w piachu, spodnie zalewała woda, dopadająca co i raz moich nóg. Słyszał było daleki gwar dobiegający z położonych tuż przy brzegu knajpek. Jak w jakimś amoku brnąłem dalej i dalej w głąb plaży. Szedłem szybko, cały czas targany myślami i niepokojem. Usiłowałem pozbyć się tych myśli, zrelaksować choć przez chwilę, ale nie mogłem.

Byłem w panice, strasznej panice, z którą nie umiałem sobie poradzić.

Rozdział 29

4.08.2013. Gosia

— Co ty na sobie masz? — zapytała pani Ziućka pana Józia przy śniadaniu.

W jej głosie było coś takiego, że podniosłam wzrok znad puszystego omlećka i przyjrzałam się panu Józefowi.

Ten spojrział na siebie, wzruszył ramionami i odparł z niezmaconym spokojem:

— Jak To, co? Blezer na sobie mam. Coś z nim nie tak?

— Jak najbardziej tak — powiedziała niepokojąco spokojnym głosem pani Józia. — Ale co ty masz pod blezerem, Józinku?

— Pod blezerem... — Pan Józio się zastanowił. — No co mam mieć, Ziućko? Mam koszulę. Czego ty ode mnie chcesz?!

Ja i pani Helenka z trudem tłumiłyśmy chichot, ale pani Józia z kamienną twarzą dalej dręczyła swojego braciśzka.

— Tak, masz koszulę. A pod koszulą?

Pan Józio już się zdenerwował na dobre. Zaczerwienił się i zaperzył. Czuł w powietrzu żart, więc ciut za głośno i za wysoko wykrzyknął:

— Czy ty chcesz, bym tu przy Małgosi i Helence striptiz ci robił, kobieto?! Mam To, co każdy prawie mężczyzna ma pod koszulą. Podkoszulek mam!

Zachichotałam i zaraz zamilkłam, bo poczułam, że to jakby nielojalność w stosunku do pana Józia.

— Na pewno?! — dociekała niespłoszona tymi pokrzykiwaniami pani Ziućka.

— Na pewno!

— To może popatrz jeszcze raz...

Pan Józef popatrzył i go zatkało. Aż głośno złapał powietrze.

A my, podłe, wybuchnęłyśmy śmiechem.

Miał koszulę i krawat, jak najbardziej.

Ale kiedy pod wpływem sugestii pani Józia rozluźnił krawat i rozpiął koszulę, ukazała się naszym oczom ni mniej, ni więcej tylko druga koszula i... drugi krawat. W gustowne grochy.

— Co? Co to? — zaczął wykrzykiwać speszony pan Józio. — Skąd to się tu wzięło?!

— No chyba sam to włożyłeś — odpowiedziała pani Józia.

— Ja? A niby dlaczego miałbym wkładać? Drugi krawat? No nie! Skąd to się tu wzięło?

— Józiu, zostawmy dociekania skąd. I tak nie dojdziemy, jak to się stało. Choć ja mam swoje podejrzenia. To krasnoludki pewnie. One takie są. Psocą. A ty, Józiu, jesteś ich niewinną, acz ulubioną ofiarą. Teraz idź i się przebierz. Szybciutko. To znaczy, nie zmieniaj wszystkiego, tylko zdejmij górną warstwę twoich koszul i krawatów. Bo chyba masz ich tylko dwie? Nie ma tam jeszcze jakichś? A spodnie też sprawdź, koniecznie. Może masz podwójne... Gdybyś tak wystąpił przed publicznością w Piasecznie, mielibyśmy sukces murowany. Grać by nam nie pozwolili. Ze śmiechu.

Biedny pan Józio popatrzył bezradnie na szydzącą jadownicie mentorskim tonem siostrzyczkę, machnął ręką i bez jednego już słowa podniósł się z krzesła i zniknął w salonie, który służył mu za sypialnię.

Pani Józefa posmarowała kromkę chleba masłem, nałożyła sobie suto szynki, ozdobiła to wszystko pomidorkiem i filozoficznie powiedziała, jak to miała w zwyczaju:

— Kompletny dystrakt z tego Józia. Coraz z nim gorzej.

— No... — Pani Helenka pokiwała z aprobatą głową, wgrzyzając się z dużą siłą w swoją kanapkę. Wczoraj na ten przykład poszedł ze mną Józio na bazarek, by mi pomóc nosić zakupy. Czasem go proszę, jak mam co ciężkiego do niesienia. A akurat miałam, myślałam kupić kapustę, cebulę i worek kartofli, taki nieduży, z pięć kilo. A tu jakiś pijak nas zaczepia, by mu dać parę groszy na piwo. Powiadam wam, gęba straszna i zionie od niego jak z gorzelni. Ja się usunęłam, udaję, że nie słyszę, a Józio natychmiast rzucił cebulę na ziemię, kartofle na ziemię, i zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy. Ale, jak to on, jak zwykle nic nie miał. Zapomniał portfel przełożyć. Jak zawsze. Chciał ode mnie pożyczyć, ale mu twardo powiedziałam: Pijakowi nie dam. Pijak skamuczy, że łeb mu pęka. Mnie pęka od tego skamuczenia. Józio mu współczuje, jakby ten pijaczyna spod ciemnej gwiazdy był ofiarą powodzi albo i pożaru. Mówię Józiovi: Zostaw tego pijaczynę! A ten nic, tylko szuka pieniędzy... Mówię: Jak musisz dać, to daj parę groszy jakiejś matce z dzieckiem albo staruszce. Na wódkę nie dawaj. A on nic, tylko szuka. Nagle wpadł na pomysł. Ściągnął z głowy swój kapelusz słomkowy i daje temu pijakowi. Pijak nie chce brać i gapi się na kapelusz z odrazą. Po co mu stary kapelusz. Ja nie pozwalam dawać, bo to porządny kapelusz i takiego teraz nie dostaniesz, ale Józio mi się wyrywa i wtyka kapelusz temu łazędze. Ludzie się gapią, co się dzieje. Krzyczę na Józia. Robi się istny kabaret. A Józio nic, tylko wpycha pijakowi swój stary kapelusz. Pijak za nic nie chce kapelusza — chce pięć złotych na piwo i tyle. Ja już, ze wstydu samego przed ludźmi, szukam pieniędzy. Szkoda mi też kapelusza. A Józinek dalej swoje, wyjaśnia brudnemu pijakowi, że może sprzedać panamę na piwo. Pijak się śmieje i pyta o jaką panamę chodzi i kto to kupi taki stary kapelusz. Józio się zmartwił. W końcu znalazłam pięć złotych, dałam pijakowi i ocalałam kapelusz. Ale się wstydu najadłam! Już wolę sama cebulę nosić, niż tak przed ludźmi oczami świecić. Ten Józio to kompletny wariat.

— Józio wszystko by rozdał.

— Ja mu tłumaczyłam w powrotnej drodze jak komu mądremu, że takiemu pijakowi to wstyd dać. I wiesz, Józiu, co on mi na to powiedział? „Dlaczego mnie wolno się napić wódki, a temu biedakowi nie? On ode mnie biedniejszy i on bardziej może potrzebuje się napić, by zapomnieć, niż ja. Bo on w biedzie i nieszczęściu. Ja bym się ucieszył, jakby się za ten kapelusz napił i lepiej poczuł. On cierpiał. Ja to czułem”. Dziwny on jest ze wszystkim, ten Józio!

— Oj, dziwny! Masz rację, Helenko. Niedzisiejszy. Nieżyciowy. On w obłokach.

Tak sobie obie panie opowiadały przypadki życiowe pana Józia, który trochę zmieszany pojawił się w jadalni ubrany jak trzeba — w jedną koszulę i jeden krawat.

Ten w zabójcze grochy.

Opowieść pani Helenki o panu Józiovi i pijaku rozrzewniła mnie, choć do pijaków sympatii żadnej zgoła nie czułam.

Tylko do pana Józia. Diogenesa w kapeluszu i dwóch koszulach.

To był człowiek nie z tego świata. To jedno pewne. Żył tylko sztuką i muzyką. Gdyby zabrakło naszych pań, zginąłby jak piesek, co wypadł z sań.

Minęło prawie pół godziny, gdy po wielkim zamęcie, zgiełku i zamieszaniu brat z siostrzyczką pozbiali już wszystkie swoje torby, paczuszki, teczki z nutami i najważniejsze skrzypce, po które jeszcze wrócili po kwadransie i które im podałam, czekając w drzwiach, bo zauważyłam, że nie wzięli.

Pojechali koncertować do Piaseczna.

W mieszkaniu zrobiło się cichutko i pusto. Pani Helenka zniknęła w swoim pokoju, a ja

zapukałam do pani Ireny.

Siedziała jak zwykle w swoim przepaścistym fotelu i oglądała przez wielką lupę album z fotografiami. Gdy weszłam, skierowała na mnie lupę, aż mi się od takiego prześwietlenia zrobiło nieswojo, i powiedziała:

— Oglądam stare zdjęcia. Popatrz. To ja na partii krykieta w Żwirbliszkach.

Na wypłóviałym zdjęciu widać było panią Irenkę w wielkim kapeluszu, uśmiechającą się promiennie do obiektywu.

Wszyscy patrzyli na nią, a nie w obiektyw. Obok niej stał mężczyzna piękny jak Apollo. I też się w nią wpatrywał jak urzeczoną.

— Kto to? — zapytałam.

— Ten? Nie wiem.

Zatkało mnie.

— Nie wie pani?

— Nie. Jakiś gość Rogackich, właścicieli Żwirbliszek.

— Ale on tak na panią patrzy...

— Na mnie wszyscy tak patrzyli.

— Ale on jest taki piękny!

— Piękny? — Skierowała swoją lupę na twarz mężczyzny w białym swetrze.

— Przystojny, rzeczywiście, ale nie pamiętam go.

— A czy na tym zdjęciu jest ktoś pani bliski?

— Tak. Ten w czapce z daszkiem. Antoni. Kochałam go.

Spojrzałam na faceta w czarnych okrągławych okularkach na krzywym nosie.

— Tego pani kochała? — zdziwiłam się niezbyt grzecznie. — Tego?!

— Tak. Tego. Antosia. Był bardzo zabawny. Ciągle się z nim śmiałam.

— Co się z nim stało?

— Zginął w powstaniu. Od przypadkowej kuli. Lubiłam go. Gdyby nie zginął, pewnie bym za niego wyszła.

— Był bogaty?

— Antoni? Nie, niespecjalnie. Dlaczego pytasz? Był dziennikarzem i autorem tekstów kabaretowych. Pisał dla mnie bardzo piękne piosenki. Na przykład ta, pewnie znasz: „Czarne oczy dziewczyna ma. Na gitarze gra...”.

— Nigdy nie słyszałam...

Pani Irena, zdziwiona moją ignorancją, uniosła wysoko brwi, a ja dociekałam dalej:

— Ale mówiła pani, że miała u swoich stóp najlepszych mężczyzn epoki. A chciała pani wyjść za dziennikarza biednego i z krzywym nosem?!

— Miałam. Ale ze wszystkich mężczyzn w moim życiu, a było ich a było, najbardziej lubiłam Antoniego. On mnie rozumiał. Kochał mnie. Dbał o mnie. Dla mnie samej. Nie zależało mu, by się mną chwalić. Lubiliśmy się, przyjaźniliśmy i kochaliśmy. Mogliśmy rozmawiać ze sobą godzinami. Rozśmieszał mnie bezustannie. Teraz wiem, a wtedy zaledwie przeczuwałam, że wspólny śmiech i zabawa, rozmowa i zrozumienie to właśnie To, co najbardziej łączy i zbliża.

Śmiech jest bardzo, bardzo ważny. Najważniejszy. Teraz to wiem. Gdyby nie wojna...

— Więc nie wyszła pani za męża dla pieniędzy?

— Czemu tak myślałaś? Miałam bogatych kochanków i przyjmowałam prezenty. Takie były czasy. Nie byłam dziewczą, cnotką czy bigotką. Przeżywałam fascynujące przygody z mężczyznami. Ale kochałam Antoniego. Gdy go poznałam, chciałam tylko jego. Nie miałam ochoty zakuć się w kajdany. Wejść w jakąś klasę czy grupę społeczną, sytuację, w której bym się źle czuła. Wiele moich koleżanek tak robiło. I się męczyły, całe życie grając jakąś rolę. Lepiej

lub gorzej. Ja coś osiągnęłam. Byłam kimś. Nie musiałam się zaprzedać, mogłam być sobą. Z człowiekiem, którego kochałam.

— Więc dlaczego pani mnie namawiała, bym uwiodła Marcelę, bo ma kasę?

— Nie namawiałam cię. Mówiłam, że możesz z tym zrobić różne rzeczy. Od ciebie zależy, jakie. Trafiłaś na kogoś, kto jest kimś i kto ci się podoba. I świetnie, że jest zamożny. Ty jesteś biedna, więc... Co z tego wyniknie, zależy w dużej mierze od ciebie. Od tego, czego będziesz chciała. A czy ty wiesz, czego chcesz?

— Nie.

— No to pomyśl. Powinnaś wiedzieć.

Tak wyglądała moja rozmówka z panią Ireną.

Ciągle stawałam pod ścianą.

Czy ja wiedziałam, czego chcę? Chciałam Marcela. Dla niego samego. A czy Marcel chciał mnie?

I czy To, co miał mi do zaproponowania, czy życie z Marcelem to byłoby To, czego naprawdę chciałam? Nie wiedziałam, ale wiedziałam jedno: muszę pomyśleć. A nie biec na oślep.

Rozdział 30

11.08.2013. *Gosia*

Stodoła stała, brona leżała, kury dziobały. Ojczyzna nie było. No i dobrze.

Mama się popłakała, jak mnie zobaczyła. Ja się popłakałam. Dzieciaki mnie obskoczyły jak stado małek. I krzyczały jedno przez drugie. Co krzyczały, to nawet nie wiem. Nic nie można było zrozumieć. Taki był gwar.

Moja wielka chwila nastąpiła, gdy zaczęłam z kraciastej przepastnej torby z nalepkami linii lotniczych na rączce wyładować prezenty na kuchenny stół przykryty podartą ceratą.

Niczym Mary Poppins wyciągałam coraz to nowe paczki i paczuszki.

Było tego dobra a było. Czajnik elektryczny, żelazko na parę, sweter — dla mamy. I sześć par rajstop, by nie chodziła w pozaciąganych. Dla dzieciaków ciuszki różne, wszystko super i modne. Wiedziałam, o czym się marzy, jak się w kółko chodzi w starych łąchach po rodzeństwie albo z opieki.

Pół sklepu z zabawkami kazałam zapakować. Miałam nie mniejszą radochę niż dzieci, kiedy te wszystkie cuda dla nich wybierałam. Nie mogłam wyhamować. Prawdziwa się ze mnie zrobiła miastowa zakupoholiczka.

Jarkowi kupiłam piękny, supermodny sweter.

W New Zeland mu kupiłam ten sweter, a był on z prawdziwej owczej wełny. Mięciutki i kolorowy. Należał mu się. Jego akrylak długo mi służył.

W domu zapanował istny karnawał. Czyste szaleństwo. Odpakowywane paczki witane były najpierw chwilką ciszy, gdy słycać było tylko wstrzymywane oddechy i szelest papieru, a potem głośnymi okrzykami zachwytu całej tej umorusanej czeredy. Moich braci i sióstr.

Miód na serce.

Powrót córki marnotrawnej. Ale takiej, która odniosła sukces. Wielki sukces. Nawet mama nie mogła w to wątpić. Postarałam się o jak najlepszy efekt. Nawet wino francuskie przywiozłam. Kupiłam je w Paryżu. Nie omieszkałam tego rodzinie zakomunikować, że ono prosto z Paryża.

Zrobiło to stosowne wrażenie.

Mama wydukała, patrząc na mnie wielkimi oczami:

— Byłaś w Paryżu?!

A ja skinęłam głową i powiedziałam skromnie: — Tak.

— Skąd wzięłaś pieniądze na to wszystko? — zapytała, nakreślając ręką koło nad stosem prezentów zalegających stół. — Przyznaj się — powiedziała. — Napadłaś na kasę w geesie? Mały włam? Tak po drodze do nas?

Zaśmiałam się głośno. Moja mama żartowała. Tak rzadko to robiła, że nawet już nie pamiętałam, jaka potrafiła być kiedyś, w lepszych czasach, zabawna.

Jarusz, mimo upału ustrojony w nowy sweter, pomknął do babci i szybciotko przyprowadził ją do nas. Przytruchtała w swojej szaroburej, pozbawionej kształtu sukieneczynie.

Lekko pochylona mrużyła oczy i przekrzywiła głowę, patrząc na stosy paczek.

Dla niej też miałam niezgorszą rakiętę prezentów. Uroczyście je wręczyłam.

Jak jaki order. To naprawdę był mój wielki dzień.

Mama pochlipywała. Babcia pochlipywała, a dzieciaki piszczały. Ach.

Istny serial latynoamerykański. Kochałam te klimaty.

Wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego. Mama z babcią oglądały pod światło, nie wiem czemu właśnie tak, w jakim gatunku jest koszula, co ją ojczymowi kupiłam. Bo i jemu kupiłam prezenty.

Trzeba politykować. Nie ma to tamto. Ja nie głupia panienka. Mama się bardzo ucieszyła, że i o nim pamiętam. Coś tam nawet powiedziała, że nie taki on zły, jeśli na tyle cudzych dzieciaków pracuje.

No cóż. Może i tak.

Byłam jak wróżka z bajki rozdająca dary, gdy tak stałam wśród tej rozwrzeszczanej bandy.

Warto było ruszyć w świat. I go podbić. Tak. Ważna jest i droga, i cel.

Gdy skończyło się oglądanie prezentów, kiedy wszystkie zostały rozdane, dzieciaki porwały co ich i pomknęły na wieś, pokazywać swoje łupy koleżankom i koleżkom mniej szczęśliwym, bo niemającym tak zaradnej miejskiej siostrzyczki.

Usiadłam przy pustym już stole, mama zaparzyła herbatę, którą przywiozłam, truskawkowo-śmietankową, a jakże.

Zalała ją wodą z nowego czajnika i zaczęłyśmy gadać.

Dzieciaki się zmyły i zapanowała dziwna, niecodzienna cisza i spokój. Słysząc było jedynie przeraźliwy jazgot kundla na podwórzu i syczący na kuchni garnek z parowanymi ziemniakami dla świń.

Opowiadałam, co u mnie. A one obie, mama i babcia, słuchały, prawie nie pytając.

Mama miała wielkie zdziwione oczy, babcia nieco mniejsze, no bo co nieco już słyszała i wiedziała. O modelingu, wyjazdach zagranicznych, pani Irenie i panu Józefie, o moim życiu. Pokazywałam zdjęcia z pokazów, te z prezydentowa, oczywiście, włożyłam jako pierwsze do albumu, fotografie Marcelego ze mną w gazetkach kolorowych, bo i takie miałam...

Chwalałam się jak głupie pięcioletnie dziecko. Ale czułam, że tak trzeba. Tak jest dobrze i mądrze. Nie ma co zgrywać tu w Jagniątkowie zimnej suki, co to jej nie zależy. Chciałam się pochwalić, chciałam, by się cieszyły.

Stąd wyszłam i tu jest moja miara rzeczy.

— No i co, babciu? Jak ci się to wszystko podoba? — zagałam, bo potrzebowałam słów potwierdzenia, mimo że sama wiedziałam, że mi się udało, że zaskoczyło, że wygrałam.

— Przeskoczyłaś wszystkich. Co ma mi się nie podobać? Podoba.

— A ty mamó? Jak ci się to widzi?

— Ach! Córeczko! — zaczęła mama i dalej nie dała rady, bo się rozplakała.

Płakała, płakała i nie mogła się uspokoić. W końcu wyszeptwała, chlipiąc:

— To zupełnie jak w bajce...!

— Tak, to prawda — potwierdziłam z przekonaniem. — Mnie się też ciągle wydaje, że to bajka. I boję się, że może się skończyć.

— Nie daj się! — zakrzyknęła piskliwie babcia. — Nie daj się wywalić! Trzymaj się mocno! I tej roboty, co ją masz, i tego Marcela.

— Tak babcia uważa? Ale on, mówiłam przecież...

— Co ty, jakaś mimoza jesteś, że się chłopem przejmujesz? Dobry jest, bogaty, dba o ciebie, chce kupować, a ta marudzi. Ruskie mówią: *Ot żyra biesitsia*. Od żarcia się w głowie przewraca! Od dobrobytu! Nie marudź, Gośka, bo cię Bóg pokarze. I nie chciej za dużo!

Tak mi babcia powiedziała. Groźnie i surowo.

Posiedziałam w Jagniątkowie jeszcze kilka dni. Takich spowolnionych letnich dni, pachnących zbożem zbieranym z pól, końskim łajnem, zalewajką i grzybami duszonymi przez

mamę.

Poopalałam się nad rzeczka, wpadłam do Jadźki i Teresy. Nie zapomniałam i o Ewelinie. Posiedziałyśmy wszystkie trzy przy ciepłym piwku u Grzebalkiewiczowej na zapleczu. Ja stawiałam.

Dałam kundlowi, nie wiem, czy temu samemu, czy innemu, ale co tam, to nie miało przecież znaczenia, całe pęto kiełbasy. Chyba nigdy ani przedtem, ani potem już mu się taki fuks nie trafił.

Jadł żarłocznie, zerkając na mnie spode łba, czy mu zaraz tego pętka nie odbiorę. Dziewczyny się dziwiły, co ja wyrabiam, dobrą kiełbasę na psa marnuję, kiedy pełno wokół głodnych dzieci. Ale ja nic. Niech ma i pies.

Miałam takie jakieś poczucie koła, które się musi zamknąć. Ten pies był jednym z jego elementów. Nawet za muchą się rozglądałam, ale że ich całe roje latały wokół, to dałam spokój.

Nie należy przesadzać.

Poopowiadałam dziewczynom o Warszawie, studiach, zanadto się nie chwając. Lubiłam je. Po co mają mi zazdrościć? Mnie nic z tego, i im nic.

One poopowiadały, kto z kim i dlaczego. Miło było sobie poplotkować jak za dawnych czasów. Choć żeby prawdę rzec, nic mnie już te historyjki, ploteczki nie obchodziły; słuchałam ich jednym uchem, a drugim „Concerto grosso” Corellego, który dobiegał z radia włączonego na zapleczu sklepiku.

Zrobił się zmrok, koncert dobiegł końca, odjechał z ryneczku ostatni autobus, naprane dziewczyny popatrzyły na zegarki i trzeba było wracać do domów. One do swoich mężów, pieluch i dzieci, a ja, samotnie, na przygórek, gdzie nocami, słuchając pohukiwania sów w stodole, odświeżałam wspomnienia z dzieciństwa i usiłowałam poczytać wspomnienia Artura Rubinsteina, które przywlokłam z przepastnej biblioteki pana Józia. Kolejne ómy jedna za drugą ginęły, skwiercząc w zderzeniu z oświetlającą skrawek mojego łóżka żarówką, gdy jak dawniej czytałam do białego dnia.

Kiedy słońce zaczynało odważniej zaglądać do okienka, gasiłam lampkę i usiłowałam choć na chwilę się zdrzemnąć, budzona przez coraz głośniejsze wydzierające się poranne ptaki, pianie kogutów, różne kwiki, beczenia i piski dochodzące z obejścia. W końcu, umordowana nocnym czytaniem, zapadałam w mocny sen, z którego budziłam się koło południa. Wtedy, wyśmiewana przez dzieciaki, biegłam do wychodka i myłam się pod zlewem.

Było mi dobrze, spokojnie i szczęśliwie. Łapałam dystans. Odpoczywałam.

Po tym bardzo, bardzo długim tygodniu wsiadłam do autobusu i wróciłam do Warszawy.

Wróciłam, bo Marcel wydzwaniał kilka razy dziennie, żądając mojego natychmiastowego powrotu. Posłuchałam.

Wróciłam do Marcela.

Rozdział 31

25.08.2013. *Gosia*

Już idąc od drzwi przez cały rozległy salon do sypialni, zrzucałam z siebie moje ciuszki. Tylko furkotały, choć nie było ich wiele.

Prast sukienka, majteczki won, tuż przy samym łóżku zrzuciłam staniczek i wylądowałam koło Marcela, pod Marcelem, przy Marcelu, kompletnie naga.

On zaś jedną ręką dopiero zrywał z szyi krawat, nieomalże dusząc się nim, a drugą przygarniał mnie do siebie.

Zaczęliśmy szalony taniec. Trans przerywany okrzykami, westchnieniami, jękami, co tu kryć, głównie moimi.

Krzyczałam, drapałam, a on robił swoje jak robot, jak poeta, jak rzeźbiarz.

Mój kochanek.

Marcel spoglądał na mnie co czas jakiś, jak artysta na swoje dzieło, i znowu, znowu zaczynał od nowa ten obłądny kołowrót, taniec, rytuał.

Gdy na chwilę wynurzałam się z tej otchłani, w którą mnie wciągał, okazywało się, że leżymy w jakiejś pozycji zupełnie niezwykłej, do której doprowadziła nas ta szalona gra, poszukiwanie przyjemności, rozkoszy radości, wciąż większej i większej.

Krzyczałam. Krzyczałam. Bo było tak dobrze. Tęskniłam do niego jak opętana. A on tęsknił do mnie. Wiedziałam. Widziałam. Czułam. Nie musiał mi tego mówić. Pokazał.

3.09.2013. *Gosia*

Gosia w szale zakupów. To ja.

Marcel błysnął mi przed oczami biletami lotniczymi. Martynika.

Nawet nie wiedziałam, gdzie to.

Wakacje! Kupił bilety na środę. Ja i on, i palmy.

Taki mamy plan.

Pan Józio, gdy mu zakomunikowałam, że spadam w tropiki, rzekł z nostalgią:

— A tu pada...

Istotnie padało. Cudownie!

Za oknem ciemne chmury zwiastowały bliską jesień. Miał Marcelek świetny pomysł. Tu leje, a my w tropiki! Hura!

— To może się jakoś dogadacie z Marcelem?

— Będzie genialnie! — wykrzyknęłam z entuzjazmem. Wierzyłam w to mocno. Kupił bilety. Chciał być ze mną. Tylko ze mną przez pełne dwa tygodnie. W tropikalnym raju. Ja i on. Ach. Pogadamy, pośmiejemy się, zaprzyjaźnimy. Nie będzie tych durnych interesów, partnerów, przyjańtek.

Nareszcie! Należało się to i jemu, i mnie.

Wakacje! Skakałam do góry z radości i biegałam po sklepach, kupując bieliznę, letnie ciuszki, książki do czytania i nauki.

— A jak twoje jesienne egzaminy?

— No, wezmę ze sobą parę książek i...

— Masz, widzę, złudzenia.

— Nie. Będę się uczyć. Gdzie się da. W samolocie na przykład. Przecież nie mogę zrezygnować z takiego wyjazdu. Ja, Marcel i palmy, panie Józiu!

— No, nie wiem. Jak zavalisz studia? Wyrzucą cię z muzykologii i co? Będiesz ignorantką? Mężczyzna, miłość to nie wszystko. Wiedza i sztuka, Małgosiu, to To, co się w życiu liczy najbardziej.

— Czy pan mi radzi nie jechać?! Tylko się uczyć?

— No, to nie byłoby głupie! Ty się, dziecko, strasznie rozpraszasz. Powinnaś się skupić na muzyce, na studiach. Pojutrze do Warszawy przyjeżdża Lebidiew. Da tylko jeden koncert w filharmonii. Powinnaś na nim być!

— Koncert? A miłość?!

— No, miłość jest ważna, bardzo... Ale przecie nie najważniejsza. Miłość mija, a muzyka zostaje. Czy nauka, czy wykształcenie... A Lebidiewa to nie zobaczysz w Warszawie przez następne dziesięć lat!

— Panie Józiu. Ja pana bardzo kocham, ma pan często rację, częsTo, ale nie teraz. Ja chcę być z Marcelem. Może jakoś nam się poukłada! A Lebidiewa zobaczę! Nie raz. Może w Paryżu, może w Londynie. Kiedyś, gdzieś się z nim spotkam w świecie. A Marcel, pan wie, że on nigdy nie ma czasu. Teraz stworzył nam szansę...

— Dałby Bóg, by wam się ułożyło. Jedź, Małgosiu, jedź, skoro uważasz, że tak trzeba.

12.09.2013. Gosia

Upał.

Marcel, naprany, wydziera się na kelnera. Jest gorąco, za gorąco. Duszno. Parno.

Marcel ciągle wściekły i zmęczony.

Coś mu przed wyjazdem nie klapnęło w interesach.

Nie chce mówić co, ale jest zły jak osa. Cały czas gada do komórki, która dzwoni bezustannie. A on krzyczy do niej. Jakby to pomogło... Ludzie patrzą. Ja nie patrzę. Mnie nie ma. Staram się zniknąć. Wtopić w stolik, piasek, palmę. Nie widzieć i nie słyszeć, bo zaraz chce mi się płakać.

Lazurowe niebo, palmy, drzewa podróżników, idylla i sielanka. A on zły, nabzdyczony przez cały czas. Czepia się wszystkiego. Kelnerów, recepcjonisty, mnie. Wkurza go nie dość sprawna obsługa w hotelu i sam hotel, że za mało elegancki. Ja jestem zachwycona, cała w skowronkach, że słońce, że cudownie, a on, że apartament z widokiem na morze, ale z boku to morze, że za blisko hotelu droga, że słaby standard, że on płaci i wymaga.

Dzikie piekło w minutę po przyjeździe i nam apartamencik zmieniają.

Ale w nowym łazienka mu się nie podoba, kafelki ordynarne, czego ja nijak nie widzę, ale ja wiejski burak...

No, tego mi nie powiedział, ale...

Już mam dość tych wakacji. Po jednym dniu. W samolocie wściekł się, jak wyciągnęłam książkę. Robię mu obciach — tak powiedział.

Będą mnie brali za jego córkę, jeśli będę się uczyć. Mam się nie uczyć.

— Chyba cię porąbało! — krzyknęłam na niego zła jak czort.

To się obraził i milczał przez całą podróż samolotem. Może i lepiej, bo cały czas czytałam pierwszy tom „Form muzycznych” Chomińskiego, nie zwracając uwagi na jego czarne i złe

spojrzenia.

W hotelu się odobrazil. W łóżku. Doszedł swoich praw szybko i gwałtownie. Było... było dobrze. Ale czułam, że to nie miłość, ale złość leżała na dnie tego seksu.

Kręciło mnie to. Aż się przestraszyłam. I jego, i siebie. Popaprany mam z nim układ. Coś ze mną nie tak.

Kiedy Marcel siedzi spokojnie, żartuje i mnie uwodzi, tak jak rano przy śniadaniu, kocham go, ale gdy zaczyna ten swój spektakl pt. ja jestem ważny, najważniejszy, a ty się nie liczysz, to spadam, odpadam i mnie już nie ma...

12.09.2013. Marcel

Pot spływał mi wąskim strumyczkiem po szyi, zaschło mi w ustach, ale czułem się lepiej. Spacer pozwolił mi rozładować, nie całkiem, ale jednak, złość kumulującą się, kłębiącą w moich trzewiach, w głowie, w ciele. Czułem się lepiej, otępienie wywołane alkoholem i stresem ustąpiło.

Miałem ochotę napić się czegoś zimnego, chwilkę odsapnąć i wrócić do hotelu tą samą nadmorską trasą, skręciłem więc z plaży do rozświetlonego baru położonego na jej skraju.

Trzcinyowy daszek, drewniana podłoga i muzyka, jakaś samba czy rumba, barbarzyńskie kreolskie rytmy i światło płynące z lampionów powieszonych między drewnianymi słupami wprawiło mnie w lepszy nastrój i przyciągnęło do knajpki jak ćmę, oczywiście barową.

Zbliżając się, miałem nieomal ochotę zatańczyć do wtóru wybijającej ostrej rytm perkusji.

Gdy podszedłem na kilka zaledwie kroków do tej knajpki czy tawerny, zobaczyłem grupę czarnych chłopaków grających w karty. Wyglądało to na pokera. Jedni grali, a inni kibicowali, pokrzykując coś głośno i jazgotliwie, acz mało zrozumiale w miejscowym narzeczu, które robiło wrażenie jakiejś mutacji języka francuskiego. Pośród nich, w środku całej tej gromady, siedziała biała dziewczyna w skąnym kostiumie kąpielowym.

Jedną nogę miała opartą na sąsiednim krześle i przesuwała właśnie całą pulę, wygraną widać, na swoją stronę stolika, ścigana zaglądnącymi jej w stanik spojrzzeniami młokosów.

Małgosia.

Mało mnie szlag na miejscu nie trafił. Zatrzymałem się na sekundę jak wryty, jakby trafiony jakimś gigantycznym kamieniem, którego ciężar poczułem aż w żołądku. Złapałem oddech, którego mi nagle zabrakło, i ruszyłem ostro, z kopyta, pełen furii, do przodu.

Mag, kiedy mnie zobaczyła, poderwała się do góry, stanęła jak wryta i upuściła część monet na ziemię. W ciszy, która nagle zapadła, słychać było metaliczny brzęk toczących się monet.

Ryknąłem. Nawet nie pamiętam, co wykrzykiwałem. Byłem w furii. Byłem w szale.

A ona stała blada i milcząca... Szarpnąłem ją za rękę. Pociągnąłem, coś krzycząc.

Jeden z wyrostków ruszył na mnie, dziągając kompletnie niezrozumiale. Walnąłem go na odlew. Ulżyło mi. Powinienem komuś wcześniej przyładować. To pomaga, zdecydowanie.

Rozejrzałem się dookoła, komu by tu jeszcze przywalić. Nie było z tym problemu, bo kilku jego koleżków rzuciło się na mnie hurmą. Zacząłem na oślep rozdawać ciosy.

Zrobiła się zawierucha. Ja, otoczony tymi smarkaczami, waliłem jak młot parowy czy elektryczny. Dostawałem, ale nie czułem bólu, tylko straszną zaciekłość i zaciętość.

Mag coś krzyczała po francusku i... nagle, zupełnie nieoczekiwanie puścili mnie i odstąpili... Stałem, zadziwiony i wściekły, sam na środku tej knajpki, otoczony wrogim tłumkiem.

Nie było z kim się bić.

Stałem bezradnie z opuszczonymi rękami, a Mag spokojnie sięgnęła za siebie, na sąsiednie krzesło, wzięła z niego pareo i zawinęła sobie wokół bioder, potem wsadziła pod pachę jakiś zeszyt i grubą książkę, którą wszędzie targała, pożegnała tę bandę wyrostków krótkim *Hi*, wzięła mnie pod ramię i wyprowadziła wśród wrogiego milczenia.

Wychodząc, poczułem na sobie wzrok grubego Murzyna siedzącego przy barze i sączącego niespiesznie długiego drinka ozdobionego tandetną palemką.

Sigismondo Jones w swoim pomiętym wdzianku — skonstatowałem bez emocji.

Znalazł ją. Niezły jest.

Patrzył na mnie martwym wzrokiem, zupełnie jakby mnie widział pierwszy raz w życiu.

Widocznie tak trzeba. Ale czułem się pod tym jego spojrzeniem ciut nieswojo.

Dałem się Małgosi wyprowadzić. Nic nie było ani do powiedzenia, ani do zrobienia.

Szliśmy w milczeniu brzegiem morza, blisko siebie, ale jak ludzie zupełnie sobie obcy.

W końcu nie wytrzymałem i wykrzyczałem jej, że szukam, gonię za nią cały boży dzień. Wszyscy w hotelu jej szukają i co ona sobie do diabła myślała, jak tak bez jednego słowa zniknęła.

Tłumaczyła coś nieporadnie, że chciała się pouczyć w samotności, poszła na spacer i trafiła do tego barku.

Uczyła się, a potem zaprzyjaźniła z personelem, poczęstowali ją obiadem i zaprosili do gry w pokera. Szło jej świetnie, tak dobrze, że zapomniała o całym otaczającym świecie, a przede wszystkim o czasie.

— Chciałam się oderwać... — wyjąkała.

Spojrzałem na jej smutną twarz, poczucie winy malujące się w oczach i odpuściłem. Zmięknęłam. Skruszałem. Nachyliłem się i pocałowałem ją mocno w usta, a ona odwzajemniła mi się tym samym. Miałem ją znów dla siebie. Nic jej się nie stało. Chciała się oderwać, po prostu. Odpocząć. Pewnie ode mnie.

— Byłem, no cóż, byłem trochę trudny ostatnio... — wycodziłem ni to ze skruchą, ni to z pytaniem.

— Tak. Miałam z tobą ciężko — potwierdziła, kpiąc kamyczek zalegający na piasku.

Poczułem, że muszę jakoś ją przeprosić, choć przecież powinna mnie zrozumieć. Padł projekt przejścia LDO. Powinna zrozumieć, ale widać nie rozumiała. Nie chciałem jej stracić, więc wydukałem To, co powinienem, czego, jak widać, oczekiwała.

— Małgosi, wybacz, nie znikaj, słowo harcerza, *never again* ja nie będę się pienił, a ty... bądź...

Zapanowała cisza. Przygarnąłem ją do siebie, a ona przyłgnęła do mnie i objęła mnie wolną ręką. No, bo w drugiej targała te przeklęte książki. Pax. Dzięki niebiosom, pokój.

Coś jeszcze mnie dręczyło. Zapytałem:

— Co powiedziałaś tym gówniarzom, że tak mnie migiem puścili?

Małgosia, jak to ona, uśmiechnęła się leciutko i kpiąco. Zadrgał jej ten śmieszny mięsień w kąciку ust. Uwielbiałem jej uśmieszek.

— Powiedziałam im, że jesteś moim ojcem...

— Co? Och ty... — Zaśmiałem się, mimo że poczułem lekkie ukłucie. — Dam ja ci ojca...

Znowu zacząłem ją całować, szczęśliwy, że ją odzyskałem, że już jest dobrze.

A ona, ona poddawała się temu chętnie i ulegle...

Kochaliśmy się potem na tej opustoszałej plaży długo i czule.

Chciałem jej, chciałem się nią nasycić jak czymś, co mogłem stracić, a co jest mi dane

tylko na chwilę.

Epilog

15.09.2013

Grubas w kolorowej koszuli grał na tarze.
Zapowiedział swój występ z pełną powagą:
— A teraz Washboard!!!

Uklonił się i wyciągnął tarę.
Herb pani Ireny — pomyślała Małgosia.

Patrzyła na to szeroko otwartymi oczami, nie wiedziała, że tara może być instrumentem muzycznym.

Nieźle grał.

Dawno nie widziała tary. A tu proszę, prymitywne urządzenie domowe znalazło na Martynice nowe zastosowanie.

Siedzieli oboje z Marcellem bliźniutko siebie na ławeczce w śmiesznej knajpcie, gdzie stoliki były sprytnie zaaranżowane w przycumowanych przy brzegu długich łódkach, charakterystycznych dla Martyniki.

Nienagannie ubrani kelnerzy krążyli między tymi łódkami, brodząc bosymi stopami w morzu i dźwigając gigantyczne tace, uginające się pod miejscowymi frykasami.

Na niewielkiej drewnianej platformie, położonej w morzu i targanej falami przypląwu, popisywali się kolejno żongler, połykacz ognia, akordeonista, a teraz rzeczony grubas z tarą, do którego przyłączali się powoli inni muzycy, grający jednak na bardziej konwencjonalnych instrumentach: akordeonie, perkusji i skrzypcach.

Wygrywali proste melodyjki, podobne w klimacie do muzyki francuskiej lat pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Wszystko to tworzyło klimat lekkości i zabawy.

Trochę cyrkowy i tandetny, ale Małgosi się podobało.

Marcel opowiadał jej o tutejszych specjach, które jadał podczas poprzednich pobytów.

Tym razem leżał przed nim monstrualnych rozmiarów homar, podany na obłych liściach banana.

Właściwie w tej chwili były to już nędzne jego szczątki, bo Marcel ku podziwowi Małgosi, która nie wiedziała, jak się do niego zabrać, bardzo sprawnie zniszczył go w ciągu kwadransa, pochłaniając w ekspresowym tempie całe jego smakowite wnętrze...

Małgosia nie była jednak wcale pokrzywdzona, bo zjadła przyjemną pieczeń jagnięcą, glazurowaną miodem i cytryną.

Polubiła ostatnio jagnięcinę. Gust jej się rozwijał, ale żeby homar, to nie aż tak.

Słuchała kreolskiej muzyczki, podjadała podanego na deser banana w rumie i cukrze trzcinowym, pomyśliwując sobie, że tak, to było to.

Pyszne jedzonko, sentymentalna muzyczka i Marcelek miły i czuły.

Kelnerzy, chlapiąc nieco wodą, sprzątnęli puste nakrycia i na stoliczku mocno rozchybotanym, bo przypląw narastał, pojawiły się podłużne, iskrzące się światłem świece i lampionów, szampanki.

Małgosia spojrzała żałośnie Marcelowi w oczy i zaprotestowała:

— Nie mogę! Żadnego szampana! Marcelku! Ile można? Zaraz ci tu wpadnę do wody...

i nie będziesz miał ze mnie żadnego pożytku, bo podryfuję...

Marcel przysunął się bliżej. Wziął Małgosiną rączkę ze stolika i pocałował w nadgarstek.

Małgosia westchnęła i przełknęła ślinę. Umiał nią manipulować. Powinnam się bronić — pomyślała — ale nie mam siły. Lubię drania! A on robi ze mną, co chce. Ale jest tak miło, po co to psuć...

Marcel przytrzymał jej dłoń w swojej i delikatnie gładził.

Rozległo się smutne zawodzenie skrzypiec.

Czarny kelner, ponaglony jego wzrokiem, nalał szampana do kieliszków.

Małgosia machinalnie wzięła do ręki wysmukły kieliszek i spojrzała na Marcela pytająco.

Skrzypce zawodziły już na całego. Ich dźwięk aż bolał. Powoli, brodząc w wodzie, muzyk zbliżał się do ich łódki.

Marcel trzymał Małgosi rękę jak w imadle, a drugą, wolną, sięgnął do kieszeni i wyjął małe pudełeczko.

Popchnął je w jej stronę po białym obrusie. Potoczyło się do przodu i wyhamowało na fałdce.

— To dla ciebie... — powiedział.

Dopiero teraz puścił jej dłoń, a ona obiema wolnymi już rękami otworzyła aksamitną szkatuleczkę.

Na białym atłasie połyskiwał pierścionek.

Wielki brylant w otoczeniu markizy złożonej z kilkudziesięciu mniejszych kamyczków jaśniał w świetle świec barbarzyńskim blaskiem.

Podobny ma pani Irena — przemknęło jej przez myśl.

Gapiała się na ten gigantyczny kamień kompletnie bezmyślnie. Co on oznaczał?

Czemu jej to dawał?

Spłoszona podniosła wzrok na Marcela. A ten powiedział lekko ściszone głosem:

— Czy zechcesz zostać moją żoną? Czy zgodzisz się przyjąć ten drobiazg i być moją *for ever*, po wsze czasy?

Znowu ujął jej dłoń i pocałował.

Skrzypce zawodziły przeraźliwie, jakby się z nich naśmiewały...

Małgosia patrzyła przerażona na pierścionek, Marcela i skrzypka.

Ładny drobiazg i wsze czasy, coś dziwnie to zabrzmiało — pomyślała.

Skrzypce znowu się rozdarły, jakby skrzypek oszalał.

Wzięła do ręki ciężki, mieniący się tysiadcem isker pierścionek. Przez chwilę ważyła go w ręce.

Promienie, iskry i błyski, które roztaczał, przyciągnęły wzrok innych klientów restauracji.

Miała nieodparte i deprymujące wrażenie, że wszyscy patrzą na nią, na pierścionek, i czekają, co powie.

Czuła się... dziwnie...

Nie czuła radości, tylko przerażenie i panikę.

Nie była na to przygotowana.

Spojrzała jeszcze na Marcela, który uśmiechał się wyczekująco.

Spojrzała powoli i niepewnie na brylant wielki jak góra. A potem znów na Marcela.

I zadała sobie pytanie:

Czy tego chcę? Czy to jest właśnie To, czego chcę? W życiu?

Przypisy

1 Tłum. Walery Amiel.

